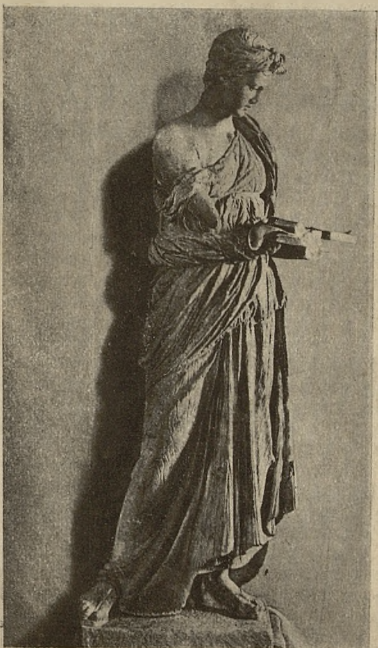
KWARTALNIK KLASYCZNY

1927. I. 4.



NAKŁADEM POLSKIEGO TOWARZYSTWA FILOLOGICZNEGO

SPIS RZECZY

NA OKŁADCE: DZIEWCZYNKA Z ANZIO

Dzięki usunięciu się terenu w burzliwą noc grudniową r. 1878, między Porto d'Anzio a Arco Muto, znaleziono w wgłębionej niszy ruin pałacu Nerona nieznacznie uszkodzoną rzeźbę z marmuru greckiego (część górna: paryjski, dolna: pentelicki), która następnie ze zbiorów książąt Chigi w willi Sarsina przeszła w r. 1909 w posiadanie Museo Nazionale delle Terme w Rzymie. Interpretacja tej statui należy do jednego z najzawilszych problemów ikonografji starożytnej. Silna budowa ciała, stosunkowo płasko traktowana partja piersi oraz poniekąd chłopięce rysy twarzy, przemawiały za męskością postaci; jednak analiza porównawcza z innemi zabytkami, rodzaj szat, szerokie biodra i pewna miękkość w modelowaniu nagich części ciała, pozwoliły badaczom ustalić jej kobiecość. Młoda, wysmukła dziewczyna, odziana w chiton wysoko przepasany i w narzuconym przez lewe barki i prawe biodro himationie, kroczy w prawo, spoglądając na trzymaną oburącz tacę (uszkodzenia) z przedmiotami kultu: zwój wstęgi wełnianej, wieniec laurowy i, sądząc po zachowanych resztkach, małe thymiaterion. Motyw składania ofiary nie wyklucza możliwości uważania statui za część grupy figuralnej z ołtarzem w pośrodku. Jako całość stanowi jednak postać kompozycję zwartą, przeznaczoną do oglądania z jednej strony, jak na rycinie. Malarskie efekty sfałdowanej szaty i związanych nad czołem włosów, oraz subtelny wdzięk miękko modelowanych partyj oczu i ust, przenoszą nas w sferę sztuki Praksytelesa, wyrosłej na gruncie attycko-jońskim. Jednak w silnych a przytem wysmukłych członkach, w wydatnem przegięciu torsa w biodrach i w żywej rytmice ciała, występują wyraźnie znamiona konstrukcyj Lisypa. Słusznie też większość badaczy uważa „dziewczynę z Anzio" za oryginał jednego z synów Praksytelesa: Timarchosa lub Kefisodota, których twórczość odzwierciedlała połączenie tradycji ojcowskiej z silnym wpływem sztuki wielkiego Sikyończyka w ostatnich 30 latach IV w. prz. Chr. K. M.

SPIS RZECZY

SPIS WSPÓŁPRACOWNIKÓW

DYDAKTYKA

ANATOL FRANCE

W OBRONIE ŁACINY

Nasi gimnaziści wrócili do swych tornistrów i oto już znowu siedzą nad książką, w salach, gdzie tyle rozlanego atramentu i tyle pyłu z kredy naokoło czarnej tablicy. Naogół dzień powrotu nie budzi obaw — przeciwnie, im bliżej, tem bardziej jest upragniony. Wakacje są długie i niema ich czem zapełnić. Powrót łączy towarzyszy, mających sobie wiele do powiedzenia. Zresztą przynosi zmianę, a to przemawia już dostatecznie na jego korzyść. Dzieci domagają się nowości. I mybyśmy się jej domagali, tak jak one, gdyby to, co nieznane, budziło w nas jeszcze jakąś wiarę. Ale nauczyliśmy się już nie ufać. Wiemy zresztą, że życie nie przynosi nigdy nic nowego, że to my raczej dostarczamy mu, w młodości, rzeczy nowych. Wszechświat jest w wieku każdego z nas. Jest młody dla młodych; dla oczu czternastoletnich przyobleka się w barwy jutrzenki. Umiera z nami; odradza się w naszych dzieciach. Kto z nas nie troszczy się o przyszłość, której już nie zobaczy? Co do mnie, śledzę rok rocznie z coraz większem zainteresowaniem losy naszych nauk klasycznych. Bo pomyśleć tylko, że kultura francuska, najszlachetniejsza i najwytworniejsza w świecie, jałowieje i że, dla odrodzenia jej, czyni się wciąż jak najniebezpieczniejsze próby! Jakże tu, w chwilach tak krytycznych, spoglądać bez wzruszenia na małego „gimnazistę“, jak kroczy, z nosem do góry, z książkami na plecach, do swojej szkoły?

Ten mały smyk toż to przyszłość ojczyzny! Z trwogą staram się odgadnąć: czy zachowa on przy życiu ów płomień, który rozjaśnia świat od wieków, czy też pozwoli mu zagasnąć? Drżę o nasze humaniora. One to kształciły ludzi i uczyły ich myśleć. Zaczęto się od nich domagać czegoś więcej: bezpośredniej i natychmiastowej korzyści. Nauczanie miało rozwijać nadal swobodnie zdolności intelektualne i stać się zarazem czemś praktycznem. Naładowano programy tak, jak się ładuje strzelby przed jakąś wyjątkowo dziką bitwą;

wpakowano w nie: fakty, fakty i fakty... Zwłaszcza dał się we znaki niepojęty wprost szał dla geografji.

Łacina ogromnie na tem ucierpiała. Wielu republikanów pocieszało się myślą, że wynaleźli ją Jezuici. Mylili się. Jezuici niczego nie wynaleźli, lecz zawsze wszystko wyzyskali. Wystarczy zaglądnąć do Erazma lub do Rabelais, ażeby się przekonać, że łacinę klasyczną zaprowadzili w szkołach uczeni Odrodzenia. Wyższa Rada Oświecenia Publicznego nie mogła tak łatwo zająć w tej sprawie stanowiska. Chciała zachować łacinę. Ale wola Rady, nawet Rady Wyższej, nie jest ani dość silna ani dość skuteczna. Energja jej szybko obraca się w rezygnację. Usiłuje się wierzyć, że najlepiej wzmocni łacinę stworzenie szkolnictwa średniego, w którem uczonoby tylko języków żyjących, że się uratuje nauki łacińskie przez nadanie wspólnej nazwy klasycznych także ich rywalkom, które, chociażby nie wiem jak tego chciano, nigdy nie dorównają tamtym w szlachetności, sile, wdzięku ni piękności. Są to iluzje, które trudno podzielać.

W rzeczywistości, upadek nauk klasycznych odbywa się straszliwie szybko. Za moich czasów uczniowie klasy retoryki czytywali swobodnie Wergiljusza i Cycerona, a nawet pisali po łacinie, tzn. starali się wyrazić w tym martwym języku swoje, jeszcze źle sformułowane, myśli. To wszystko, czego się można było od nich domagać. Dziś, jak słyszę zewsząd i jak sam widzę, jest inaczej. Znajdzie się jeszcze w każdej klasie kilku młodzieńców z zamiłowaniem do literatury łacińskiej, ale są to już ostatni humaniści. Większość wykazuje coraz mniejsze zainteresowanie do nauk klasycznych.

Jeżeli trzeba się tem martwić, to czyż podobna się jednak dziwić? Łacina usunęła się z życia; usuwają ją też ze szkoły. To jest rzeczą konieczną. W XVIII w. była ona jeszcze powszechnym językiem nauki. Teraz nauka posługuje się francuskim, angielskim i niemieckim. Tylko teologja utrzymała się przy swem starem narzeczu; ale zamknęła się w obrębie swych seminarjów i szeroki ogół nie przysłuchuje się jej dysputom. Język łaciński zajmuje już w programie szkolnym znacznie mniej miejsca; odebrano mu jego dawne przywileje. Coraz więcej go będą wystrzępiać i w najbliższej przyszłości, której, mam nadzieję, nie dożyjemy, zniknie zupełnie.

A jednak, chociaż tak okaleczony, nie przestaje on być nerwem i mięśniem nauczania średniego. Na miejsce obciętych mu członków umieszczono kilka gałęzi wiedzy. Okazało się, że wcale nie wyszło to na korzyść umysłom młodzieży; nastąpiło pod tym względem przykre rozczarowanie. Ponieważ metody ściśle naukowe przechodzą zdolność rozumową dzieci, ograniczono się do czczej nomenklatury, która tylko obciąża pamięć a nie pobudza inteligencji. Zasady przyrodoznawstwa wprowadzone do klas literatury dały, zwłaszcza tutaj, wyniki najgorsze

„Można twierdzić bez obaw — powiada pan H. Lacaze-Duthiers — że wśród profesorów egzaminujących przy bakalaureacie niewielu się znajdzie takich, którzy są zadowoleni z wiadomości z fizyki, chemji i przyrody u kandydatów do bakalaureatu ścisłego lub humanistycznego. Co się tyczy abiturjentów bakalaureatu humanistycznego to zapewne znajdują się i tacy, którzy są mocni w przyrodzie; ale muszę wyznać, że niewielu ich spotkałem wśród egzaminowanych przeze mnie, podczas gdy nieorjentujących się w tej nauce było mnóstwo". [1])

Dodano, prócz tego, do programów dużo historji i jeszcze więcej geografji. Zwiększono wymagania w nauczaniu języków nowoczesnych; usiłowano wreszcie nadać wykształceniu średniemu charakter praktyczny.

Trzeba jednak to sobie dobrze uprzytomnić, że się poniosło porażkę. Bo czyż nasi abiturjenci są lepiej przygotowani do walki z życiem, odkąd wpakowano im do głowy kilka terminów chemicznych? Nie. Zasady nauki doświadczalnej nie przynoszą żadnej korzyści tym, którzy nie posuną się dosyć w tej wiedzy, ażeby stworzyć syntezę, lub też, aby zastosować swe wiadomości w przemyśle. Czyż dalej nabiorą oni większego doświadczenia życiowego, gdy się nauczą historji powszechnej od epoki jaskiniowców aż do prezydentury pana Juljusza Grévy? Wątpię. Historja, jak jej uczą obecnie, jest tylko nużącym katalogiem faktów i dat. Lepiej byłoby, zapewne, ograniczyć się w niej do wieków nowszych i uczyć się ich wraz z wszystkiemi okolicznościami, które rzucają światło na ducha i życie tych czasów. Ale jakże tu opowiadać dzieciom, nie mającym pojęcia, czem jest życie człowieka, o życiu całego narodu? Nie mówię już nic o geografji, która była przez czas dłuższy przedmiotem najprzesadniejszych nadziei. Jest to wprawdzie poważna gałąź wiedzy, ale tylko w połączeniu z innemi, jak z geologją, mineralogją, etnografją, ekonomją polityczną itd. itd., a przecież nie w ten sposób uczą jej w liceum. Ograniczają ją tutaj do żmudnego i jałowego ćwiczenia pamięci.

---

[1]) Pan Lacaze-Duthiers dodaje:

„Niedość, że nie umieją, lecz wynajdują jeszcze odpowiedzi i wygłaszają je z pewnością siebie, godną czegoś więcej niż prostego zdania egzaminu. Nie mogę się oprzeć, ażeby nie przytoczyć tu jednego przykładu:

D. — W jaki sposób oddychają zwierzęta?

R. — Za pomocą płuc, oskrzeli i tchawek.

D. — Co to jest tchawka?

R. — Kitka drobnego owłosienia przymocowana do czubka nosa owadów.

Ten kandydat zdał: otrzymał ocenę możliwą. Uszedł."

Pan H. Lacaze-Duthiers nie weźmie mi chyba za złe, gdy powiem, że ten młody zuchwalec, który mu tak odpowiedział, niczego nie wynalazł: odpłacił tylko Almie Mater jej własną monetą. Oddał jej bowiem te same słowa, których mu udzieliła. Zmienił tylko ich układ. Zadużo się ich nasłuchał, to też pomieszały mu się w głowie.

Ze wszystkich tych projektów jedynie nauczanie języków żyjących przedstawia, mojem zdaniem, jakiś interes praktyczny. Niepodobna zaprzeczyć, że korzystną jest znajomość angielskiego i niemieckiego zarówno dla kupca i prawodawcy, jak dla żołnierza i uczonego. Ale należałoby jeszcze się upewnić, czy nauczanie średnie powinno mieć jako jedyny cel pożyteczność. Otóż jest ono na to zbyt ogólne.

Nie. *Humanitas,* od której już tak dawno otrzymało ono nazwę, określa nam jego prawdziwą misję: powinno kształcić ludzi, a nie taki lub owaki rodzaj ludzi; powinno uczyć myślenia. Bądźmy zadowoleni, jeżeli mu się to udało i nie domagajmy się od niego jeszcze wielu innych rzeczy.

Nauka myślenia — oto w czem się zawiera dobrze zrozumiany program szkolnictwa średniego.

Dlatego właśnie żałuję niewymownie dawnych metod nauczania łaciny w klasach literatury; uczono bowiem w ten sposób czegoś nieskończenie cenniejszego od samej łaciny: uczono sztuki rozwijania i wyrażania swej myśli.

Walczę przeciwko konieczności. Proszę mi wybaczyć ten nadaremny upór. Zywię do nauk łacińskich miłość beznadziejną. Wierzę święcie, że wraz z niemi zaginie piękno genjuszu francuskiego. Łacina nie jest dla nas językiem obcym; to język ojczysty: jesteśmy przecież Latynami. To mleko lwicy rzymskiej stanowi najpiękniejszą cząstkę naszej krwi. Ci wszyscy z pośród nas, którzy się odznaczali siłą myśli, nauczyli się myśleć po łacinie. Nie przesadzę mówiąc, że nieznajomość łaciny pociąga za sobą nieumiejętność dominującego w rozprawie, jasnego przedstawiania myśli. Wszystkie języki w porównaniu z łaciną grzeszą niejasnością. Literatura łacińska lepiej od każdej innej nadaje się do kształcenia umysłów. Proszę mi wierzyć, że, mówiąc tak, wcale się nie łudzę co do skali genjuszu współziomków Cycerona: znam dobrze jego granice. Rzym zdobył się na myśli proste, silne i nieliczne. Ale właśnie dlatego jest on niezrównanym wychowawcą. Od jego czasów myśl uległa pogłębieniu, świat doznał nowego dreszczu przy zetknięciu z nowemi rzeczami. To prawda. Ale prawdą jest również i to, że rzymska tężyzna stanowi najlepszy pancerz dla młodzieży.

Przyjrzyjcie się *Hamletowi*: toż to cały, olbrzymi świat. Wątpię, żeby kiedykolwiek stworzono rzecz większą. Ale co znajdzie u niego uczeń? Jakże zdoła on uchwycić te opary myśli, bardziej nieuchwytne od widma błądzącego po dziedzińcu Elzeneru? Jakże się zorjentuje w tym chaosie obrazów tak zmiennych jak chmury, których zwiewne kształty pokazuje melancholik Polonjuszowi? Cała literatura angielska, tak poetyczna i głęboka, odznacza się podobnem skomplikowaniem i niejasnością. To samo można powiedzieć i o literaturze niemieckiej, oprócz tych jej dziedzin, które powstały pod

wpływem Rzymu lub Francji. Czytałem wczoraj nanowo *Fausta* Goethego, pierwszą redakcję, w pięknym — dziś pod prasą — przekładzie pana Kamila Benoît. Jest to bogaty skład myśli i uczuć, jest to coś więcej jeszcze: laboratorjum, gdzie leży w tyglu substancja ludzka. A jednak, ileż mgieł w tem dziele najjaśniejszego genjusza Germanji: stąpa się tu po omacku, poprzez kręte ścieżki, z wzrokiem oślepionym przez meteory. Dzieło to nie będzie nigdy dla nas klasycznem. A teraz otwórzmy historję Liwjusza. Wszystko tu jasne, proste i ułożone. Liwjusz to niegłęboki genjusz, ale zato doskonały pedagog. Nigdy nie budzi w nas niepokoju i dlatego czytając go nie odczuwamy żywej przyjemności. Ale zato jak prawidłowo on myśli! Jakże łatwo wykazać jego myśl, zbadać oddzielnie wszystkie jej części i objaśnić celowość każdej! To dotyczy formy. A co znajdziemy na dnie? Lekcje patrjotyzmu, odwagi, poświęcenia, religję przodków, kult ojczyzny. Tak wygląda klasyk. Nie mówię już o Grekach, którzy są kwiatem i wonią kwiatu. Posiadają oni więcej niż cnotę, bo dobry smak. Mam tu na myśli wszechwładzę smaku: harmonję, córę mądrości. Ale niewiele zajmują oni miejsca — trzeba to przyznać — w programach bakalaureatu.

I oto łacina w naszych liceach zaczyna podzielać los greki. Jest już tylko marnym cieniem, igraszką lada powiewu.

Wykształcenie średnie zatraci zwolna ten niezrównany blask, który promieniował w jego pozornej bezużyteczności. Skoro to przeobrażenie jednak jest rzeczą konieczną, skoro odpowiada ono zmianie obyczajów, byłoby niefilozoficznie przejmować się tem nadmiernie. Ludziom niepocieszonym zdrowy rozum odmawia słuszności, natura nigdy nie stoi po stronie niepocieszonych. Zawsze trochę głupie stanowisko zajmuje ten, kto się krzywi na przyszłość. Naród sam czuje najlepiej, co jest dla niego odpowiednie i nowa Francja znajdzie, być może, dla swych dzieci potrzebne im nauczanie. Tymczasem, my pozostali, jeżeli pozwolą nam na tę egoistyczną przyjemność, będziemy się radowali myślą, że zostaliśmy jeszcze wezwani na ucztę Muz i, powtarzając szeptem wiersze uczonego poety Fryderyka Plessis, nie dopuścimy jednak do siebie — przez uczucie pietyzmu — wiary w całkowite spełnienie się zawartej w nich proroczej groźby:

Wieki powtórzą wiekom, że Zachód jałowy
Zawsze z Aten i Rzymu czerpał sztukę płodną,
A tym, co prawdzie tej śmią — w pysze jednodniowej —
Przeczyć, jutro zgotuje klęskę niezawodną.

Na drodze przystosowań, w którąkolwiek stronę
Podążą tłumnie, znajdą poklask i bogactwo,
Lecz wzniosłe Piękno treści i formy — wzgardzone —
Biorąc pomstę, utrwali swe nad nimi władztwo.

Tłum. St. Warszawska, wiersz — M. Przedborska.

TADEUSZ M. LEWICKI

GIMNAZJUM HUMANISTYCZNO-REALNE I NAUKA ŁACINY

W r. 1919 pojawiła się, wydana z ramienia Ministerstwa WR i OP książka pt. *Program naukowy szkoły średniej. Projekt wypracowany przez Sekcję szkolnictwa średniego.* Dzieło to należy z naciskiem przypomnieć, gdyż na poglądach i tendencjach, w niem wyrażonych, oparto we wszystkich istotnych kierunkach obowiązujący obecnie ustrój szkolnictwa średniego w Polsce: więc przedewszystkiem zasadniczo pięcioletni okres trwania studjum średniego, które ma zapewnić wykształcenie ogólne tudzież wstęp do wyższych uczelni, a następnie podział na tzw. typy główne, tj. szkołę matematyczno-przyrodniczą i gimnazjum neohumanistyczne z jednym językiem obcym współczesnym, potem dwa typy podrzędne: gimnazjum humanistyczne z łaciną, ale bez greki i (pięcioletnie) gimnazjum klasyczne z językiem łacińskim i z greczyzną. Na s. 123 projektu, opierając się na wywodach poprzednich, wyrażono pogląd, że upowszechnią się zapewne dwa pierwsze typy, a to naprzód dlatego, że w nich jasno i w sposób wyraźnie zdecydowany zarysowuje się zrąb przedmiotów, wyrażający w swym zespole zasadniczy kierunek kształcenia, tj. to, co w *Projekcie* nie nazbyt szczęśliwie nazywa się *podstawą wychowawczą,* a potem dlatego, że one najlepiej odpowiadają potrzebom współczesnego życia. Natomiast gimnazjum klasyczne jest szkołą *w najwyższym stopniu jednostronną, przeznaczoną dla małej garstki wybitnie w tym kieruuku uzdolnionej i zamiłowanej młodzieży* (s. 120), a sprawa wstępowania do niej *wobec bardzo specjalnego charakteru tego oddziału i napewno bardzo niewielkiej liczby jego uczniów, nadających mu cechę wyjątkowości, musi być traktowana bardzo indywidualnie* (s. 124). Wreszcie szkoła realno-humanistyczna z łaciną bez greki jest *typem pedagogicznie nieracjonalnym* (s. 37), koncesją dla nieuzasadnionych rozumnie upodobań pewnej części społeczeństwa, wyrazem kompromisu między filologami a zwolennikami nowych i realnych kierunków kształcenia (s. 35), jest *tworem przejściowym, który będzie stopniowo zanikał* (s. 135).

Tym przewidywaniom zaprzeczyła gruntownie rzeczywistość, tj. to życie, na które *Projekt* tak często powołuje się, pragnąc doń przystosować swą koncepcję ustroju szkolnictwa. To często zdarza się pedagogicznym doktrynom, nastawionym na sprawy kultury i jej potrzeb pod ostrym kątem indywidualnych zapatrywań i uprzedzeń. A ośmioletni okres istnienia i rozwoju szkoły średniej, zorganizowanej na podstawie programów rządowych, jest chyba wystarczający dla zdobycia miary sprawiedliwej i rzeczowej oceny, czy i o ile doktryna

pedagogiczna, która jest zasadniczą podstawą tej organizacji, zdołała naprawdę przystosować się do rzeczywistych wymagań społecznego życia.

Otóż gimnazja tzw. neoklasyczne, które zdaniem *Projektu* miały obok szkoły matematyczno-przyrodniczej najlepsze warunki rozpowszechnienia, nie przyjęły się prawie nigdzie, pięcioletnie gimnazjum klasyczne z łaciną i greczyzną istnieje tylko tam, gdzie zostało wyraźnie narzucone i powinno jak najrychlej zniknąć wraz ze swym programem, zupełnie nierealnym. Natomiast gimnazjum realno-humanistyczne, skazane w *Projekcie* na powolne zanikanie, upowszechniło się do rozmiarów przez jego autorów nieoczekiwanych: ten typ szkoły jest dziś głównym zrębem i kręgosłupem kształcenia średniego młodzieży naszej. Na jednem jego skrzydle osiadł rodzaj szkoły, nieprzewidziany w *Projekcie* i zasadniczo przezeń potępiony: ośmioletnie gimnazjum klasyczne z łaciną od klasy pierwszej i z greczyzną od klasy IV, drugie skrzydło zajmują gimnazja matematyczno-przyrodnicze. Rzeczywistość tedy streszcza się w wyraźnie już zaznaczonym fakcie następującym. Ogromna większość młodzieży polskiej zapełnia i niezawodnie stale będzie zapełniała gimnazja realno-humanistyczne z łaciną bez greki, mniejszość zwraca się ku dwom typom, opartym o podstawy organizacji skrajnie przeciwne: ku gimnazjum klasycznemu starego typu z zasadniczym kierunkiem kształcenia humanistyczno-historycznym i ku szkole realnej (gimn. matematyczno-przyrodnicze) z przewagą nauk realistycznych.

Przekonani wyznawcy nauk klasycznych w szkole średniej nie będą zapewne ubolewali nad tym objawem, znamiennym dla zasadniczych tendencyj społecznych. Zapewne — znikło uprzywilejowanie gimnazjów klasycznych, ale znikła też konieczność naginania poziomu nauki do przeciętnej miary, wzrosła możność selekcji elementów nieprzydatnych do studjum bądź jak bądź trudnego, które wymaga wybitnych uzdolnień i wytrwałej pilności, wreszcie ułatwiony jest dobór nauczycieli naukowo i metodycznie przygotowanych, a nadewszystko niezachwianie wiernych przekonaniu o nieprzedawnionej wartości języków i kultury starożytnych Greków i Rzymian w średniem kształceniu młodzieży polskiej. Dotkliwszy może będzie zawód zwolenników matematyczno-przyrodniczej *podstawy wychowawczej*, którzy, za przykładem autorów *Projektu*, łudzili się nadzieją, że szkoły ze szczególną pieczołowitością w tę podstawę zaopatrzone, zdołają zagarnąć przeważną część frekwencji w szkolnictwie średniem. Jakiekolwiek kto jednak ma pojęcie o ustroju szkolnictwa ze stanowiska teorji, martwo zawieszonej ponad życiem i rzeczywistością, liczyć się musi z prądem społecznym, który wyraża się dziś już widocznie i konsekwentnie w fakcie, że przeważna część młodzieży naszej, kształcącej się w zakładach średnich,

oczywiście pod wpływem nastrojów i przekonań starszego społeczeństwa, unika szkół o kierunkach skrajnie zdecydowanych, a zmierza z wyraźną tendencją do typów pośrednich, zapewniających równomierność wykształcenia w kierunku tak humanistyczno-językowym, jak realistycznym. Jest przeto rzeczą jasną i obowiązującą pod grozą odpowiedzialności społecznej, że ta właśnie młodzież, która ma dostarczyć warstwie inteligentnej narodu najliczniejszego zastępu i głównego zrębu, powinna otrzymać, w zestawieniu z uczniami gimnazjów klasycznych i matematyczno-przyrodniczych, wykształcenie co do kierunku oczywiście odmienne, ale co do wartości przynajmniej równorzędne tak w doborze treści, jak w jej wzajemnem ustosunkowaniu i metodycznem wyzyskaniu.

Tymczasem w *Projekcie* znajduje się, jako konkluzja wywodów o gimnazjum realno-humanistycznem, ustęp następujący (s. 120): *Zachowywana w typach poprzednich* (tj. w gimnazjum matematyczno-przyrodniczem i neohumanistycznem) *pewna konieczna dla uniknięcia jednostronności szkoły równowaga między działem humanistycznym a matematyczno-przyrodniczym została tu* (tj. w gimnazjum humanistyczno-realnem) *już zburzona. Nie to jednak stanowi słabość tego typu, lecz fakt, że za cenę tego zburzenia równowagi nie dało się wycisnąć na szkole wybitniejszego piętna, nie wzmocniło się podstawy wychowawczej, nie zwiększyło skoncentrowania programu naukowego, a tylko wprowadziło czynnik całokształtowi szkoły obcy* (tj. język łaciński), *nie wiążący się z żadną grupą przedmiotów, nie przynoszący nic własnego, a zarazem zwiększyło się rozprószenie, werbalizm i obciążyło uczniów pracą umysłową.* Jestto ważne wyznanie, ważne dlatego, że oczywiście treści tych poglądów musi odpowiadać program gimnazjów humanistyczno-realnych na nich zbudowany. Jakoż istotnie jego cechą znamienną jest prowizoryczność, brak jasno i rzeczowo ujętych celów kształcenia, rozproszkowanie treści wiedzy, zapoznanie niezmiernie doniosłej zasady koncentracji nauki. Wynika stąd, że ogromna większość młodzieży naszych szkół średnich kształcona jest na podstawie programu, któremu sami jego autorowie odmawiają rzetelnych wartości, zatem jest kształcona źle. Jakiemi ten fakt grozi następstwami rozwojowi naszej narodowej kultury, nie potrzeba dowodzić. Dziś, gdy rzeczywistość obaliła przewidywania *Projektu* o przejściowym charakterze gimnazjów humanistyczno-realnych, nazwanych u nas niewłaściwie humanistycznemi, a prąd społeczny te właśnie szkoły utrwalił jako główny typ kształcenia średniego, ich reforma zasadnicza i gruntowna staje się rzeczą naglącą. Pragnę poruszyć na razie dwa momenty, w których wyraża się najjaskrawiej pomyłka *Projektu* i programów z nim związanych. Pierwszy dotyczy społecznego uzasadnie-

nia gimnazjów humanistyczno-realnych, drugi nauki łaciny w tej szkole.

Treść duchową współczesnej nam kultury przenika i kształtuje wyrażająca się już na przełomie XIX w. a w jego przebiegu znamiennie wykrystalizowana dwoistość czy raczej dwubiegunowość. Porównano ją obrazowo z hiperbolą (Hellpach, *Wesensgestalt der deutschen Schule*,[2] 1926, s. 107), w której dwu ogniskach usadowiły się: w jednem historja, w drugiem przyroda, gdy ramiona z rozrastającym się ciągle aparatem przynależnych odgałęzień zmierzają w nieskończoność w kierunkach wręcz przeciwnych; historja z towarzyszami swymi: historjozofją, etnologją, językoznawstwem, literaturą, sztuką itd., przyroda z równie potężnym zasobem nauk technicznych: geografją, medycyną, fizyką, chemją itd. Przepaść między temi dwoma obszarami umysłowości dzisiejszej zieje otchłanią, bo nie wyrosła dotychczas żadna naukowa teorja, która zdołałaby wypełnić ją lub choćby tylko przemościć. Ten dwoisty stan kultury stał się wszechpotężną dźwignią jej rozrostu, ale jest także jej węzłem tragicznym. Kto z ludzi dziś świadomie i odpowiedzialnie czynnych w postępie pracy duchowej tego tragizmu nie odczuwa boleśnie w sobie i poza sobą? Człowiek współczesny racjonalnie rozumie lub intuicyjnie odczuwa dwoistość kultury, której sam jest wytworem i współtwórcą zarazem. Więc i jego ideał kształcenia obejmuje równomiernie obie osi jego rozdwojonej treści duchowej: animalizm i dziejowość, prawo przyrodzone i przywilej ducha, przyczynowość i celowość, determinizm i prawo woli stanowienia o sobie. Nie jednopostaciowość, ale dwupostaciowość, nie jedna podstawa kształcenia, ale dwie takie podstawy, wyrażające się równorzędnie i z równym naciskiem w systemie szkolnego nauczania, są obecnie postulatem społecznym. Kto jest dziś powołany do tego, aby miał czynny udział w zbiorowym postępie duchowym, ten powinien z równą zdolnością rzeczowej oceny ustosunkować się do obu osi współczesnej kultury, aby specjalnej pracy, dla której warsztat założy — bo i zróżnicowanie pracy jest znamiennym wytworem dzisiejszych dążeń społecznych — umiał wyznaczyć zgodną z istotą rzeczywistości i ze swem osobistem uzdolnieniem treść i kierunek. Z tem liczyć się muszą i liczą się, mimo oporu jednostronnie nastrojonych fachowców nauki, już od lat kilkudziesięciu nawet oba skrajne typy szkoły średniej: gimnazjum klasyczne ogranicza i zacieśnia coraz wydatniej swój program nauk humanistycznych na rzecz przedmiotów realnych, na odwrót w szkole realnej zaznacza się wyraźny prąd do rozszerzenia humanistyczno-językowej podstawy kształcenia. Natomiast gimnazjum humanistyczno-realne, które w chwili swego powstania, może w intuicyjnem wyczuciu rzeczywistej potrzeby społecznej, było, jak słusznie

przedstawiono w *Projekcie,* wyrazem formalnego kompromisu, stało się dziś typem szkoły współczesnej: dwoistej treści dzisiejszej kultury duchowej odpowiada dwuosiowością swej zasadniczej idei kształcenia, z humanizmem, tj. historją, językami i ich literaturą na jednej, a z naturalizmem, tj. z matematyką, fizyką, chemją, biologją na drugiej osi. To jest istotna przyczyna, dlaczego tak przeważna część społeczeństwa wyróżnia ze szczególnem upodobaniem ten właśnie rodzaj szkoły; ona też zapewnia trwały byt gimnazjum humanistyczno-realnemu, obala przekonanie o przejściowym jego charakterze, i iluzoryczną czyni nadzieję, że po pewnym czasie będzie można je zastąpić tym czy innym typem skrajnym. Z tym faktem nie łatwo i nie rychło pogodzi się teorja pedagogiczna, która wyrosla i utrwaliła się na gruncie dwóch typów skrajnych: gimnazjum klasycznego i szkoły realnej, opartych o jeden wyraźnie zaakcentowany rdzeń kształcenia. Ale tam, gdzie rzeczywistość narzuca się imperatywnie, stanowisko wyłącznie negatywne nie da się utrzymać; doktryna pedagogiczna musi owszem dla siebie i dla swych metod w żywym prądzie społecznym poszukać świeżego materjału konstrukcyjnego.

W niedopatrzeniu tego momentu tkwi jedna pomyłka *Projektu* ministerjalnego, która doprowadziła do błędnej oceny i zlekceważenia gimnazjum humanistyczno-realnego i jego zadań. Druga jest równie doniosła.

Kiedy mowa o wiedzy historycznej, która ma stanowić o treści i wartości humanistycznego działu gimnazjum realnego, to najprostszą i zarazem najbliższą wydaje się myśl przyznania roli kierowniczej właściwej nauce historji. Ale przedmiot ten ma w szkolnem nauczaniu, choćby pojęty jako nauka kultury, zawsze tylko receptywny charakter. Nawet wówczas, gdy potrafimy rozniecić zajęcie przez pomysłowe zestawienia, przez apel do heroicznych skłonności u młodszej, a do zainteresowań społecznych i politycznych u starszej młodzieży, rozwój faktów i zjawisk dziejowych nie może inaczej się uświadomić, jak przez zasadniczo bierne przyjmowanie i reprodukowanie przejętej wiedzy (por. Hellpach jw.). Źródła historyczne, któremi nauka szkolna posługiwać się może w skromnie ograniczonym wymiarze, raczej tylko ilustrują nabyte już wiadomości, ale nie mogą być wyzyskane jako podstawa do zdobywania samodzielnych rozpoznań historycznych, bo takie postępowanie wkraczałoby już w dziedzinę fachowej pracy historyczno-literackiej, do której umysłowość młodzieży szkoły średniej jeszcze nie dorosła. Naturalnym sprzymierzeńcem nauki historji, ożywiającym związany z nią metodycznie pasywizm przez wprowadzenie czynnika aktywizmu w zdobywaniu rozpoznań dziejowych, jest nauka języków i literatur ojczystej i obcych. Mowa ludzka bowiem, w swym rozwoju przylegając podatnie i wiernie do wiecznie płynnych i wie-

cznie zmiennych prądów rzeczywistego życia, jest nietylko najdoskonalszym tych prądów w każdej epoce wyrazem, ale jest zarazem najpewniejszym przewodnikiem, wiodącym do praźródeł, w których rodzą się motywy działań ludzkich i tworzą się charaktery jednostkowe, społeczne i narodowe. We współczesnej zaś twórczości literackiej: w poezji, historji czy w wymowie, wypowiada się duch epoki, tak jak on tętni żywym pulsem rzeczywistości, zabarwiony jej swoistym kolorytem, z całą tą nigdy nie milknącą dialektyczną rozprawą między „ja“ i „ty“, którą każda epoka, każdy naród i każda jednostka w nim działająca rozwiązuje inaczej. W ten sposób pojęta i przeprowadzona nauka języków i literatur stanowi istotnie wartościową treść wiedzy historycznej, bo będzie wydobyta z rzeczywistych źródeł twórczych czasów i ludów. Właściwa nauka historji tym rozpoznaniom dostarczy tylko powiązań i pomostów, łączących je w rozwojową całość [1]).

A w tym zespole nauka języka łacińskiego i kultury rzymskiej?

O języku łacińskim i zadaniu, które on ma pełnić w ustroju gimnazjum humanistyczno-realnego *Projekt* wyraża się w ten sens:

Nauka łaciny bez greczyzny nie przedstawia istotnej wartości; *znaczenie łaciny polega bowiem tylko na rozwijającej nauce samego języka, którego budowa i gramatyka odznaczają się matematyczną* (!) *prostotą i jasnością*. Natomiast *literatura łacińska jest tylko słabym odblaskiem literatury greckiej* i sama w sobie pozbawiona jest wartości kształcących. Co więcej — łaciny nie można połączyć z żadnym innym działem nauki

---

[1]) *Projekt* ministerjalny o nauce języków obcych nowożytnych wyraża się w sposób następujący (s. 40): „Skoro uświadomimy sobie, że sama nauka języków nowożytnych ma tylko małą wartość kształcącą, a całe jej znaczenie polega na tem, iż otwiera młodzieży dostęp do literatur obcych narodów, z czego młodzież ta tylko w paru najwyższych klasach korzystać może, jasnem staje się ujemne oddziaływanie tej nauki na całokształt szkoły. Chcąc młodzież doprowadzić do takiego opanowania języków, by swobodnie, ze zrozumieniem i odczuciem utwory literatury czytywać mogła,, trzeba nauce języków poświęcić niemało czasu. Ilość ta będzie tem większa gdy nauka języków ma stanowić podstawę wychowawczą szkoły, wtedy bowiem musi się uczyć przynajmniej dwóch języków i to w poważnym wymiarze godzin. Przez cały więc ciąg szkoły (poza paru najwyższemi klasami) nauka ta, dająca umysłowości ucznia bardzo niewiele, dla osiągnięcia tego celu musi zająć tyle czasu, że nie starczy go już na należyte wyposażenie innych przedmiotów: nauk historycznych i społecznych, oraz nauk matematyczno-przyrodniczych, które nie są tylko narzędziami, jak języki, lecz na każdym stopniu mają w sobie wysokie wartości rozwijające i kształcące. Szkoła, kładąca nacisk na naukę języków nowożytnych, dla przyswojenia uczniom czegoś, co nie ma samo w sobie wartości, lecz jest tylko narzędziem, poświęca istotne wartości wychowawcze, rezygnuje z głębszego wyrobienia i głębszego rozwoju umysłowego młodzieży” (podkreślenia moje). Na tle tego, co powiedziałem powyżej, te zapatrywania *Projektu* nie wymagają komentarza.

w organicznie związaną *podstawę wychowawczą*. Wobec tego przedmiot ten jest w ustroju gimnazjum humanistyczno-realnego czynnikiem całokształtowi szkoły obcym, owszem destrukcyjnym, rozsadzającym szczupłe ramy programu naukowego i burzącym równowagę kształcenia (s. 117 n.).

Pogląd ten przypominam dlatego, ponieważ on tłumaczy i uzasadnia treść i układ obowiązującego obecnie programu nauki języka łacińskiego w pięcioletniem gimnazjum humanistyczno-realnem, programu nierealnego, bo niemożliwego do wykonania, popsutego w dodatku do reszty przez późniejsze rozporządzenia, pozbawionego celu racjonalnie obmyślanego i dostatecznie zrozumiałego. Polemizować z powyższemi wywodami nie widzę potrzeby. Lepiej dać odpowiedź pozytywną. W niej znajdzie się sprostowanie błędnych zapatrywań *Projektu*.

Gdybyśmy my, pedagodzy okularowi, poniżyli swą godność patentowanych wychowawców do tego stopnia, iżbyśmy raczyli zapytać przeciętnego ojca z tzw. sfery inteligentnej, dlaczego syna swego umieszcza nie w gimnazjum klasycznem, ani w gimnazjum matematyczno-przyrodniczem, ale w gimnazjum humanistyczno-realnem, usłyszelibyśmy na pewno odpowiedź: „Bo tam niema greki, ale zawsze jeszcze jest łacina". A gdybyśmy owego ojca pytali dalej, dlaczego właśnie do łaciny takie przywiązuje znaczenie, dowiedzielibyśmy się niezawodnie argumentacji, ujętej mniej więcej w ten sens:

„Łacina jest zawsze jeszcze dzisiaj w życiu potrzebna. Potrzebuje jej prawnik, bo każą mu uczyć się prawa rzymskiego, i medyk, bo pamiętać musi masę wyrazów łacińskich i pisać recepty po łacinie, i historyk albo filozof, bo bez znajomości języka łacińskiego olbrzymia ilość źródeł będzie dla niego niedostępna, i badacz języka i literatury własnej i obcej i ksiądz chyba nietylko dlatego, że Mszę św. prawi po łacinie, i farmaceuta nawet, a nie zaszkodzi i profesorowi choćby matematyki czy nauk przyrodniczych, jeżeli będzie umiał zdać sobie rzeczowo sprawę z tego, czego i poco uczy obok niego jego kolega, fachowiec od języka łacińskiego. Może wolałbym i ja, aby syn mój został kiedyś kupcem, przemysłowcem, technikiem czy fabrykantem, bo to i popłatniejsze i bez łaciny osiągalne. Ale czy ja przewidzieć potrafię, w jakim kierunku i kiedy objawi się jego specjalne uzdolnienie czy zamiłowanie? Mówią mi wprawdzie projekty i programy urzędowe, że dzięki nowemu ustrojowi szkoły średniej decyzja co do wyboru kierunku studjów mojego syna jest ułatwiona, ponieważ czas jej powzięcia przesunięto do jego trzynastego czy czternastego roku życia (*Projekt* s. 51). Ja mam ogromny respekt dla teoryj pedagogicznych, zwłaszcza gdy one są opatentowane pieczęcią urzędową, ale — *salvo honore paedagogorum* — wolę jakoś zawsze polegać na doświadczeniu, które sam we własnem życiu zdobyłem, i na spostrzeżeniach, które, wychowując swe

dzieci, czynię z dnia na dzień i z godziny na godzinę. A te doświadczenia i spostrzeżenia pouczyły mnie, że dyspozycje psychiczne i wynikające z nich uzdolnienia i zamiłowania u rozwijającego się dziecka nawet w jego trzynastym czy czternastym roku nie leżą na talerzu, że owszem wyrażają się dopiero znacznie później, nieraz zupełnie nieoczekiwanie pod wpływem jakiejś książki, przeczytanej przygodnie, niespodziewanego zdarzenia, jakiegoś nauczyciela, który zdołał smarkacza rozgrzać do swego przedmiotu, i tylu, tylu innych czynników, których w naszem tak dziwnie zróżnicowanem życiu wprost przewidzieć nie sposób. I dlatego pragnę, aby mój syn zdobył takie wykształcenie zasadnicze, które, gdy dlań chwila decyzji nadejdzie, dostarczy mu możliwie szerokiej podstawy do wyboru specjalnego studjum, mającego być źródłem twórczem jego zawodowej pracy. I oto dlaczego życzę sobie, aby w szkole średniej uczył się, obok innych niezawodnie pożytecznych rzeczy, także języka łacińskiego. Wprawdzie doktryna pedagogiczna znów usiłuje mnie przekonać, że o ileby syn mój wybrał sobie studjum, do którego znajomość łaciny jest niezbędna, może ją w dodatkowej nauce nabyć na uniwersytecie (*Projekt* s. 140), i że to wówczas nawet łatwiej i skuteczniej uczynić potrafi, niż w gimnazjum. Ale mnie znów moje skromne doświadczenie uczy, że czego się Jaś nie nauczył, tego Jan uczy się już daleko trudniej. Zresztą w moim rozumie, nie bardzo przystępnym dla pedagogicznych racyj, a ograniczonym do zrozumiałych dla mnie wniosków z codziennych spostrzeżeń, wyobrażam sobie, że syn mój, zdobywszy „wykształcenie ogólne", z chwilą gdy rozpoczyna studjum specjalne, ma mu się oddać w zupełności, a nie ograniczać jego wydatności przez dodatkowe uzupełnianie braków, które powinna była wypełnić szkoła średnia".

W ten sens rozumuje przeważna większość rodziców, ci mianowicie, którzy dla dzieci swoich przeznaczają gimnazjum humanistyczno-realne jako podstawę średniego kształcenia. Teoretyk pedagog odeprze zapewne takie dowodzenia uwagą, że wszystko to są względy utylitarne, tak powierzchowne, że racjonalna pedagogja nie ma potrzeby liczyć się z niemi poważnie (*Projekt* s. 138). Nie będę rozwodził się nad tem, że i utylitaryzm, jeżeli on wyraża się w pewnym kierunku jako przeważna dążność społeczna, jest czynnikiem, do którego bezstronnie i rzeczowo powinna ustosunkować się każda instytucja społeczna, zatem także szkoła. Chodzi raczej o rzecz ważniejszą. Prądy społeczne mają tę właściwość, że ogół, który im ulega, motywy tej swej uległości czerpie nie z ich istotnych źródeł twórczych, ale z ich powierzchni, te właśnie, które jako zjawiska następcze, są bezpośrednio i odrazu dostępne. Rzeczą tych, którzy powołani są do kierowania objawami życia, nie jest podchwytywać owe powierzchowne

sądy i uderzać na nie aparatem racyj zasadniczych — bo taka walka, z pozoru łatwa, jest z góry beznadziejna, prądu społecznego nie zatrzyma, a stwarza tylko groźne konflikty. Owszem trzeba sięgnąć do tych głębin prądu społecznego, w których poczyna się i kształtuje jego rzeczywista treść, bo tylko wtedy można go wyrozumieć trzeźwo i rzeczowo i temu, co w nim jest intuicyjne i rozlewne, wyznaczyć racjonalnie ograniczone koryto.

W rozmaitych epokach rozwoju kultury europejskiej pogląd na znaczenie i wartość języka i literatury łacińskiej kształtował się rozmaicie. Los wszystkiego, co minęło i istnieje już tylko w abstrakcyjnem ujęciu! Przeszłość każde przyszłe pokolenie ogląda przez coraz inaczej swoiście zabarwione okulary.

Was ihr den Geist der Zeiten heisst,
Das ist der Herren eigener Geist,
In dem die Zeiten sich bespiegeln.

Był czas, kiedy wymowa i styl, z niewolniczą wiernością odtwarzający łacińskie wzory klasyczne, były celem gorących zabiegów i dowodem kultury umysłowej, przyczem mniejsza o to, czy jak np. we Włoszech, pławiono się w gładko utoczonych i misternie powiązanych okresach łacińskich z tą samą rozkoszą wysubtelnionych estetów, z jaką pieszczono wzrokiem kształty posągu, świeżo dobytego z zapomnianych rumowisk, czy też, jak np. w Niemczech, w łacińskiej wymowie, pilnie wymozolonej na modłę Cycerona i Kwintyljana, upatrzono jedynie możliwą i naprawdę wartościową formę słowną dla idei, uchodzących wówczas za zasadnicze. W ośrodku zainteresowania była stylistyka łacińska. — Przyszedł potem czas, kiedy w kulturze helleńskiej upatrzono skończony pierwowzór doskonałego człowieczeństwa. Musiał skąpać się w niej, przejąć jej treścią i myślą ten, kto z wyżyn ducha zapragnął opanować powszedniość, racjonalizującą płytko o pożytkach życia. Tak też tylko wykształcony człowiek był przydatny do pełnienia odpowiedzialnej służby społecznej i państwowej. Ta idea była matką gimnazjów klasycznych i przez przeciąg XIX w. wniknęła przeważnie w ustrój szkolnictwa średniego, stworzywszy metody, które stały się trwałym i niełatwym do zastąpienia dorobkiem. Język łaciński i kultura rzymska mimo przyznanego temu przedmiotowi wydatnego wymiaru czasu szkolnej nauki, zajęły wobec greczyzny stanowisko zasadniczo podrzędne, albo raczej pomocnicze. Głównem zadaniem tego przedmiotu było wyrobienie tzw. wprawy językowo-logicznej (*sprachlichlogische Schulung*). Natomiast literatura rzymska spełniała rolę niby powierzchni płynącej wody, dlatego przedewszystkiem godnej uwagi, że w niej zwierciedli się kultura grecka — niestety, często tak znamiennie po rzymsku załamana! Na tych podstawach powstał ideał kształcenia, który swego czasu opanował wszechwładnie system średniego nau-

czania, zapewniając mu wyłączność uprawnień do studjum naukowego we wszystkich kierunkach wiedzy.

Dziś zmieniły się poglądy, a pierwotny ideał w jednym kierunku okruszał i skurczył się znamiennie, ale zato w drugim rozszerzył i pogłębił. W przedmowie do mowy rektorskiej pewnego kolegi z r. 1838 Gottfried Hermann upatrzył dwa przymioty, które w kształceniu naukowem zapewniają językom klasycznym niezaprzeczoną wyższość i bezwzględną niezbędność: „Naprzód bowiem niemasz pewniejszego i lepszego środka, zapewniającego naprawdę liberalne wykształcenie; następnie te nauki wyostrzają i wzmacniają siły duchowe, uzdolniając je do studjum w zakresie wszystkich umiejętności. Obcych i martwych języków można wyuczyć się tylko przy wytężonej uwadze. Gdy przywykniemy od dziecka pilnie w nich się zagłębiać, to uczymy się przez to nie czynić nic bez rozwagi i starania. Przytem jednak są literackie zabytki Greków i Rzymian wiekuiście nieprześcignionemi wzorami dobra, prawdy i piękna, jakich nie znajdziemy nigdzie zresztą, zwłaszcza w piśmiennictwie nam współczesnem, którego produkty, nawet najdoskonalsze, wnet się starzeją i przestają uchodzić za wzorowe. A wreszcie jeszcze jedno. Ponieważ obecnie drukowana książka i szkoła upowszechniły wydatnie literackie wykształcenie wśród ogółu ludności, znajomość języków greckiego i łacińskiego jest niemal jedynem znamieniem, które pozwala wyróżnić uczonego od reszty społeczeństwa“ (u Paulsena, *Richtlinien der jüngsten Bewegung im höheren Schulwesen Deutschlands* 1909, s. 5).

Te słowa brzmią dziś, jak głos z innego świata. Odkrycia dokonywane dotychczas i postęp wiedzy w zakresie badań starożytniczych rozwiały wiele złudzeń i sprowadziły uwielbienie dla ideału helleńsko-humanistycznego do miary, wskazanej przez rzeczywistość historyczną. A potem — w ogniu namiętnej walki, która pod wpływem niebywałego rozrostu nauki i prądów społecznych rozgorzała o byt lub niebyt gimnazjów klasycznych, zmienił się i skrystalizował, zgoła inaczej niż przed kilkudziesięciu laty, pogląd na zadanie, które spełnić mają oba języki starożytne w obecnej szkole średniej. Dziś nikomu nie przyjdzie na myśl dowodzić potrzeby podtrzymania czy rozwoju szkół tego typu przez wskazywanie na wszechludzki i wszechobowiązujący ideał człowieczeństwa, tkwiący nieruchomo i bezrelatywnie ponad toczącą się rzeczywistością. Rozstrzygające natomiast jest zagadnienie: starożytność klasyczna a my, ludzie dzisiejsi, czyli inaczej: czy i jakie wartości, złożone w mowie i kulturze Greków i Rzymian, wiążą się tak z zasadniczemi kierunkami dzisiejszego życia, że z uświadomienia tego związku w sposób naturalny i w skutkach doniosły wyłaniają się motywy twórczego działania w obecnej pracy społecznej i narodowej. Odpowiedź na

to zagadnienie jest już dziś gotowa. Oto współczesna nam kultura europejska korzeniami swemi tkwi w kulturze starożytnych Greków i Rzymian: kto zapragnie nietylko biernie, jak kółko w maszynie, przylegać do tych czy innych prądów bieżącej rzeczywistości, ale zechce ją zrozumieć, a zrozumiawszy zapanować duchowo nad nią i nad sobą, ten musi sięgnąć do jej źródeł. Stwierdzenie tego faktu nie jest rzeczą nową, ale nowym i dość niespodziewanym jest nacisk, z jakim go podniesiono i rozwinięto w ostatnich latach powojennych, a zwłaszcza nowe są konsekwencje, które stąd wyłoniły się w ustroju i metodach nauczania przedmiotów klasycznych.

Wobec kultury narodowej filologja klasyczna w szkolnej nauce zajęła stanowisko służebne [1]): jest tłem, na którem we właściwej swej istocie ma wyplastycznić się swoista twórczość narodowa. Oczywiście w zakresie greczyzny nacisk zawsze będzie spoczywał na wartościach bezwzględnych. Osią zainteresowania pozostanie potężna trójca: Homer, Sofokles, Platon. Wobec ogromu problemów, związanych z temi imionami, znika postać i indywidualność autorów, zaciera się nawet środowisko społeczne, a natomiast dźwiga się wspaniała budowa twórczej myśli, przez którą człowiek europejski po raz pierwszy, w wolnym wysiłku ducha, sięgnął po rozwiązanie zasadniczych zagadnień bytu swego na ziemi. Nauka greczyzny spełni swe zadanie, gdy zdoła uwypuklić i uświadomić te właśnie w literaturze i kulturze helleńskiej złożone wartości, zawsze żywe i świeże, bo wiekuiście ludzkie i dlatego zawsze płodne w coraz nowe impulsy myśli, bez względu na to, z jakiego stanowiska ta lub inna epoka, ten lub inny naród ogląda je i ocenia. Inna rzecz, gdy chodzi o naukę łaciny w szkole średniej. Zapewne — nie można i dzisiaj wyrzec się korzyści, które wieloletnia praktyka w zakresie metodyki nauczania zapewniła raz na zawsze temu przedmiotowi. Rzymska literatura będzie zawsze, jak była od świtu średniowiecza, wprawdzie nie *mdłym odblaskiem* kultury helleńskiej, jak twierdzą autorowie *Projektu*, ale pośredniczącym pomostem do niej. Zachowa też i nadal doniosłe dla humanistycznego wykształcenia znaczenie formalna strona nauki języka łacińskiego, polegająca na karnem dostrojeniu słowa do treści i odcieni myśli, owa wprawa językowo-logiczna, którą, jak doświadczenie pouczyło, znakomicie kształci metodyczne wyzyskanie gramatyki łacińskiej w ciągłym związku z gramatyką języka ojczystego, tudzież rozumnie i celowo dokonywane tłumaczenie. Być też może, że do urozmaicenia

---

[1]) Ta zasada znalazła już wyraz np. w niemieckich urzędowych programach naukowych pt. *Richtlinien für die Lehrpläne der höheren Schulen* I. T. 4. u. 5. Aufl. s. 11: „der altsprachliche Unterricht muss von sich aus in Wechselwirkung mit den anderen Fächern treten, und zuweilen wird er e i n e d i e n e n d e R o l l e spielen müssen“.

nauki przyczyni się także propagowana dziś z zapałem przez pewien odłam pedagogów niemieckich metoda genetycznego tłumaczenia formacyj gramatycznych, zwłaszcza w zakresie morfologji[1]), tudzież nacisk, położony na psychologiczną stronę zjawisk językowych, głównie w zakresie składni. Jednak coraz wyraźniej upowszechnia się świadomość, że wszystkie te sposoby i stawiane przez nie zadania są wobec dzisiejszych dążeń i nastrojów społecznych półśrodkami, już nie wystarczającemi do uzasadnienia niezbędności łaciny jako czynnika, organicznie związanego z ustrojem i tendencją współczesnego kształcenia[2]), że owszem obok wartości formalnych, które dotychczas przeważnie decydowały o metodach i kierunkach nauczania tego przedmiotu, zająć musi wybitne miejsce idea, i to idea nie zapożyczona, ale wyrosła na swoiście rzymskiem podścielisku społecznem, a przytem tak żywotna, że i dziś jeszcze jest i nadal powinna być płodna. Nie można oczywiście gloryfikować w szkole polityki i imperjalizmu rzymskiego, co sprzeczneby było z sumieniem dzisiejszej kultury, mniejsza o to, że niekoniecznie i nie zawsze zgodnem z praktyką działania. Ale naród, który urósłszy z małej gminy wieśniaczo-pasterskiej, wśród nadludzkich zapasów ogarnął i w spoistą organizację państwową ujął olbrzymie obszary, zamieszkałe przez ludy, przewyższające go nieraz wielowiekową kulturą, nie zdobył tej potęgi tylko przez przewagę siły fizycznej i metody politycznej taktyki: podstawą i źródłem jego wielkości były swoiste wartości etyczne, które tworzone i ustalane

[1]) Ten kierunek nauczania gramatyki zastępuje u nas — niestety stanowczo w przesadnym nadmiarze — *Gramatyka Łacińska* prof. T. Sinki. Spełniając postulat *Instrukcji* ministerjalnej do nauki języka łacińskiego w gimnazjach tzw. humanistycznych i klasycznych nowego typu, umieściłem w moim podręczniku pt. *Wstępna nauka języka łacińskiego* uwagi z zakresu genezy form łacińskich w związku, gdzie to było możliwe, z analogicznemi zjawiskami w języku polskim. Tu korzystam ze sposobności, aby zaznaczyć, że uwagi te wyzyskać może nauczyciel z korzyścią tylko wówczas, gdy spełnione będą następujące warunki: 1. jeżeli sam opanowuje w dostatecznej mierze historyczną gramatykę nietylko języków klasycznych, ale także języka polskiego, 2. jeżeli uczniowie jego w klasach niższych, tj. w pierwszej do trzeciej, zdobyli elementarne wiadomości o powstaniu najważniejszych formacyj morfologicznych w języku polskim, 3. jeżeli czas, przeznaczony dziś na elementarną naukę języka łacińskiego w wymiarze aż nadto szczupłym i ciągle uszczuplanym, pozwoli na wprowadzanie wyjaśnień, które bądź jak bądź oznaczają pomnożenie i tak olbrzymiego materjału, zepchniętego na przeciąg dziesięciu miesięcy. Naczelnem zadaniem elementarnej nauki języka łacińskiego jest wprawa w poznawaniu i stosowaniu najpowszechniejszych form gramatycznych w związku z najważniejszemi prawidłami składni łacińskiej. A tu zawsze, a w naszych warunkach szczególnie, najprostsza i najkrótsza droga najskuteczniej wiedzie do celu.

[2]) O tem obszerniej w wybornej rozprawie Edw. Fraenkla pt. *Die Stelle des Römertums in der humanistischen Bildung* w zbiorowem dziele pt. *Gymnasium. Im Auftrage des Zentralinstitutes für Erziehung und Unterricht* herausg. v. Otto Morgenstern s. 85 n. Por. też Richard Heinze, *Von den Ursachen der Grösse Roms. Rede beim Antritt des Rektorats*, Lipsk, Teubner 1925.

z pokolenia w pokolenie w niebywale konsekwentnej pracy, nie wyrażały się już tylko jako ustrój psychiczny tego lub owego wybitnego człowieka, ale stały się własnością powszechną, koniecznością społeczną, równie naturalną i zrozumiałą, jak samo życie. Opowieść o Menenjuszu Agrypie i jego bajce jest może legendą, ale legenda lepiej odzwierciedla podścielisko psychiczne, z którego rodzi się działanie, niż nagi fakt historyczny. Ów wódz rzymski, który z niezachwianą wiarą w skuteczność swej ofiary rzuca się sam jeden w tłum nieprzyjaciół, aby ocalić wojsko i rzeczpospolitą, otworzyłby szeroko oczy, gdyby mu ktoś powiedział, że poświęca osobistą dolę na rzecz dobra ogółu. On tak czyni, bo musi, bo gdyby postąpił inaczej, czułby się bez miary nędznym i nieszczęśliwym, bo poprostu wyklucza siebie, kiedy myśli i działa w imię idei państwowej. Wergiljusz jest przy całej zawisłości od pierwowzorów greckich i mimo miękkości charakteru prawie kobiecej *vir vere Romanus* przez niezachwianą wiarę w rzymską rację państwową, zagwarantowaną przez odwieczne przeznaczenie i wolę bogów. Cycero jest w zakresie filozofji eklektykiem, ale ten jego eklektycyzm nie jest dorywczem i dowolnem gromadzeniem okruchów z twórczości obcej: jest w nim system, którego podwaliną i uzasadnieniem jest ideologja specyficznie rzymska, z postulatów rzymskiego życia, stwierdzonych przez rezultaty życia, wywodząca i oceniająca idee o życiu i wskazania dla życia. A co wyraża się w dziejach i twórczości Rzymu i Rzymian, w postaciach takich, jak Apjusz Klaudjusz, M. Kato itp., w odach rzymskich Horacjusza, w działalności wewnętrzno-politycznej Augusta, to samo zwierciedli się w języku, w konstrukcji wyrazów i zdań, nawet w pojedynczych słowach, symbolizujących pojęcia tak swoiście rzymskie, że w żadnym innym języku niemasz dla nich odpowiedników zupełnie ścisłych. Rzymska *virtus* nie jest cnotą ani męstwem, wyzywającem dla wyładowania energji życiowej zawadjacko los i śmierć, ale karną i realnie trzeźwą mocą wnikania przez własne życie i każdy czyn życia w ideę państwową i w tradycję narodową; *dignitas* rzymska nie jest tylko świadomością osobistej godności, ale dumnem poczuciem przynależności do *populus Romanus Quiritium*. A ileż powiedzieć mogą o istotnych warunkach społeczno-państwowego ustroju i o charakterze Rzymu słowa takie, jak *familia, gens, manus, caput* itp.! Tych kilka przykładów wystarczy, aby wyjaśnić, o co chodzi. Gdy nauka greczyzny ma zaprowadzić ucznia na obszary, z których genjalna myśl jedynego w dziejach ludzkich narodu dobyła źródła, zapładniające twórczość dzisiejszą zawsze nową podnietą, to język, literatura i kultura rzymska ma mu okazać naród, który również w sposób w dziejach jedyny i bezprzykładny zdołał pojąć i urzeczywistnić ideę państwową. „Każdą lekcję języka łaciń-

skiego od pierwszej godziny powinien przenikać powiew historji... Rzymska twórczość pociąga nas nieodpornie do tego, co tkwi poza nią, do wojowników i ofiarników rzymskiego życia, do rozmachu mas, ożywionych jedną wolą, lub do majestatycznej *gravitas*, która była naturalnym gestem rządzącego światem narodu w todze. Im bardziej rzymski jest jaki utwór rzymskiej prozy lub poezji, tem potężniej od dna dzieła dźwiga się rzymska *virtus*, wielorakie powiązanie w obyczaju i religji, rodzinie i rodzie, stanie i państwie, triumf i upadek, całe odwieczne przeznaczenie *populi Romani Quiritium*, jako coś bez porównania ważniejszego od samego dzieła. Daleko większy, niż każdy pojedynczy wytwór rzymski jest po wsze czasy Rzym“ (E. Fränkel jw. s. 96). Wprowadzić uczniów w tę atmosferę swoiście rzymskiego życia znaczy to: zapewnić im dorobek społeczno-etycznych impulsów, chyba bezcenny w czasach, kiedy egoizm indywidualny i partyjny, doktrynerski iluzjonizm, zanik autorytetu władzy i mądrych ludzi rozsadzają więź społeczno-państwową. Ale ten obraz Rzymu nie powinien narzucać się *ex cathedra* z widoczną tendencją dydaktyczną lub, co najgorsze, z niechętną aluzją do dzisiejszych stosunków: niechaj on przy oględnej pomocy nauczyciela wyłoni się sam z siebie, z żywej mowy poetów, historyków, mowców rzymskich. Wtedy stanie się twórczem pchnięciem myśli i uczucia ku rozważeniu, czem może stać się i do czego doprowadzić naród, któremu *virtus, pietas, iustitia* nie były tylko postulatem, zawieszonym w obłokach ideału, ale realnym warunkiem działania, *auctoritas* była równoznaczna ze świadomością odpowiedzialności, któremu *res publica* była *res populi*, a obywatel tylko jej członkiem. Oto jest jedno z głównych, może naczelne zadanie, które ma spełnić nauka łaciny w humanistycznej szkole. Jest jeszcze drugie.

Najcenniejsze wartości, które wydobył ze siebie i wykształcił naród rzymski we wielowiekowej pracy dziejowej, nie znikły wraz z upadkiem jego państwa. Ich dziedzicem został przedewszystkiem Kościół rzymski. „Grecja spełniła swe zadanie, zbliżywszy wzajemnie chrześcijaństwo i duchową kulturę starożytnego świata. Po żydostwie i Grecji przyszła kolej na Rzym, który miał chrystyjanizm i starożytność w pełni zbratać, oddając, co miał najlepszego na dalszy rozwój kultury światowej, swój genjusz organizacji, swą męską prostotę i stanowczość, swą dzielność i wytrwałość, przez które trwałą postać przybrały formy, związane odtąd z przodowniczą rolą w rozwoju dzieła kultury” (Schnürer, *Kirche und Kultur im Mittelalter*, Paderborn 1924, I s. 20). U schyłku państwowości rzymskiej chrześcijanie rzymscy są Rzymianami z krwi i ducha. Rzymska jest reguła św. Benedykta, w ustroju zakonnego życia odtwarzająca wiernie zespół rzymskiej *familia* ze swym

władcą i panem, *pater familias*, na czele. [1]) Rzymianinem jest papież Leon I, kiedy w porywających kazaniach łamie ręce nad upadkiem i nędzą wspaniałego do niedawna imperjum. Tu i „w zapoznawanej do niedawna kulturze średniowiecza tkwią korzenie nowożytnego świata, od tych czasów po obecną teraźniejszość sięgają siły i formy, istniejące w Kościele rzymskim. A cały ten proces wyraża się w późnem piśmiennictwie łacińskiem... Świat łaciński przedstawia nam się dziś jako prażródło dzisiejszego świata, nie na podstawie uczoności renesansowej, która go odkryła równie jak helleńską kulturę, ale na podstawie bezpośredniej ciągłości, wśród której był od świtu średniowiecza i jest po dziś dzień czynnikiem współtwórczym życia" (Hellpach s. 112).

I tak wyłania się dla języka łacińskiego w szkole humanistycznej nowe zadanie. Ma on odtąd nietylko pośredniczyć w poznaniu wartości klasycznej kultury rzymskiej, ma nadto uświadomić dalsze życie, rozwój i wpływ tych wartości aż po dni dzisiejsze. Te zadania nietylko rozszerzają i pogłębiają zakres i treść nauki języka łacińskiego i wskazują jej nieoczekiwane kierunki i metody, ale stwarzają, obok utrwalonych dotychczas, nowe nici, wiążące ten przedmiot w organiczną całość z całym działem historyczno-literackim ustroju szkolnego, zwłaszcza z kulturą narodową, a mogą i powinny być spełnione zwłaszcza tam, gdzie dla braku nauki greczyzny rola łaciny jako pomostu do kultury greckiej może zaznaczyć się tylko w niedostatecznej mierze, zatem przedewszystkiem w gimnazjum humanistyczno-realnem. Jak wobec tego oceniać należy stanowisko autora *Projektu*, podług którego nauka łaciny w gimnazjum humanistyczno-realnem jest szkodliwym natrętem, nie wiążącym się z nauką języka polskiego, historji i nauk społecznych, jest czynnikiem obcym, rozsadzającym ramy programu naukowego z wybitną szkodą całości?

Muszę na razie wyrzec się sprawozdania o tem, jak rozważone powyżej kierunki i wskazania wyrażają się w teorji i w praktyce nauczania, względnie jak powinnyby wyrazić się u nas. Wystarczy w tej chwili sprostować nareszcie raz nienaukowe i stronniczo wypaczone stanowisko autora czy autorów *Projektu* i wskazać na istotne podstawy reformy, której uledz powinien program nauki języka łacińskiego w humanistyczno-realnem gimnazjum.

Polska jest od tysiąca lat nierozerwalnie związana z kulturą europejskiego zachodu. Na tym gruncie rozwinęła i rozwija swą swoistość narodową, polityczną i społeczną, umysłową i moralną. Niemasz chyba Polaka, któryby zapragnął ten fakt wyeliminować poza nawias przyszłego rozwoju dzie-

---

[1]) Por. J. Kuckhoff, *Die Regula S. Benedicti als Bildungs- und Unterrichtsstoff* (Neue Jahrb. für Wissenschaft und Jugendbildung 1926, s. 711).

jowego narodu. A wśród wiązadeł, łączących nas z Zachodem, najistotniejszemi i najmożniejszemi są kultura rzymska i Kościół rzymski. Tradycyjnie utrwalone wyczucie tego powiązania, mniejsza o to czy świadomie czy tylko intuicyjnie czynne, tłumaczy też zaznaczającą się przeważnie tendencję społeczną, która faworyzuje szkoły średnie z łaciną i domaga się nietylko u nas, ale i gdzieindziej,[1]) wprowadzenia nauki tego przedmiotu tam, gdzie jej dotąd niema. Postulaty narodowej kultury, które stąd wypływają, zlekceważono na razie w programach urzędowych. Chodzi o to, aby błąd najrychlej naprawić.

REGINA SCHÄCHTER

PREPARACJA A LEKTURA AUTORÓW STAROŻYTNYCH

Żądamy i żądać musimy, by lektura autorów starożytnych działała na uczucia estetyczne i etyczne ucznia tak, jak utwór czytany w języku ojczystym. Jeśli rzeczywistość często tym żądaniom nie odpowiada, jeśli utwór łaciński lub grecki już z góry budzi w uczniu odrazę lub bodaj niechęć, która jest grobem wszelkiego zrozumienia i odczucia piękna, to wina leży w słabem przygotowaniu uczniów do lektury tych utworów. Przed wszystkiemi zagadnieniami dydaktyki języków klasycznych stoi przygotowanie językowe; dopiero po jego osiągnięciu można myśleć o wyjaśnieniu utworu. Kiedy jednak utwór klasyczny przedstawia się oczom ucznia jako lamus, pełny form gramatycznych mniej lub więcej „trudnych“, kiedy język autora jest mozolnie dokonanym zlepem z wypisanych czy raczej odpisanych „słówek“, jeśli brak uczniowi podstawowych wiadomości rzeczowych, na którychby treść utworu oprzeć się i ugruntować mogła, to lektura autorów łacińskich i greckich w klasach wyższych jest pracą syzyfową. Uczeń musi do lektury przystąpić z pewnem przygotowaniem, a to gramatycznem, leksykalnem, rzeczowem. Obejmijmy ten trojaki rodzaj przygotowania utartą nazwą preparacji.

Metodyczne przeprowadzenie preparacji nad każdym autorem, zróżnicowane wprawdzie według stopnia nauki, ale nigdy nie pozbawione systematyczności, uważam za jeden z głównych postulatów dzisiejszej nauki języków klasycznych. Preparacja ma być przygotowaniem gruntu do zrozumienia danego utworu, ma dać wszystko to, czego się z utworu samego nie wyczyta, do czego się i po przeczytaniu nie dojdzie, ma podać wiadomości, których brak wytwarzałby między uczniem

[1]) Ob. np. O. Barth, *Geschichte der Erziehung in soziologischer und geistesgeschichtlicher Beleuchtung*, 5. u. 6. Aufl., s. 732.

a czytanem dziełem przepaść, nie dającą się zasypać dorywczemi uwagami i objaśnieniami nauczyciela.

Czy ma to być preparacja drukowana? Coraz więcej preparacyj i objaśnień do utworów starożytnych zalega nasze półki księgarskie, a wśród autorów spotykamy nazwiska ludzi poważnych, zasłużonych na polu szkolnictwa. Zastanówmy się nad ich wartością.

Kilka przykładów może posłużyć do ogólnej oceny — zwłaszcza, że mam zamiar wziąć pod uwagę najlepsze. Biorę do ręki preparację Terlikowskiego do Owidjusza.[1]) Na s. 48 znajduję objaśnienia do opowieści o Niobie: „1. *fremere* brzmieć, gruchnąć, tutaj: Po całej Lidji gruchnęła (wieść o przemianie Arachny w pająka); *rumor facti* pogłoska o tem zdarzeniu (tj. o przemianie Arachny w pająka), 2. *ire* o pogłosce rozchodzić się.” To nam może wystarczyć. Uczeń ma „słówka“, będzie z nich lepił tłumaczenie. Musi ono wypaść tak: „Po całej Lidji gruchnęła i po miastach Frygji rozchodzi się pogłoska o tem zdarzeniu“. Biedny poeto! Biedniejszy uczniu, któremu się w takiem opakowaniu podaje kwiaty poezji!

Przedstawmy sobie, coby tu się mogło stać, gdyby uczeń takiej preparacji nie miał. Oto gotów był zrozumieć, że *Lydia tota fremit* znaczy: „Lidja cała huczy“, a *rumor facti it* odważyłby się w braku szczególniejszych uwag przełożyć: „wieść idzie“; co więcej, gotów byłby dzięki tym tak prostym i bezpośrednim wyrażeniom słyszeć pomruk głosów w Lidji i widzieć wieść, idącą po miastach Frygji. Czy mógłby też widzieć rozchodzącą się pogłoskę, o tem wątpię.

Wśród preparacyj obecnie u nas używanych, dzierży prym preparacja Rapaporta do Owidjusza[2]). Ma ona podkład rzeczywiście naukowy. Zestawienia z zakresu etymologji, zakrojone na szeroką skalę, dokładny komentarz rzeczowy — to zalety niezrównane, do których nie przywykliśmy u naszych dotychczasowych autorów preparacyj. A jednak... Otwieram książeczkę na s. 188: „Ostatnia wola Propertiusa“. Czytam z całem uznaniem uwagi o deminutywach w liryce i języku ludowym przy objaśnianiu wyrazu *ocellus*, ale zaraz potem dowiaduję się niepotrzebnie, że *accipe* znaczy: „posłuchaj“, a wnet czytam już cały przekład: „Posłuchaj więc, jakich zleceń masz przestrzegać, co do mego pogrzebu, kiedykolwiek śmierć zamknie moje oczy“. Choćbyśmy już nie zważali na to „więc“ (tego chyba znaczenia *igitur* tu nie ma), choćbyśmy nie zważali na ten aż nadto prozaiczny przekład, jak przebaczyć sam fakt, że się przekład całego zdania tu znalazł? Jak

[1]) Franciszek Terlikowski, Preparacja do wyboru pism Owidjusza, Książnica 1920, por. ocenę Uricha (Muzeum XXXV 189 n.).

[2]) Artur Rapaport, Preparacje do wiązanki wierszy P. Owidjusza Nasona (w oprac. Dr. Sinki), Książnica 1923, por. ocenę Kościńskiego (Muzeum XXXIX 86 n.).

przyjąć to, że pełno w książeczce zdań tłumaczonych, a tyle zdań łacińskich ustawionych w tzw. szyku? Czy uczeń może jeszcze poznać po tem wszystkiem poetyczną strukturę zdania, czy potrafi ująć w całość *disiecti membra poetae?* Nikt nie odmówi wartości niektórym działom preparacji Rapaporta, objaśnieniom rzeczowym i uwagom gramatycznym, zwłaszcza etymologicznym; innych zalet jednak widzieć tam nie można.

Zaglądnijmy jeszcze do *Komentarza wybranych pieśni Horacego* Rzepińskiego, Kraków 1921[1]): ma on zalety niepośledniе przedewszystkiem dzięki uwydatnieniu wpływu Horacego na poetów polskich i cytowaniu odpowiednich zwrotek z pieśni naszych poetów, dzięki też objaśnieniom rzeczowym, dodatkowi metrycznemu itd. Wyobraźmy sobie, że uczeń bierze tę książeczkę do rąk: dowiaduje się np. przy objaśnieniach do Ody I, 1. że „*sunt quos* = *nonnullos*, dlatego bez wpływu na składnię“; że „*collegisse* inf. perf. na oznaczenie radości (*iuvat*) z dokonania faktu“, 2. „*evitata meta* wyminięcie mety“; że „*terrarum dominos* to apozycja do *deos*“ (na co się, nawiasem mówiąc, nie godzę); dalej znajduje zbyt daleko idący wywód o znaczeniu wyrazu *mobilis*, dowiaduje się niepotrzebnie, że *certat tollere* znaczy: „na wyścigi wynosi“ (choć mógłby sam lepiej i plastyczniej stworzyć sobie obrazowe pojęcie tego wyrażenia i znaleźć odpowiednik w języku polskim); wreszcie czyta streszczenie rzeczowe i już wie, czego chce Horacy w tej odzie, ba nawet może znać treść p r z e d przeczytaniem ody. Komentarz daje mu już to, do czego mógł, a raczej powinien był sam dojść — przeszkadza więc swemi przedwczesnemi uwagami samodzielnemu wnikaniu ucznia w treść utworu.

Jeśli komentarz ma mieć rację bytu w nauce szkolnej, musi on ograniczyć swój zakres działania, bo przecież on nie zastąpi nigdy pracy szkolnej, polegającej na współpracy ucznia i nauczyciela, ale może ją, niestety, paraliżować. Praca szkolna zasadza się i polega na szukaniu dróg do zdobycia wiedzy, na wspólnem szukaniu nauczyciela i ucznia, a nie na połykaniu gotowych preparatów naukowych. Nic nie kształci tak ucznia, jak to szukanie, nic go tak nie przygotowuje do życia, nic nie formuje tego prawdziwego człowieka, „der immer strebend sich bemüht“. Korzyść jaką uczeń odniesie przez najgruntowniejsze zrozumienie utworu dzięki komentarzowi, jest znikoma w stosunku do tej, którą mu daje własny jego proces myślowy. Odstąpiliśmy od wykładu *ex cathedra:* jesteśmy dumni z tego, żeśmy weszli między uczniów i współpracujemy z nimi. Wystrzegajmy się jednak książek, mówiących *ex cathedra* tam, gdzie trzeba pracy własnej bądźto ucznia, bądźto nauczyciela.

Cóż więc zostaje dla komentarza? Odpowiem krótko: Komentarz przeznaczony dla ucznia, może iść tylko w dwu

[1]) Z większą dla siebie korzyścią może się uczeń tego dowiedzieć przy stosowaniu metody zalecanej przez Sinkę Wskazówki metodyczne, s. 45—46.

kierunkach: 1. dawać objaśnienia rzeczowe oraz 2. łączyć utwór dany z jego przeszłością i przyszłością, cytując z jednej strony ewentualne jego źródła, z drugiej miejsca z dzieł późniejszych, zwłaszcza z piśmiennictwa polskiego, dla których dany utwór jest źródłem. Wszystko inne należy do szkoły[1]).

Drogę do zrozumienia utworu ma uczniowi utorować metodycznie przeprowadzona nauka szkolna. W systemie nauki szkolnej, a nie w drukowanej książeczce ma być zawarta preparacja do umiejętnej lektury autorów (por. Cramer s. 283). Ta preparacja ma (podobnie jak tego żąda Bednarowski od drukowanej) mieć trzy wytyczne: część gramatyczną, leksykalną i rzeczową. Gramatyczna i leksykalna łączą się oczywista i nakrywają nawet w pewnych punktach. Przejdźmy te trzy części preparacji po kolei.

1. Preparacja gramatyczna. Tekst wymagający zwrócenia uwagi na rzeczy co do konstrukcji nowe albo

---

[1]) Zagadnieniem przyznawania lub odmawania dodatniej wartości preparacjom zajmują się autorowie rozpraw i książek z zakresu dydaktyki jęz. klasycznych bardzo gorliwie. W niemieckich podręcznikach, jak Scheindler, Methodik des Unterrichts in der lateinischen Sprache, Wien 1913, Dettweiler-Fries, Didaktik und Methodik des lateinischen Unterrichts, München 1914, Cramer, Der lateinische Unterricht. Ein Hilfsbuch für Lehrer, Berlin 1919, brzmią echa tego zagadnienia: czy mamy do szkoły dopuszczać preparacje, czy też nie? Scheindler (s. 109 n.) jest stanowczym wrogiem wszelkich preparacyj drukowanych, bo widzi w nich niebezpieczeństwo dla samodzielności ucznia niemniejsze niż w gotowych tłumaczeniach (por. Cramer s. 377 n.). W podręczniku Dettweilera jest droga kompromisowa: komentarz lub preparacja umiejętnie ułożone, z uwagami nie wychodzącemi poza ramy konieczności mogą oddawać dość znaczne usługi, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o domowe przygotowanie się ucznia (s. 145); należy jednak stanowczo unikać zbyt daleko idących preparacyj (s. 217). Na podobnem stanowisku stoi E. Urich (Muzeum XXXV 1920, s. 189), podkreślając wyraźnie, że preparacja może mieć wartość jedynie dla nauki domowej wogóle lub lektury domowej, natomiast przy nauce w szkole jest niepotrzebna, a raczej szkodliwa. Stanowczym wrogiem preparacji jest T. Sinko, Wskazówki metodyczne w Progr. gimn. państw. Język łaciński, Warszawa 1922. Uważa bowiem (s. 39), że preparacja drukowana jest zwykle tłumaczeniem rozbitem na małe porcje czy dozy, połączone wyrazami. Dodatnią wartość widzi w preparacji Kościński (Muzeum XXXIX 1924, s. 86): „Preparacja wytrąca z rąk uczniów gotowe tłumaczenia,ułatwia męczące i mozolne wyszukiwanie w słowniku" (to jest bardzo wątpliwe). Jakiemi używane u nas preparacje są, a jakiemi być winny, przedstawił pięknie Bednarowski, Preparacja do autorów starożytnych (Przegląd wydawnictw Książnicy-Atlasu z r. 1924). Od idealnej preparacji żąda B. wskazówek w trzech kierunkach: 1. leksykalnych, 2. gramatycznych i 3. rzeczowych. Co do 1. podkreśla B., że w preparacji niema miejsca dla tych słów, których wyszukanie i zrozumienie nie nastręczają uczniom żadnych trudności. Preparacja nie usuwa używania słownika, lecz czyni go wprost koniecznym. Słownik ogólny rozwija pamięć logiczną, natomiast preparacja mechaniczną. Co do 2. żąda B. by wykazywano zależność odcieni językowych od warunków życia starożytnego (o tem żądaniu powinien naprawdę pamiętać każdy nauczyciel filologji klasycznej). Szczególny nacisk kładzie B. na preparację rzeczową. Żąda od preparacji odtworzenia środowiska, w którem tworzył poeta, zwracania uwagi na styl poetyczny i piękności poematu, na mitologję i sztukę grecką oraz uwydatniania wpływu kultury klasycznej na kulturę europejską a zwłaszcza polską.

powtórzenia tego, co się przypuszczalnie łatwo z głowy ulatnia, nie może się obejść bez preparacji gramatycznej. Jakby bowiem wyglądała lektura autora, przy której należałoby nagle przerwać bieg myśli utworu i urządzić w połowie drogi jakąś wycieczkę językową? Autor bezwarunkowo nie powinien być substratem do nauki gramatyki[1]) bez niebezpieczeństwa wywołania zniechęcenia do siebie i do nauki języków klasycznych wogóle. Dlatego uważam, że ewentualne trudności językowe należy z lektury wyeliminować i obciążyć niemi preparację. Rozumiem ją w tem miejscu jako lekcję przygotowawczą o charakterze czysto gramatycznym. Lekcję taką powinno się zwłaszcza w klasie niedość rozwiniętej urządzać mniej więcej raz na tydzień. Nauczyciel miałby obowiązek zrewidować plan swej lektury na tydzień najbliższy, a to na podstawie znajomości poziomu naukowego swej klasy. Ująwszy to wszystko, co mogłoby uczniowi sprawiać trudności, starałby się przez dobór odpowiednich przykładów, niezależnych od przeznaczonego do lektury tekstu, uprzystępnić zrozumienie danych objawów językowych tak, by przy lekturze samej uczeń miał już silną podstawę do zrozumienia tego, co czyta. Taką lekcję przygotowawczą musi się urządzać przedewszystkiem w kl. V i VI nowego typu, gdzie się przystępuje do lektury autorów bez odpowiedniej znajomości składni[2]), nie można jej jednak zaniechać nawet w klasach najwyższych, bo doświadczenie nas uczy, jak wiele do życzenia pozostawia i tu prawdziwe zrozumienie składni.

2. P r e p a r a c j a l e k s y k a l n a. Głównem żądaniem jest tu nauczenie ucznia metody pracy. Nieocenione wprost usługi oddają tu podręczniki zaopatrzone słownikiem (byleby tylko te słowniczki były dokładniejsze, a za to mniej miały gotowych zwrotów, specjalnie do danych miejsc zastosowanych.[3]) Dzięki tym słowniczkom można wdrożyć uczniów do robienia preparacji łatwiej, niż na podstawie słowników ogólnych.[4]) Pracę

[1]) Sinko s. 85 mówi o lekturze Horacego: „Horacego trzeba czytać jako poetę i dlatego nie wolno jego lektury przerywać ćwiczeniami gramatycznemi“. Idę dalej: ż a d n e g o autora nie wolno przerywać ćwiczeniami gramatycznemi.

[2]) Sinko s. 10 sądzi, że naukę języka można w $1^{1}/_{2}$ roku ukończyć. Praktyka wykazuje jednak, że o ile fleksja da się w zupełności wyczerpać w I roku nauki, a więc w kl. IV, to systematycznie podjętą naukę składni w kl. V można uważać za skończoną dopiero w ostatnich miesiącach nauki w kl. VI.

[3]) Podręcznik Szczepańskiego (Wypisy łacińskie) wykazuje w słowniczku dość przeoczeń (nie podaje znaczenia takich wyrazów jak *retro*, *donec*, *alimentum* itd. mimo, że znaczenie wyrazów bardziej znanych, jak *mater*, *victoria*, *rex*, jest podane), i tłumaczy niepotrzebnie całe zwroty, jak *positis ambagibus falsi oris* „mówić otwarcie“, *magna caede facta* „po wielkiej rzezi“ itd.

[4]) O wartości słowniczka specjalnego, o ile tylko jest odpowiednio ułożony, nikt nie wątpi. Żąda się od niego, aby nie podawał znaczeń przypadkowych, lecz zasadnicze, podobnie jak słownik ogólny, od którego różni się tylko tem, że jest wygodniejszy z powodu mniejszych rozmiarów i jako taki

tę wyobrażam sobie tak: Nauczyciel każe uczniowi przeczytać dany tekst, obejmujący zwartą myśl i żąda od niego próby ujęcia tej myśli. Jeśli na przeszkodzie stoi brak znajomości słów, poleca mu dojść do formy podstawowej i naprowadza go drogą etymologji na ujęcie znaczenia — o ile to możliwe: o ile zaś nie, każe szukać w słowniczku. Pracę tę musi uczeń wykonać głośno, inni współpracują cicho, ale tak samo, jak on. Do zeszytu zapisuje uczeń znaczenie pierwotne, znaczenie odpowiednie dla tekstu odgaduje sam, w danym razie przez naprowadzenie. Jeśli zaś słownik szkolny podaje znaczenie już dostosowane do danego miejsca, uczeń musi wytłumaczyć, jak się do niego dochodzi, i jaki jego stosunek do znaczenia pierwotnego. Następnie „wyrywa" nauczyciel kilku uczniów po kolei z zapytaniem, czego nie rozumieją; możliwe braki uzupełnia się metodą wyżej wspomnianą. Wreszcie przystępuje się albo wprost do przekładu, po ewentualnem „uporządkowaniu" tekstu (tylko, o ile naprawdę zachodzi potrzeba), albo raczej poleca się wszystkim uczniom, by się nad przekładem zastanowili[1]) i dopiero po kilku chwilach żąda się od jednego z nich (nie tego, który robił preparację) przekładu, od reszty zaś poprawek. Zdarzało mi się rzadko, by uczeń, choćby lichy, miał po takiej pracy trudności w zrozumieniu tekstu. Większość natomiast porządkowała tekst sprawnie, a przekład szedł wcale gładko i wolny był od tego okropnego kaleczenia języka polskiego, jakie się spotyka często na lekcjach odpowiednio nieprzygotowanych.

Zdawałoby się może, że przygotowanie takiej lekcji w klasie zabiera dużo czasu i że ze względu na ekonomję czasu jest niewykonalne. Pokazało się jednak, że tak nie jest. Po odpowiedniem powtórzeniu lekcji starej, mam jeszcze dość czasu na przerobienie w sposób wyżej podany z podręcznika Szczepańskiego około 20 wierszy Owidjusza lub conajmniej 10 wierszy z chrestomatji z pism Ksenofonta, oraz na powtórzenie całości i omówienie nowo przerobionej lekcji. Po takiej kilkumiesięcznej pracy można sobie pozwolić na zadanie jakiegoś ustępu do preparacji domowej. Wyniki bywały zazwyczaj zupełnie zadowalające; samodzielna praca była widoczna.

Nie twierdzę, że tak ma wyglądać nauka do końca. Byłaby ona przy używaniu podręczników niezaopatrzonych w słowniczek utrudniona o tyle, że uczniowie musieliby przynosić do szkoły codzień grube słowniki, co byłoby z jednej

---

nadaje się doskonale do zastosowania w klasie, zwłaszcza w początkach lektury autorów. Dettweiler (s. 146) żąda, by uczeń musiał przy używaniu słownika specjalnego przejść taki proces myślowy, jakby przeszedł z nauczycielem w klasie; Sinko (s. 39) wyraża słuszne przekonanie, że korzystanie ze słownika specjalnego byłoby szkodliwe, o ileby słownik nie podawał znaczenia zasadniczego, lecz tylko szczególne. Podobnie sądzi Urich (Muzeum XXXV s. 188).

[1]) Pozostawienie krótkiego czasu dla zastanowienia się uznaje też Dettweiler s. 144 („ein Moment der Besinnung").

strony obciążeniem dla nich, z drugiej zabierałoby rzeczywiście więcej czasu, niż możnaby na to poświęcić — już ze względu na większą objętość słownika, utrudniającą dojście do tego właśnie, czego się szuka. A jednak tej pracy szkolnej ze słownikiem w ręku nie można zaniechać. Musi tylko w systemie nastąpić pewna zmiana.

Uczeń, który przerobił w wyżej wspomniany sposób czytankę łacińską Szczepańskiego, a z greki odpowiednią ilość ustępów z chrestomatji z pism Ksenofonta, osiągnął bezsprzecznie pewną sprawność, która mu przy dalszej lekturze będzie zawsze pomocna w zrozumieniu tekstu albo bodaj w dążności do zrozumienia go. Mimo to nie wolno nauczycielowi liczyć na to, że uczeń zrobił już sam w domu odpowiednią preparację. Wypuszczony bowiem z rąk będzie powoli odwykał od pracy i idąc po linji najmniejszego oporu, zejdzie prędzej czy później na manowce. Przecież uśmiechają się do niego z wszech stron ponętne „ułatwienia". Trudno się takim pokusom oprzeć.

Jak więc tu poradzić?

Jak zacząć na przykład lekturę Homera w kl. VI? Początek musi się tu bezsprzecznie opierać na pracy szkolnej. Nauczyciel musi być tym, który na różnice dialektyczne jak najstaranniej zwraca uwagę i podaje znaczenie wyrazów nieznanych, o ile na nie drogą etymologji nie może naprowadzić, musi sam wypisywać te różnice, jakoteż wyrazy nieznane na tablicy, by uchronić od błędów ortograficznych i nieporozumień; musi co tydzień zbierać i układać w system napotkane w ciągu tygodnia różnice dialektyczne, jeśli się nie mają ulotnić z wiatrem lub zmieszać w bezładnym chaosie[1]). Taki stan nie może jednak trwać długo. Należy bowiem i tu dążyć z całą konsekwencją do usamodzielnienia uczniów.

Po kilku tygodniach nastaje więc stadjum nowe. Uczniowie zaznajomieni w głównych choćby zarysach z różnicami dialektycznemi, próbują sami robić preparację w klasie, a nauczyciel służy im za żywy słownik, ale nie więcej, niż słownik — tzn. że uczeń pytający o znaczenie wyrazu musi pytanie postawić w takiej formie, jakąby znalazł w słowniku. O ile uczeń nie potrafi postawić tak pytania, pomaga mu drugi, albo też naprowadza się go; po pewnym czasie nauczą się tego wszyscy.

Stąd już tylko krok do pracy ze słownikiem w ręku. Aby ta praca była umiejętna, powinna odbywać się przez pewien czas pod okiem nauczyciela. Koniecznem więc jest, by uczniowie przez kilkanaście choćby lekcyj mieli ogólne słowniki w szkole i pracowali tak jak pracowali dawniej przy pomocy słowniczka specjalnego.

---

[1]) Sinko s. 39—40 poleca, by uczniowie przynosili słowniki do szkoły i szukali w pierwszych tygodniach nauki nieznanych wyrazów na lekcji szkolnej. Gdy się nauczyciel przekona, że już wszyscy uczniowe umieją się posługiwać słownikiem, można go odłożyć do użytku przy lekturze prywatnej. Przy dalszej lekturze autorów należy „dyktować słówka do preparacji" (s. 66, 79, 92).

Potem ma nastąpić kilkutygodniowa praca domowa zapoczątkowana w szkole. Nauczyciel przechodzi z uczniami dany ustęp w szkole i daje wskazówki co do preparacji domowej, zwracając uwagę, nad czem przedewszystkiem trzeba będzie się zastanowić.[1]) Nauczyciel musi się zdobyć na kontrolowanie tej pracy domowej.

W następnem stadjum należy zaniechać dawania wskazówek w szkole i żądać przez pewien czas preparacji robionej zupełnie samodzielnie w domu. Nie będzie to dla ucznia rzeczą trudną, kiedy już wie, czego i jak należy w słowniku szukać. Wyniki tej pracy musi jednak nauczyciel kontrolować jeszcze staranniej, niż w stadjum poprzedniem.

Dopiero po takiem przeprowadzeniu preparacji do lektury, można uczniom zadawać lektury domowe, a w klasie czytać autora bez preparacji[2]) o ile przewidziano, że w tekście znajdzie się wyrazów nieznanych niewiele; jeśli ich ma być przypadkowo więcej, należy wyjątkowo zadać preparację domową, bo wypisywanie większej ilości słów na lekcji szkolnej opóźniałoby lekturę, która już postąpiła dość naprzód i powinna unikać wszelkiej retardacji.

Podobna do tej byłaby metoda preparacji do lektury innych autorów z tem, że niejeden punkt dałby się uprościć i znacznie szybciej, niż przy Homerze, doszłoby się do stadjum ostatniego — do lektury szkolnej bez przygotowania, i do rozszerzenia wymagań w zakresie lektury prywatnej.

3. Pozostawałaby do omówienia preparacja rzeczowa. Rzecz naturalna, że *preparacji* rzeczowej nie można utożsamiać z *objaśnieniami* rzeczowemi. Objaśnienia rzeczowe dzielą się bowiem na dwie grupy: jedne mają poprzedzać lekturę (te obejmuję mianem preparacji), drugie następują w ciągu lektury, albo i po niej (interpretacja utworu). Trzeba być bardzo ostrożnym, aby to nie dostało się do preparacji, co należy do zakresu interpretacji — a więc wszystko, co uczeń mógłby sam wyczytać z tekstu, albo na co możnaby go po lekturze bez trudu naprowadzić.

Preparacja ma podawać wiadomości w całem tego słowa znaczeniu wstępne, a więc takie bez których nie możnaby odpowiednio zrozumieć danego utworu. Jej zakres działania opiera się w pierwszym rzędzie na podaniu tła historycznego i to nie tylko na odświeżeniu pewnych wiadomości, ale przedewszystkiem na skoncentrowaniu uwagi uczniów na

---

[1]) Scheindler s. 104 n. zaleca taką preparację wstępną (nazywa ją „Vorpräparationsstufe“) jako jedyny środek zaradczy przeciw posługiwaniu się gotowemi przekładami.

[2]) A więc dojść do stadjum, do którego Sinko dochodzi już po kilku tygodniach lektury. Ja nie mam wrażenia, żeby do stadjum tego można było dojść wcześniej, niż przed upływem conajmnicj trzech miesięcy, przy lekturze Homera nawet znacznie później.

danej epoce, na uwypukleniu cech tej epoki i ożywieniu jej w wyobraźni ucznia. Nie powinien to więc być wykład profesora, ale wspólne przypominanie sobie uczniów i nauczyciela, wspólne zainteresowanie i zadowolenie, kiedy się oświetli i zrozumie rzecz dotychczas niejasną.

Podanie tła jest niezbędne przy każdym autorze. Może ono nieraz trwać bardzo krótko i ograniczyć się do kilku zdań, uwypuklających cechy najcharakterystyczniejsze, zwłaszcza, jeśli zwracano uwagę na daną epokę już przy lekturze innego autora, albo jeśli z samej lektury da się wydobyć materjał oświetlający stosunki, wśród których dzieło powstawało.

Szczegóły z życia autora niekoniecznie mają być podane już przed rozpoczęciem lektury. U niektórych autorów można je pięknie wyczytać z odpowiednio ułożonej lektury (Owidjusz, Horacy), u innych oświetlić wypada tylko pewne okresy życia przed daną lekturą, bo istnieje pewność, że do innych się jeszcze wróci (Cycero, Wergiljusz, Plato). W każdym razie pierwsza wycieczka biograficzna ma być krótką.

Omówienie dzieł autora nie powinno wyprzedzać lektury, lecz być raczej jej zamknięciem.

Te uwagi odnoszą się ogólnie do lektury każdego autora. W szczegółowych wypadkach należy preparację rzeczową traktować rozmaicie, mając na oku cel jeden: jak najistotniejsze, samodzielne poznanie dzieła i autora.

Wskazówki co do podawania wiadomości, wyprzedzających lekturę poszczególnych autorów można znaleźć w rozprawie Sinki (s. 44. 57. 60. 66 n. 72. 73 n. 78. 81. 91). Przy omawianiu lektury Horacego zwraca Sinko uwagę na to, że każda lekcja ma dać podkład rzeczowy czytanemu tego dnia utworowi; żąda więc od nauczyciela podania uczniom „sytuacji, w której jest przeżyty i odczuty dany utwór“ (s. 78). Tego zdania jest też Bednarowski (s. 92): „Utwory liryczne np. Horacego wymagają krótkich wstępów, któreby wywołały odpowiedni nastrój, w jakim utwór był tworzony przez poetę“. Uwagi te są bezsprzecznie słuszne, a jednak bardzo ostrożnym powinien być nauczyciel, stosujący się do nich. Może bowiem zajść niebezpieczeństwo, że nauczyciel powie swym uczniom za wiele. Zanim więc np. nauczyciel zużytkuje (według polecenia Sinki s. 78) wydobyte z komentarza Kiesslinga-Heinzego „przesłanki, których konkluzją ma być utwór“, musi sobie postawić następujące pytania:

1. Co potrafi uczeń wyczytać z tekstu?
2. Czy i o ile to, co uczeń wyczyta z tekstu, może odbiegać od rzeczywistego podłoża i treści utworu?
3. Gdzie i kiedy trzeba rzucić promień światła, by umożliwić uczniowi poznanie tego, co jest istotą utworu?

Dopiero na tej podstawie wolno będzie nauczycielowi podać odpowiedni wstęp albo uwagi w toku lektury. Trzeba

bowiem pamiętać o tem, że nieraz jedno zbyteczne słowo nauczyciela może pozbawić ucznia największego pożytku i prawdziwej rozkoszy, jaką mu daje samodzielne uchwycenie, zrozumienie i zgłębienie myśli autora. Odnosi się to nietylko do Horacego, ale do każdego bez wyjątku autora, czy to greckiego, czy to łacińskiego.

Μηδὲν ἄγαν — to zasada, która przedewszystkiem powinna być przestrzegana przy preparacji rzeczowej. Czem innem jest interpretacja utworu. Tu dopiero jest szerokie pole do wydobycia walorów historyczno-literackich, estetycznych, etycznych.

Przedstawiłam w ogólnych zarysach jak pojmuję i jak staram się przeprowadzić preparację przy lekturze autorów. Celem tej metody jest przedewszystkiem nauczenie uczniów robienia preparacji i przyzwyczajanie ich do samodzielnej pracy nad autorem, w dalszym rzędzie roztoczenie tak ścisłej opieki nauczyciela nad przygotowawczą pracą ucznia, by nie dopuścić do uciekania się do preparacyj i przekładów gotowych i zdławić wszelkie w tym kierunku podjęte próby już w samym zarodku.

TEOGNIS (w. 239—254)

Dałem ci skrzydła, o Kyrnie, poniosą cię hen, ponad morza
    Bezmiar i ponad szmat ziemi w podniebny lot.
Wszystkich zabaw i uczt niemałą się staniesz ozdobą,
    Karmem dla wielu ust, zawsze obecny już tam.
Ciebie opiewać będą w mej pieśni, przy wtorze fletów,
    Piękni młodzieńcy a dźwięk głosów ich czysto brzmi.
Śmierci zaś pora gdy przyjdzie i zstąpisz w ponure ciemnice
    Ziemi, gdzie, pełen skarg, mieści Hadesa się dom,
Nawet wtedy, o Kyrnie, nie zginie twe imię, lecz sława
    Przetrwa jeszcze twój zgon: wiecznie sądzono ci żyć.
Przestrzeń helleńskich ziem, wysp greckich przemierzysz krańce,
    Rybne przestwory wód, puste bezmiary fal,
Wszędzie zaniesie cię dar Muz, fijołkami wieńczonych,
    Szybciej niż konia grzbiet: wszędzie dosięgnie pieśń.
Wszystkim miłą jest pieśń, żyjącym i tym, co żyć będą:
    Razem z nią zginie blask słońca i ziemi czar.

Tłum. ST. WARSZAWSKA

SPRAWOZDANIA

ADAM KROKIEWICZ

GRAMATYKA GRECKA I ŁACIŃSKA, JEJ POWSTANIE, ROZWÓJ I STAN OBECNY

Ażeby zrozumieć i ocenić znaczenie, jakie ma lekceważona naogół gramatyka filologiczna nietylko dla lingwistycznych, ale także dla filozoficznych i literackich badań, trzeba sobie uprzytomnić, że znajomość fonetycznych, morfologicznych i syntaktycznych reguł gramatycznych nie oznacza jeszcze znajomości gramatyki jako takiej. Gramatyka filologiczna pozostaje w najściślejszym związku z językiem literackim i z ważnem zagadnieniem nietyle tak zwanych błędów językowych, co poprawności, lub raczej doskonałości, czy też wytworności wysłowienia. Na istotę gramatyki rzuca właściwe światło jej historja, przyczem gramatyka grecka i łacińska wysuwa się z natury rzeczy na pierwszy plan. Jest ona nietylko pierwowzorem dzisiejszego schematu gramatycznego, ale także gramatyką w najcelniejszem znaczeniu tego wyrazu, ponieważ w niej się niejako skrystalizowała niespożyta kultura starożytnej myśli i starożytnego słowa wraz z żywiołowem, wszystkim wiekom i zbiorowiskom ludzkim wspólnem w niższym lub wyższym stopniu dążeniem do językowej doskonałości.

Dzisiejsza gramatyka wywodzi się, jak wskazuje jej historja i nazwa, z greckich dociekań językowych. Najważniejszą fazę tych dociekań stanowił, ile wiemy, spór, czy nazwy przedmiotów, τὰ ὀνόματα, są φύσει (z natury), czy też θέσει (νόμῳ, ξυνθήκῃ, τύχῃ, na mocy układu), innemi słowy, czy pomiędzy daną nazwą i przedmiotem zachodzi istotny związek, czy też nie zachodzi.

Pogląd φύσει był starszy. Nawiązywał on do wiary, która nurtowała całą starożytność, a mianowicie, że każdy przedmiot ma tylko jedną nazwę prawdziwą; kto ją zna, ten posiada magiczną niejako moc nad jej przedmiotem. Już Homer rozróżnia nazwy, jakich używają władni bogowie i jakich uży-

wają ludzie, a w późnych wiekach pochrystusowych dziwaczne wyrazy barbarzyńskie uchodzą za szczególnie skuteczne zaklęcia. Należy zwrócić uwagę na dwie okoliczności: 1. starożytni pojmowali mowę jako nazywanie, 2. za prawdziwe uchodzą nazwy niezwykłe, wymagające pewnego wysiłku, a więc przebrzmiałe, lub wprost cudzoziemskie. Zaznacza się w tem pewien, zupełnie zresztą zrozumiały sceptycyzm co do sprawności mowy potocznej, lub mówiąc ściślej, co do istotnego związku pomiędzy przedmiotami i ich codziennemi, zwyczajnemi nazwami. Tak się przedstawia ogólne podłoże poglądu, który możemy nazwać poglądem φύσει, chociaż ową nazwę uzyskał zapewne dopiero wtedy, kiedy się pojawił młodszy, przeciwny pogląd θέσει. Ma ono znaczenie także dla literatury, by potrącić o ważną sprawę doboru wyrazów i kucia nowych.

Najstarszymi, imiennymi przedstawicielami filozoficznego poglądu φύσει są dla nas Heraklit i Pitagoras. Wedle ich zapatrywania kryły zwyczajne nazwy greckie skarb pouczenia. Były dziełem mędrca, względnie boga, który znając istotnie przedmioty, ponazywał je symbolicznie. Obydwaj filozofowie podnieśli w ten sposób mowę grecką do rzędu idealnej mowy prawdziwej i znajomość przedmiotów uzależnili niejako od znajomości nazw, windykując im nowe, nieznane przedtem znaczenia. Ich praktykę, o której daje pewne wyobrażenie dialog Platona *Kratylos*, nazwano później, może dopiero w ciągu III w. prz. Chr., wywodem prawdy — ἐτυμολογία.

Przeciwko tej praktyce i idealizowaniu gotowej, mniej lub więcej zwyczajnej greczyzny wystąpili sofiści z Protagorasem na czele. I tak Protagoras, uprzytomniwszy sobie, że rzeczowniki greckie mają trzy rodzaje, dopatrywał się solecyzmów w takich powiedzeniach, jak μῆνιν οὐλομένην, lub πήληκα φαεινήν, ponieważ gniew i szyszak przystoją mężczyźnie, a więc są, względnie powinny być — męskiego rodzaju. Zdaje się, że on pierwszy rozróżnił czasy konjugacyjne, tudzież cztery tryby, rozróżniając pytania, odpowiedzi, życzenia (prośby) i rozkazy. Obok Protagorasa zasługiwa na wzmiankę Prodikos z Keos synonimik. Sofiści stali na gruncie retorycznego i dialektycznego w filozoficznym sensie tego wyrazu ulepszania języka. Ich hasłem była mowa poprawna — ὀρθοέπεια. Nazwijmy ją ortologją (por. Aristoph. *Nub.* 679), aby uzyskać skojarzenie dźwiękowe z etymologją. Ortologja sofistów wskazuje, że wedle ich zapatrywania mowa nie była φύσει, czyli że była θέσει. Niemniej dążyli do tego, by ją uczynić φύσει.

Stanowisko θέσει uzasadniał Demokryt w następujący czwórsposób: 1. τὸ πολύσημον: istnieją homonimy, czyli jedna i ta sama nazwa oznacza rozmaite przedmioty; 2. τὸ ἰσόρροπον: istnieją synonimy, czyli jeden i ten sam przedmiot ma rozmaite nazwy; 3. (τὸ μετώνυμον): przedmioty pozostają bez zmiany, choć zmieniają się nazwy (np. Aristoklesa przezwano Platonem, a Tyrta-

mosa Teofrastem); 4. τὸ νώνυμον: niema nazw na oznaczenie pewnych przedmiotów istniejących (np. od wyrazu φρόνησις pochodzi wyraz φρονεῖν, ale niema analogicznego wyrazu od wyrazu δικαιοσύνη, choć rzecz jest). Demokryt wyprowadza konsekwencje z założenia, że nazwy są φύσει, określa w ogólnych zarysach, jaką musiałaby być „prawdziwa“ mowa i konstatując, że język grecki nie spełnia tych postulatów, dochodzi do konkluzji: τύχῃ ἄρα καὶ οὐ φύσει τὰ ὀνόματα (por. Procl. *In Crat.* p. 6, 10; De ocr. fgm. B. 26 Diels).

Pogląd θέσει był w początkach swoich negacją poglądu φύσει. Ta negacja wywołała żywe echo. Zagadnienie, czy mowa jest φύσει, czy też θέσει, stało się ulubionym tematem rozmów towarzyskich. Przykład takiej rozmowy przedstawia wspomniany dialog Platona, *Kratylos*. Heraklitejczyk Kratylos jest przedstawicielem starego, a Hermogenes nowego poglądu. Kratylos stoi na stanowisku, że „moc, która ustanowiła pierwsze nazwy rzeczy, była wyższa, niż moc ludzka, tak iż owe nazwy muszą być dorzeczne“, broni zasady, że „kto zna nazwy, ten zna także rzeczy“, i ...etymologizuje. Więc ἄνθρωπος oznacza, jak wyjaśnia Sokrates w zgodzie z Kratylosem, że człowiek ἀναθρεῖ καὶ λογίζεται τοῦτο ὃ ὄπωπεν, w przeciwieństwie do zwierząt, które tylko patrzą, a ἥλιος, lub raczej dor. ἅλιος, że słońce obraca się ciągle około ziemi (τῷ περὶ τὴν γῆν ἀεὶ εἵλειν!), przyczem są jednak możliwe jeszcze inne tłumaczenia (por. Plat. *Crat.* 409 a), co oczywiście podważa całą teorję. Najciekawsza i niezmiernie charakterystyczna jest etymologja księżyca, σελήνη, — σελαναία. Pierwotną postacią była nazwa σελα-ενο-νεο-αει-α, pouczająca o tem, że księżyc ma zawsze (ἀεί) nowe (νέον) i równocześnie stare (ἐνόν), bo słoneczne, światło (σέλας). Innemi słowy, Anaksagoras nie miał prawa chełpić się „swojem” odkryciem, że światło księżyca pochodzi od słońca. Sokrates zaznacza, że owa etymologja jest trafna, o ile trafne jest „odkrycie“ Anaksagorasa (por. *Crat.* 409 a n.; *circ. vitiosus!*). Zachwycony Hermogenes nazywa wyraz σελα-ενο-νεο-αει-α dityrambicznym, co ze swej strony rzuca światło na dityrambiczną manierę, jako na próbę szczególnie celnego wysłowienia. Jeszcze większe zainteresowanie budzi pogląd, że pierwotny twórca nazw nadawał κατὰ γράμματα καὶ κατὰ συλλαβὰς ἑκάστῳ τῶν ὄντων σημεῖόν τε καὶ ὄνομα. I tak ῥῶ oznacza ruch, bo przy wymawianiu tej głoski-litery koniec języka jest w ruchu. Występuje też ono w wyrazach ῥεῖν, φορά, τρόμος itd. 'Ιῶτα oznacza kończystość i przenikliwość — przebija jak grot, więc występuje w wyrazach ἰέναι, ἵεσθαι itd. Podobnie omawia się inne głoski-litery. Jest rzeczą jasną, że w ten sposób owe στοιχεῖα-γράμματα stają się elementarnym systemem „prawdziwej“ mowy, a nazwy, względnie wyrazy ich doskonale dorzecznemi kombinacjami. W drugiej części dialogu, w rozmowie z Kratylosem, stwierdza Sokrates, że jeżeli bę-

dziemy uważać nazwy za wizerunki rzeczy (εἰκόνες τῶν πραγμάτων), to napotkamy wielką trudność: nazwy, jako wizerunki rzeczy, dzielą się na dwie grupy: 1. na rozwiązujące rzeczywistość przez spoczynek (στάσις· σ, τ symbolizuje spoczynek; por. naukę Eleatów) i 2. na rozwiązujące rzeczywistość przez ruch (φορά· ρ symbolizuje ruch; por. naukę Heraklita i jego wyznawców); obydwie grupy pozostają w opozycji — jeżeli jedna jest prawdziwa, to druga musi być fałszywa, nie podobna jednak rozstrzygnąć na podstawie etymologji, która grupa jest fałszywa, a która prawdziwa (por. *Crat.* 438 c n.). Innemi słowy, Platon obala przez usta Sokratesa mniemanie, jakoby etymologja była sprawnem narzędziem poznania i zdobycia prawdy. Platon wprowadza na miejsce etymologji dialektykę. Sokrates zwraca mianowicie uwagę, że poznanie rzeczy nie może zależeć od poznania, względnie zrozumienia nazw, ponieważ musiało poprzedzić „dorzeczne" nazywanie (por. *Crat.* 437 e n.). Owym zasadniczym sposobem poznania jest właśnie dialektyka. Na tem polega, jak się zdaje, przewodnia idea bardzo trudnego do zrozumienia dialogu.

Zarysowały się przed nami trzy główne części późniejszej gramatyki: etymolodzy pracowali w dziedzinie fonetyki i morfologji; sofiści, rozróżniając z retorycznego stanowiska pytania, odpowiedzi, życzenia i rozkazy, wkraczają w dziedzinę syntaksy; filozofja wkracza w tę dziedzinę z dialektycznego stanowiska w osobie pierwszego, ile wiemy, Platona (por. Diog. Laert. III 25).

Centralne pole badań stanowiła mowa, pojęta jako nazwy, ὀνόματα. Rozumiano przez nie nazwy przedmiotów i nazwy przebiegów, a więc nasze imiona i nasze czasowniki. Pierwsze określam, aby rzecz uwydatnić, jako ontyczne, a drugie, jako gignetyczne nazwy. Z tej centralnej, rzecby można, morfologicznej pozycji robi się pierwszą wyprawę w dziedzinę fonetyki. Etymolodzy rozkładają nazwy na ich składowe części i owocem tego jest rozeznanie głosek. Już w omówionym dialogu Platona czytamy wzmiankę o specjalistach, którzy rozróżniają samogłoski, rozmaite rodzaje spółgłosek i pośrednie głoski (por. *Crat.* 424 c). Ale ten zysk był uboczny. Etymologja miała być teorją poznania i drogą zdobycia prawdy. Platon, obalając etymologję, czyni wyprawę w przeciwną stronę. Przedtem ograniczano się naogół do pojedyńczych wyrazów, które analizowano, jako całości, złożone z liter-głosek, względnie ze zgłosek. Platon zwraca uwagę na połączenie wyrazów, συμπλοκὴ τῶν ὀνομάτων (por. np. Plat. *Theaet.* 202 b). Ono jest przedmiotem nowych badań, jakie inauguruje, a mianowicie badań dialektyczno-syntaktycznych. Jak zaczątki badań fonetycznych pozostają w związku ze starą, etymologiczną teorją poznania, tak twórcze zaczątki badań syntaktycznych pozostają w związku z nową, dialektyczną teorją. Filozof miesza

okolicznościowo w swych dialogach obydwa stanowiska, co się tłómaczy świeżością poczynań. Rezultatów Platona można nie omawiać, ponieważ rzecz, a na niej nam tutaj głównie zależy, da się przedstawić lepiej na dojrzalszych przykładach Arystotelesa. Zanim jednak do nich przejdziemy, trzeba ze względu na ścisły związek dialektyki z syntaksą poświęcić nieco czasu sprawie dialektyki.

Za twórcę dialektyki wogóle uważał Arystoteles Zenona z Elei (por. Diog. Laert. VIII 57. IX 25). Trzeba zdać sobie jasno sprawę, że dialektyka Platona, do której nawiązał Arystoteles, wyłoniła się dzięki usiłowaniom Sokratesa z dialektyki, jaką uprawiali sofiści, tzn. z dialektyki, która zapewniała swemu adeptowi zwycięstwo w dyskusji, względnie omotanie przeciwnika i dowolne kształtowanie jego doraźnych przekonań. Mając znaczenie i cele praktyczne, niewiele się ta dialektyka troszczyła o prawdę teoretyczną. Nowa dialektyka, której rzecznikami są Sokrates, Platon i Arystoteles, mieni się sprawnem narzędziem rzeczywistego poznania. Napotkała ona na bardzo silny opór w kołach filozoficznych, by wspomnieć tylko o nominaliźmie Cyników i o realiźmie Megaryków.

Już Antystenes, zrazu uczeń Gorgjasza, a potem uczeń i wielbiciel Sokratesa, uznawał tylko sądy tautologiczne: *Człowiek jest człowiek, dobry jest dobry* itd. Megarycy znowu z Euklidesem, innym uczniem Sokratesa, na czele rozróżniali między wyrazami o znaczeniu abstrakcyjnem, a wyrazami o znaczeniu konkretnem. Uznawali powiedzenia, jak *Sokrates jest Sokratesem*, ale nie uznawali powiedzeń, jak *Sokrates jest człowiekiem*. Wedle Stilpona nie można mówić o człowieku, że jest dobry, lub o koniu, że biegnie, albowiem *być człowiekiem* to coś innego, niż *być dobrym*, i *być koniem* to także coś innego, niż *być w biegu*. Podobnie przeczył Menedemos z Eretrji, jakoby było wolno łączyć z podmiotem różne od niego orzeczenia...

Podane przykłady wskazują dowodnie, że przedmiotem sporu było tak zwane zdanie, wyrażające sąd, np. *Sokrates jest człowiekiem, koń biegnie* itd. Kontynuatorzy dawnej dialektyki (sofistycznej) uważali naogół wydawanie sądów za rzecz dowolną. Podobnie postępowałby twórca nazw θέσει. Przedstawiciele nowej dialektyki chcą postępować tak, jakby postępował twórca nazw φύσει. Chcą swoje sądy, czyli połączenia danych nazw, uczynić „wizerunkami“ rzeczywistości. Na tem podobieństwie polega może ton szacunku, jaki dla poglądu φύσει wykazuje mimo wszystko platoński *Kratylos*. W oczach gramatyka toczy się ów spór na terenie syntaktycznym, a nowa dialektyka, której najwybitniejszym przedstawicielem jest Arystoteles, stanowi pierwszą wielką próbę syntaktycznego, żeby tak powiedzieć, ujęcia rzeczywistości.

A r y s t o t e l e s rozróżnia cztery „części mowy”, ὄνομα—

imię, ῥῆμα—słowo, σύνδεσμος—łącznik (zewnętrzny), ἄρθρον—ogniwo (łącznik jakoby wewnętrzny). Zauważyć należy, że niektórzy uczeni, jak np. Vahlen, uważają określenie ἄρθρον za interpolację. Wymienione „części mowy“ otaczają z jednej strony στοιχεῖον—głoska (=γράμμα—litera, p. wyżej) i συλλαβή—zgłoska, a z drugiej πτῶσις—wyraz pochodny i λόγος—zdanie (por. Arist. *Poet.* 20 p. 1456 b). Szereg wznosi się zatem od głosek przez wyrazy do ich zdaniowego połączenia. Określenie πτῶσις, występujące po raz pierwszy u Arystotelesa, wymaga pewnych wyjaśnień. Ma ono obrazowe znaczenie. Filozof porównywał nominativus (ὄνομα κ. ε.), tudzież indicativus praesentis (ῥῆμα κ. ε.) z pionowo ustawionym rylcem, wszystkie zaś inne formy deklinacyjne i konjugacyjne, oraz wszelkie pochodne wyrazy z rylcem więcej lub mniej nachylonym do upadku (πτῶσις). Arystoteles rozróżniał jeszcze podmiot (τὸ ὑποκείμενον) i orzeczenie (τὸ κατηγορούμενον). W praktyce pojęcie podmiotu zlewa się z pojęciem imienia, a pojęcie orzeczenia z pojęciem przedewszystkiem czasownika; orzeczenie „imienne“ występuje niejako na dalszym planie. W traktacie περὶ ἑρμηνείας uwzględnia Arystoteles tylko ὄνομα i ῥῆμα, jako dwie istotne części mowy i składniki zdania, λόγος. Operuje pojęciem całości i zwraca się przeciwko etymologom, zaznaczając z naciskiem, że żadna część wyrazu, ani głoska, ani zgłoska nie ma samodzielnego znaczenia. W związku z tem i tylko w związku z tem pozostaje znane powiedzenie Stagiryty: φύσει τῶν ὀνομάτων οὐδέν ἐστιν. Wyrazy mówione reprezentują doznania (παθήματα) duszy, podobnie jak pisane wyrazy są symbolami mówionych. Doznania duszy są jednakie u wszystkich ludzi. Pomiędzy niemi i wyrazami mówionemi niema istotnego związku, podobnie jak pomiędzy mówionemi wyrazami i ich graficznemi symbolami. Języki są różne, tak jak alfabety, nazwy są θέσει, tak jak sposoby pisania. Z drugiej jednak strony zdania (λόγοι) tworzą całości, których części posiadają samodzielne znaczenie. Arystoteles broni, podobnie jak Platon, możliwości łączenia różnych wyrazów. Buduje na założeniu, że dialektycznie poprawne łączenie, względnie rozdzielanie wyrazów warunkuje sama rzeczywistość. Logika Stagiryty pozostaje w ścisłym związku z jego metafizyką. Na tym gruncie dawne przeciwieństwo φύσει-θέσει w zastosowaniu do mowy, jako nazw, przybiera postać przeciwieństwa ἀλήθεια-ψεῦδος w zastosowaniu do mowy, jako zdaniowych połączeń wyrazów. Tym połączeniom przysługiwa, jak wyraźnie zaznacza filozof, cecha prawdziwości, względnie fałszywości w przeciwieństwie do poszczególnych wyrazów (por. Aristot. *De int.* 1 p. 16 a; 4 p. 16 b). Innemi słowy, Arystoteles, odmówiwszy mowie, jako n a z w o m, charakteru φύσει, przyznał jej poniekąd ten charakter, jako z d a n i o w y m w y g ł o s z e n i o m (ἀποφάνσεις). Miało to ważne skutki. Wpływ stosunków synta-

ktycznych zaznacza się przemożnie w dialektyce filozofa, a przez nią w jego koncepcji rzeczywistości. Dziesięć słynnych kategoryj, czyli sposobów orzekania o tem, co istnieje, dziesięć form bytu Arystotelesa sprowadza się, jak dawno wykazał Trendelenburg (*Elementa logices Aristoteleae*, Berolini 1874, 56 n.), do trzech grup, odpowiadających trzem „częściom mowy“ ὄνομα, σύνδεσμος, ῥῆμα, wyróżnionym, jak dodać jeszcze można, z syntaktycznego stanowiska. Faktyczny pogląd Stagiryty przedstawia się zatem w następujący sposób: głos stanowi naturalne tworzywo mowy, jest φύσει; modyfikacje głosu, czyli nazwy, są θέσει, dialektycznie poprawne zdaniowe połączenie (σύνθεσις), względnie rozdzielenie (διαίρεσις) nazw (= wyrazów) jest φύσει. Ostatniego twierdzenia Arystoteles nie wypowiedział, ile pamiętam, w zachowanych dziełach. Niemniej tkwi ono w jego nauce, a dla nas jest rzeczą bardzo ważną należycie je sobie uprzytomnić.

Do poglądu Arystotelesa nawiązali Epikurejczycy, a raczej Epikur, i Stoicy. E p i k u r, odrzuciwszy dialektykę i retorykę, nie zapuszczał się w dziedzinę syntaktyczną. Nie uwzględniał także, ile wiemy, fonetyki. Przedmiotem, na którym skupia uwagę, są nazwy jako takie. Uważając wydawanie dźwięków językowych za rzecz tak naturalną, jak kaszel, kichanie, lub jęki (por. Procl. *In Crat.* 17, Epic. p. 226 Us.), rozróżnił pierwszy Epikur dwa, następujące po sobie, stadja mowy ludzkiej, stadjum φύσει i stadjum θέσει... „Nazwy powstały zrazu nie na mocy układu, lecz same natury ludzkie, doznając w obrębie poszczególnych plemion swoistych odczuć (πάθη) i podejmując swoiste wyobrażenia (φαντάσματα), wysyłały w sposób swoisty powietrze pod wpływem doraźnych odczuć i wyobrażeń, stosownie do różnego pomieszczenia plemion. Później zaś ułożono wspólnie w każdem plemieniu poszczególnem swoiste nazwy, ażeby wzajemne enuncjacje stały się mniej wieloznaczne i mogły być zwięźlej wyrażane. Niektórzy przytem, oznajmiając pewne rzeczy, niewidoczne dla ogółu, których oni jednak byli świadomi, wprowadzili pewne nazwy, zmuszeni do ich wygłoszenia, inni zaś, wyrozumiawszy je wedle ich najczęstszego spowodowania, doszli w ten sposób ich znaczenia“ (por. Diog. Laert. X 75 n. Epic. p. 37 Us.; Lucr. V 1028 n., Diog. Oen. fgm. X, XI Wil.). Epikur przeczy poglądowi Arystotelesa, jakoby te same przedmioty wywoływały u wszystkich ludzi jednakie doznania. Poprzedni filozofowie stali mniej lub więcej świadomie na stanowisku, że wszystkie języki ludzkie pochodzą od jednego prajęzyka. Znamienne jest w tym względzie znane opowiadanie Herodota II 2 o królu egipskim, Psammetyku. Epikur głosi pierwotną wielość, względnie rozmaitość języków. Przez stadjum φύσει rozumiał stadjum mechanicznego poniekąd reagowania na podniety zewnętrzne, przez stadjum θέσει stadjum świadomego używania i doskonalenia

języka. On pierwszy, ile wiemy, zdał sobie jasno sprawę, że język nie powstał odrazu, lecz że był owocem długiego współżycia społecznego. Uwzględnił nadto ważny moment geograficznego rozmieszczenia. Bystre uwagi Epikura posiadają i dziś jeszcze aktualne znaczenie. Uchodzą słusznie za najdojrzalszy pogląd starożytny na sprawę powstania mowy jako takiej. Dla historji gramatyki mają wszelako uboczne znaczenie. Większe znaczenie mają dla niej poglądy Stoików, jakkolwiek nie posiadają tak wybitnej wartości naukowej.

Stoicy zajmowali się retoryką, a w wyższym jeszcze stopniu dialektyką. Pracując we wszystkich trzech dziedzinach gramatycznych, położyli na tem polu ogromne zasługi, tworząc właściwą terminologję gramatyczną. Jak nieprzemyślana była jednak owa praca, wskazuje okoliczność, że obok wywodu dialektycznego uprawiali namiętnie także wywód etymologiczny. Kiedy pod koniec III mniejwięcej wieku prz. Chr. zainteresowanie dla mowy, jako zdaniowych wygłoszeń (ἀποφάνσεις,) i co za tem idzie, dla syntaksy ostygło, dawna etymologja i hasło, że nazwy są φύσει, zyskiwa stale na wziętości. Dityrambiczne, żeby tak powiedzieć, etymologje ważą narówni z dialektycznemi wywodami, chociaż już Plato wskazał, że owa etymologja traci znaczenie wobec dialektyki. Jako przykład późniejszej praktyki służyć może następujący ustęp Kwintyljana (I 6, 36): *...ingenioseque visus est Gavius* caelibes *dicere veluti* caelites, *quod onere gravissimo vacent idque Graeco argumento iuvit:* ἠιθέους *enim eadem de causa dici adfirmat* (ἠιθέους scil. ἤ θεούς) *nec ei cedit Modestus inventione; nam quia Caelo Saturnus genitalia absciderit, hoc nomine appellatos, qui uxore careant, ait* cett. Dziś wiemy, że te etymologje, uważane za znakomite argumenty ascetycznego życia, są fałszywe. Wyraz *caelebs* pozostaje wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w związku z wyrazem *caecus*, a wyraz ἠίθεος z wyrazem *viduus*. Lecz wróćmy do rzeczy.

Stoicy określali retorykę tak samo, jak dialektykę ἐπιστήμη τοῦ εὖ (= τὰ ἀληθῆ, τὰ ὄντα) λέγειν, *scientia bene* (= *recte*) *dicendi.* Stanęli na stanowisku ścisłej spójni pomiędzy mówieniem i myśleniem: myśl jest słowem wewnętrznem (λόγος ἐνδιάθετος), a słowo zewnętrzną myślą (λόγος προφορικός; por. Sext. *Adv. math.* VIII 275 n.). Szczególnie charakterystyczna dla Stoików jest ich koncepcja słownego znaczenia, τὸ λεκτόν. Było ono niecielesne w przeciwieństwie do trzech cielesnych wartości, z któremi pozostawało w związku, a mianowicie w przeciwieństwie do głosu, φωνή (= ἀὴρ πεπληγμένος), danego przedmiotu, πρᾶγμα (= τὸ ἐκτὸς ὑποκείμενον, τὸ τυγχάνον) i wreszcie duszy myślącej, διάνοια (scil. διάνοια ἐκλαλητική; por. Diog. Laert. VII 49). Będąc niecielesne, było owo λεκτόν nierealne. Niemniej stanowiło właściwy przedmiot stoickiej logiki, ponieważ w niem się ogniskowała sprawa prawdy

i kłamstwa (por. Sext. *Adv. math.* VIII 70). Odpowiadało ono pojęciu λόγος, względnie νόημα u Arystotelesa i określało nietylko znaczenie wyrazu, ale także tzw. zdania. Stoicy pojmowali mianowicie mowę równocześnie jako nazwy i jako zdania. Uznając w swym charakterze dialektyków razem z Arystotelesem, że mowa, jako dialektycznie poprawne zdania, jest φύσει, przenosili to zapatrywanie wbrew poglądowi Stagiryty także na mowę jako nazwy, wyrazy. Tem się tłumaczy ich szał etymologiczny. Badając dalej wyrazy jako takie, zauważyli, że pomiędzy ich formalnym wyglądem, a logicznem znaczeniem zachodzi bardzo często sprzeczność. Rzecz można wyjaśnić na przykładzie wyrazów, zwanych στερητικά, czyli wyrazów z α privativum (por. H. Steinthal, *Geschichte der Sprachwissenschaft bei den Griechen und Römern*, Berlin 1890—1891, I 360 n.). Chryzyp zwrócił uwagę, że nieraz wyrazy niesteretyczne wyrażają prywację, jak bieda, πενία (= niedostatek) lub τυφλός — ślepy (= niewidomy), i znowu prywacji nie wyrażają wyrazy steretyczne, jak ἀ-θάνατος — nieśmiertelny (= wieczny) itd. (por. Simpl. *In Arist. Cat. f.* 100 b, St. Fr. II 52). Na podstawie tych i im podobnych przykładów stwierdzali Stoicy niezgodę pomiędzy wyrazami i ich logicznemi znaczeniami. Ową niedoskonałość mowy-nazw piętnowali terminem ἀνωμαλία, wychodząc z założenia, że gdyby mowa była doskonałą, to pomiędzy nazwami i ich logicznemi znaczeniami zachodziłaby zgoda, ἀναλογία. Stoicy starali się praktycznie usunąć ową anomalję, ale bezskutecznie. Ostatecznie przyszli do przekonania, że anomalja cechuje mowę jako taką, i poświęcili się wyłącznie badaniom logiczno-znaczeniowym, uprawiając zawzięcie etymologję. W dziedzinie właściwych badań gramatycznych wyrzekają się głosu. Ich dorobek uprzedni, a mianowicie terminologję, podejmują gramatycy i ze swej strony, pracując nad zewnętrzną stroną języka, wystrzegają się naogół logicznych dociekań.

Zanim przejdziemy do gramatyków, trzeba trochę czasu poświęcić analogji i anomalji. Stoikom przyświecał, podobnie jak poprzednim filozofom, ideał „doskonałej" mowy. Odkrycie anomalji było dla nich przykrem rozczarowaniem. Analogja Stoików odpowiadała ideowo dawnemu określeniu φύσει, a anomalja określeniu θέσει (por. Democr. fgm. B 26; p. wyżej s. 301). Podobne, ale bynajmniej nie identyczne ze stoickiem, znaczenie miała analogja i anomalja u gramatyków. Wogóle zauważyć można, że jak poprzednio termin φύσει był główny, a termin θέσει poboczny (θέσει = nie φύσει!), tak teraz na pierwszy plan wysuwa się anomalja, a jej zaprzeczeniem niejako jest analogja, symbolizująca dążenie do „gramatycznej" doskonałości wysłowienia. W tej zmianie zaznacza się zwycięstwo i przewaga poglądu θέσει nad pierwotnym poglądem φύσει.

Hasła analogji i anomalji podzieliły gramatyków na dwa wrogie obozy. Siedliskiem analogistów była Aleksandrja, a anomalistów Pergamon. Gramatycy aleksandryjscy potrzebowali kryterjum, przy którego pomocy mogliby „poprawnie” wydawać teksty starych autorów greckich, przedewszystkiem Homera. Tem kryterjum stała się analogja. Oznaczała ona w ich pojęciu pewną symetrję, pewne podobieństwo zjawisk językowych, które uważali za gwarancję prawdy. Brak tego podobieństwa, brak tej zadowalniającej umysł i umożliwiającej przewidywanie symetrji określano jako anomalję. Znaczenie terminu ἀνωμαλία w kołach gramatyków zbliża się do znaczenia terminu διαφωνία (por. np. Sext. *P. H.* III 233). Gdyby wszystkie rękopisy, np. Homera, były jednakowe, to kwestja analogji nie byłaby wypłynęła w przypadku Homera. Podobnie gdyby wszyscy, dajmy na to, Grecy mówili jednakowo, to cała sprawa analogji i związana z nią sprawa poprawnego mówienia (mian. w sensie gramatyków, a nie w dialektycznym sensie Stoików) byłaby zbędna. Analogiści wierzyli w idealny, poniekąd abstrakcyjny język zbiorowy, anomaliści w jego konkretne, indywidualne, aby tak powiedzieć, ziszczenia się i użycia. Wedle anomalistów mówi się np. καλός, καλοῦ i κακός, κακοῦ nie dlatego, jakoby nie można było inaczej powiedzieć, lecz dlatego, że się tak właśnie mówi, jakkolwiek zasadniczo możnaby mówić jeszcze inaczej. Wybitni przedstawiciele ich obozu nie odrzucali analogji jako takiej, lecz tylko jej odmawiali kanonicznego znaczenia, przyczem wielką rolę grała retoryka i jej tendencje. Owo znaczenie windykowali znakomitym autorom, albo raczej ich konkretnym dziełom literackim. Z drugiej strony wybitni przedstawiciele obozu analogistów nie gwałcili ani tekstu, ani języka. Na skra nych stanowiskach stali właściwie jeno pomniejsi gramatycy. Niemniej oni nadawali ton z powodu swojej liczby. Naogół powiedzieć można, że spór toczył się o to, czy naturalna forma języka (mian. fizycznego) jest, żeby użyć takiego określenia, analogiczna, czy też anomaliczna. Analogiści zwracali uwagę na podobieństwa i tożsamości językowe. Wyjątki starali się usuwać. Nie uznawali np. odmiany Ζεύς, Ζηνός itd., względnie Διός itd., lecz wprowadzali odmianę Ζεύς, Ζεός itd. Tworzyli poprostu „lepszy”, sztuczny język gramatyczny, który usiłowali narzucić ogółowi. Wywołało to wiele szyderstwa. I tak Kwintyljan (I 6), oraz Sextus *(Adv. math.* I 176 n.*)* zwracają uwagę, że co innego jest mówić po łacinie, albo po grecku, a co innego, „po gramatycznemu”. Anomaliści wysuwali znowu na pierwszy plan odosobnione formacje, ignorowali reguły analogistów, uwydatniali różnice dialektyczne i indywidualne, asymetrję deklinacyjną i konjugacyjną, przedstawiali poprostu język jako morze nieograniczonych możliwości i ten stan rzeczy uważali za naturalny. Obydwa stanowiska były w swej skrajności błędne.

Najważniejszem wydarzeniem i głównym owocem opisanego sporu była pierwsza gramatyka europejska, którą napisał żyjący około 120 r. prz. Chr. analogista, uczeń słynnego Arystarcha, Dionysios Thrax. Charakterystyczne jest jego określenie gramatyki: γραμματική ἐστιν ἐμπειρία τῶν παρὰ ποιηταῖς τε καὶ συγγραφεῦσιν ὡς ἐπὶ τὸ πολὺ λεγομένων (por. Dionysii Thracis *Ars Grammatica*, ed. G. Uhlig, Lipsiae 1883, 5; scholja do tej gramatyki wydał A. Hilgard, Lipsk 1901). Niewielki, przeznaczony dla szkoły, traktat Dionysiosa ma ogromne znaczenie w dziejach gramatyki. Używano go i interpolowano aż do XII w. przynajmniej. Dionysios zaczyna od sprawy czytania, poczem omawia głoski (γράμματα, στοιχεῖα), które dzieli na samogłoski (φωνήεντα) α ε η ι ο υ ω, dyftongi (δίφθογγοι) αι αυ ει ευ οι ου i spółgłoski (σύμφωνα), a mianowicie ἡμίφωνα ζ ξ ψ (διπλᾶ) λ μ ν ρ (ἀμετάβολα, ὑγρά) σ i ἄφωνα· κ π τ (ψιλά) θ φ χ (δασέα) β γ δ (μέσα). Następnie przechodzi do zgłosek (συλλαβαί) długich i krótkich z natury, oraz „z układu" i do nauki o wyrazach (λέξεις), a wreszcie do nauki o zdaniu (λόγος). Rozróżnia ośm jego części: ὄνομα imię (rzeczownik, przymiotnik i liczebnik, tudzież pewne zaimki), ῥῆμα czasownik, μετοχή imiesłów, ἄρθρον rodzajnik, ἀντωνυμία zaimek, πρόθεσις prepozycja, ἐπίρρημα przysłówek i wykrzyknik, tudzież tzw. partykuły, σύνδεσμος spójnik. Dzisiejszą deklinację i koniugację omawia Dionysios w związku z ὄνομα i ῥῆμα.

Dionysios Thrax inauguruje epokę dojrzałej gramatyki. W następnych wiekach pracuje na tem polu wielu wybitnych uczonych. Na szczególną uwagę zasługują Apollonios Dyskolos i jego syn, Herodjan, słynni gramatycy II w. po Chr. Apollonios stał się najwyższą powagą w sprawach teorji gramatyki i składni, podobnie jak jego syn w sprawach prozodji, nauki o formach i o akcencie. Apollonios opuścił, prawdopodobnie pod wpływem Tryfona z Aleksandrji (I w. prz. Chr.), szlak czysto gramatyczny i starał się opracować całokształt gramatyki z uwzględnieniem logiki. Nawiązywał więc okolicznościowo do pierwotnego stanowiska Stoików (p. wyżej). Z jego licznych dzieł zachowało się prawie w całości cztery księgi liczące dzieło Περὶ συντάξεως τῶν τοῦ λόγου μερῶν (wyd. G. Uhlig, Lipsk 1910; *Scripta minora* wydał R. Schneider, Lipsk 1878). Jest to jedyne dzieło, jakie nam przekazała starożytność z tego zakresu. Apollonios zawdzięcza mu sławę ojca syntaksy. W dziełach „analogistów", Apolloniosa i Herodjana (spuściznę Herodjana opracował A. Lentz; rzecz wyszła w Lipsku 1867—1870; drugi tom wydał po śmierci Lentz'a E. Plew; indices A. Ludwich'a), gramatyka starożytna dosięgła pełni. Jej trzy główne części formalne, fonetyka, morfologja i syntaksa, doznały wytycznego na długie wieki opracowania.

Pozostaje do omówienia działalność gramatyków łacińskich. Znadowali się oni pod przemożnym wpływem grama-

tyków greckich. Studjum gramatyczne zaszczepił w Rzymie sławny gramatyk pergameński, Krates z Mallos (ok. r. 168 prz. Chr.). Obok wpływu anomalistów wykazuje pierwsze ślady metody aleksandryjskiej L. Aelius Stilo Praeconinus, nauczyciel Warrona. Odtąd gramatycy rzymscy wysilają się, by połączyć stanowisko anomalistów ze stanowiskiem analogistów, czerpiąc materjał nietyle z własnych badań, co z greckich traktatów gramatycznych. Językiem łacińskim zajmowali się także Grecy, np. Tyrannion z Amisos, gramatyk przebywający w Rzymie ok. 50 r. prz. Chr. Uważał on język łaciński za odmianę greczyzny. Ten pogląd przyjął się ogólnie (Warro!). Gramatyka łacińska weszła niejako w zakres gramatyki greckiej. Grecki i łaciński dorobek gramatyczny zbiera i wypisuje na przełomie V i VI w. w swem ogromnem dziele o języku łacińskim *Institutionum grammaticarum libri XVIII* uczony konstantynopolitański Priscianus z Cezarei. Oprócz gramatyki Priscjana zasługują na czytanie gramatyka Charisiusa (IV w.) ze względu na wiadomości o Palemonie (Q. Remnius Palaemon był najznakomitszym i najsamodzielniejszym, jak się zdaje, gramatykiem rzymskim), traktat Warrona *De lingua Latina* (ed.Goetz-Schoell, Lipsiae 1910), retoryczne pisma Cycerona i znane dzieło Kwintyljana, *Institutio oratoria*, którego mistrzem był wspomniany Palemon. Na wzmiankę zasługują wreszcie ze względu na wielkie znaczenie, jakie miały w średniowieczu, obydwie gramatyki współczesnego Charisiusowi Donata, *Ars minor* i *Ars maior*.

Dzieje gramatyki w czasach średniowiecza nie są jeszcze dostatecznie zbadane. Naogół powiedzieć można, że gramatyka Priscjana panowała i że najwięcej stosunkowo zainteresowania budziła sprawa syntaksy. O powadze Priscjana świadczy okoliczność, że uczony bizantyjski, Maximus Planudes (XIII/XIV w.), chcąc napisać grecki podręcznik syntaksy, przetłumaczył poprostu jego dwie końcowe księgi. Dodać można, że pod wpływem filozofji scholastycznej, z którą gramatyka (łacińska) wstępowała w coraz ściślejszy związek, powstały dwa nowe terminy syntaktyczne, *copula i rectio*. Zresztą był zastój pomimo dość usilnych starań filozoficznych i retorycznych.

Ten stan rzeczy trwał z nieznacznemi zmianami aż do połowy XIX w. mniej więcej. Ideałem gramatyków była filozoficzna, wyrównywająca różnice mówienia i myślenia ludzkiego gramatyka. Rzecz zmieniła się zasadniczo dopiero pod wpływem działalności Franciszka Bopp'a, który ogłosiwszy w r. 1816 swe słynne dzieło o systemie konjugacyjnym w językach sanskryckim, greckim, łacińskim, perskim i niemieckim, stał się założycielem gramatyki porównawczej. Niektórzy filolodzy, szczególnie helleniści, przyswoili sobie rychło

nowe hasła. Byli to jednak pomniejsi uczeni. Wielcy filolodzy odnosili się do gramatyki porównawczej niechętnie, a nawet wrogo, pomawiając jej rzeczników o powierzchowną znajomość porównywanych języków. Główna opozycja zorganizowała się na gruncie gramatyki łacińskiej. Tutaj filologja klasyczna uprawiała z powodzeniem tak zwaną gramatykę historyczną. Wielki Fryderyk Ritschl, uczeń Karola Reisig'a, a przez czas krótki także Godfryda Hermann'a, wyświetlił w szeregu swych znakomitych *Opuscula* mało dotychczas znaną dziedzinę starej łaciny. Wstępując niejako w ślady Augusta Boeckh'a, który już w roku 1828 wydał pierwszy tom CIG, wszelako z myślą o korzyści nie dla gramatyki, lecz dla historji greckiej, zwrócił Ritschl uwagę na napisy łacińskie, oraz ich znaczenie językowe i był jednym z twórców CIL (por. *Priscae Latinitatis monumenta epigraphica* etc., Berolini 1862). Nową i wdzięczną dziedziną pracy filologicznej, tudzież nieufnością do poliglottyzmu należy tłumaczyć, że Ritschl przeciwstawiał gramatykę historyczną gramatyce porównawczej. Trzeba zaznaczyć z naciskiem, że tego przeciwieństwa w rzeczywistości niema: wyniki jednej i drugiej metody uzupełniają się i popierają wzajemnie.

Pierwszym wielkim filologiem klasycznym, który się przekonał do współczesnej gramatyki porównawczej istotnie, był znakomity hellenista, Georg Curtius. Jego epokowe dzieło *Grundzüge der griechischen Etymologie* (1858—1862) zapoczątkowało okres współpracy. Ważna była także jego znana gramatyka szkolna (r. 1852). Curtius przyczynił się w swych pismach bardzo znacznie do pogłębienia wiadomości również z zakresu gramatyki łacińskiej. Mniejszą wartość naukową posiadała porównawcza gramatyka greckiego i łacińskiego języka, jaką ogłosił Leon Meyer (Berlin 1861—1865; II wyd. 1882—1884). Przedtem ograniczano się w obozie filologów klasycznych i pisano podręczniki wyłącznie greckiej, albo wyłącznie łacińskiej gramatyki, żeby wymienić Buttmann'a (*Ausführliche griech. Sprachlehre*, Berlin 1819—1827; II wyd. w opracowaniu Lobeck'a wyszło w r. 1839), Kühner'a *Ausführliche Grammatik der griech. Sprache*, Hannover 1834—1835; ponowne wydanie w opracowaniu Blass'a i Gerth'a, 1890—1904), Krüger'a (*Griechische Sprachlehre*, Leipzig 1843—1855), lub Schneider'a (*Elementarlehre der lat. Sprache*, Berlin 1819; dzieło nieskończone z powodu śmierci autora). Jest rzeczą charakterystyczną, że Kühner, który zresztą odnosił się z wielkim podziwem do gramatyki porównawczej, ogłosił swoją gramatykę łacińską dopiero pod koniec życia (*Ausführliche Grammatik der lat. Sprache*, Hannover 1877—1879; ponowne wydanie w opracowaniu Holzweissig'a i Stegmann'a, 1912—1914). Dopiero w drugiej połowie XIX w. gramatyka porównawcza za-

czyna sobie zdobywać uznanie pośród filologów klasycznych, zwłaszcza pośród hellenistów.

Owo uznanie doprowadziło w czasach obecnych do tego, że filolodzy klasyczni wyrzekli się pisania podręczników gramatyki greckiej i łacińskiej na korzyść lingwistów. Rzecz pozostaje w związku z ogromnym rozwojem językoznawstwa w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku. Pod wpływem tak zwanych młodych gramatyków, przeciwko którym oświadczał się jeszcze w 1885 r. Curtius, powstała ściśle naukowa metoda badań i opisu zjawisk fonetycznych. Podstawę stanowiła zasada, że „prawa fonetyczne" nie dopuszczają żadnych wyjątków: *Identyczne głoski zachowują się w identycznych warunkach identycznie.* Pozorne wyjątki tłumaczy się działaniem analogji. Innemi słowy obok mechanicznych, aby tak powiedzieć, bezwyjątkowych praw, czy też uogólnień fonetycznych uznano za bardzo ważny czynnik konkretnego wyglądu głosek i wyrazów czynnik psychiczny. Nie wchodząc w jądro sprawy, która jest więcej zawiłą, niż się to na pierwszy rzut myśli może wydawać, zaznaczę pokrótce, że hasła młodych gramatyków sformułowali Leskien *(Die Declination im Slavisch-Litauischen und Germanischen,* Leipzig 1876, p. XXVIII), Brugmann i Osthoff *(Morphologische Untersuchungen auf dem Gebiete der indogerm. Sprachen,* Leipzig 1878—1910, I 1 n.). W roku 1878 ukazało się dzieło genjalnego Ferdynanda de Saussure'a (wydane w Lipsku i datowane o rok później): *Mémoire sur le système primitif des voyelles dans les langues indo-européennes,* które zadecydowało o triumfie gramatyki porównawczej i nowej szkoły.

Obok wspomnianego, rzecby można, gorączkowego rozwoju językoznawstwa wielką wagę miała okoliczność, że przed filologją klasyczną otwarło się w tych czasach nowe pole pracy, a mianowicie dziedzina napisów i papirusów. Dzięki tym zabytkom tzw. język potoczny i gwara gminna, tudzież narzecza stały się przedmiotem badań naukowych. Filolodzy klasyczni, którzy do lingwistyki odnosili się w jej początkach nieufnie, a potem, po okresie Curtius'a, skutkiem przewrotu, jaki sprawili młodzi gramatycy, wyrzekli się chwilowo wszelkiego z nią kontaktu, stanęli przed zadaniem, przechodzącem ich gramatyczne przygotowanie. Dialektolodzy, Ahrens *(De Graecae linguae dialectis* 1839—1843) i Bücheler *(Umbrica* 1883), byli, żeby tak powiedzieć, gramatykami z Bożej łaski. Filolodzy klasyczni zajmowali się głównie literackim językiem. Na podstawie gramatyki, która wyrosła na tem podłożu której naturalnym ideałem było doskonałe nietylko mówienie, ale także myślenie, poprawiali mozolnie restaurowane przy pomocy zachowanych kodeksów archetypy, szczycili się swą metodą i wierzyli, że w ten sposób uzyskują oryginalny tekst danego autora. Jeżeli napisy wraz z papirusami wulgarnemi

ich zaskoczyły i poniekąd przeraziły wykroczeniami przeciwko „gramatyce“, to papirusy literackie, bezpośrednie świadectwa starożytnych tekstów, wykazały zwodniczość wspomnianej metody. Ostudziły one naogół gramatyczną gorączkę konjekturalną, pouczyły, że dobrą jest rzeczą, jeżeli wydawca zdaje sobie sprawę z możności lepszego wysłowienia, względnie pomyślenia, ale tę świadomość powinien zachować dla siebie, względnie wyrazić ją w komentarzu, jako materjał oceny danego autora, którego mu nie wolno pozbawić indywidualności stylistycznej w imię swoich przekonań gramatycznych. Filolodzy doznali głębokiego upokorzenia. Stracili zaufanie do sprawności swojej gramatyki i zrezygnowali z samodzielnych badań nietylko na polu gwar i wulgarnego języka, ale częściowo także na polu języka literackiego. Wyrzekli się przedewszystkiem pisania podręczników gramatycznych, pozostawiając tę troskę językoznawcom. Sytuacja zmieniła się zasadniczo. Lingwiści triumfowali w poczuciu naukowej wyższości swojej gramatyki nad filologiczną. Niektórzy nadto, jak Jakób Wackernagel, lub Franciszek Skutsch zdobyli doskonałą znajomość literackiej greczyzny i łaciny. Lingwiści przejęli kierownictwo na polu nietylko greckiej, ale i łacińskiej gramatyki, pozostawiając filologom „interpretację“. Widomym znakiem tego stanu rzeczy stało się pismo Glotta, założone przez Kretschmer'a i Skutsch'a w roku 1907. Do gramatycznej bibljoteki filologa klasycznego należą dzisiaj następujące dzieła lingwistyczne, aby wymienić najważniejsze: Brugmann-Thumb, *Griechische Grammatik*, [4]München 1913, E. Boisacq, *Dictionnaire étymologique de la langue grecque*, Heidelberg-Paris 1916, F. Sommer, *Handbuch der lateinischen Laut-u. Formenlehre* (+ Kritische Erläuterungen), [2-3] Heidelberg 1914, A. Walde, *Lateinisches etymologisches Wörterbuch*, [2] Heidelberg 1910. Wymienione dzieła podają bardzo cenny materjał fonetyczny i morfologiczny, zawodzą natomiast w sprawie składni. Zawodzą w tej sprawie nawet dwa tomy wykładów Wackernagel'a: *Vorlesungen über Syntax*, Basel 1920—1924. Braki w zakresie składni greckiej można uzupełnić przy pomocy wspomnianej wyżej gramatyki Krüger'a, a w zakresie składni łacińskiej przy pomocy stylistyki Nägelsbach'a (Nägelsbach-Müller, *Lateinische Stilistik*, Nürnberg 1905; druga, syntaktyczna część gramatyki Stolz'a i Schmalz'a w nowem opracowaniu B. Hofmann'a ma się wkrótce ukazać, pierwsza ukazała się w Monachjum w roku 1926 w opracowaniu M. Leumann'a). Z końcowych uwag wynika, że w trzeciej części gramatyki lingwiści nie zdobyli takiego stanowiska, jak w pierwszej i w drugiej, co się zaznacza i w tem także, że komentarze wybitnych filologów stanowią wciąż jeszcze główne źródło syntaktycznego pouczenia.

W ostatnich czasach zarysowały się bardzo dobitnie różnice pomiędzy młodymi gramatykami i tak zwanymi neolingwistami. Nie wchodząc w sedno tej zawiłej, głównie romanistów obchodzącej sprawy, zaznaczę ogólnie, że już pod koniec XIX w. podzieliły się badania językowe na zewnętrzne i wewnętrzne. Kierunek młodych gramatyków prowadził konsekwentnie do usamodzielnienia fonetyki. Dokonał tego w nader ważnych dziełach: *Modifications phonétiques du langage*, Paris 1892, i *Principes de phonétique expérimentale*, Paris 1897—1901, Abbé Rousselot. Zastosowano ścisłą metodę doświadczalną, zwrócono główną uwagę na dialekty i gwarę ludową, wogóle na językową rozbieżność i rozmaitość. W ten sposób zerwano ostatecznie z normatywnem znaczeniem literackiego wysłowienia. Uzyskało je wysłowienie gminne i przygodne. Rozwinęła się tak zwana geografja dialektyczna, zaczęto opisywać rozmaite użycia danego języka w rozmaitych klasach społecznych i środowiskach zawodowych, w różnych latach i okresach życia ludzkiego, poprostu język, jako całość, zaczęto różniczkować bodaj że w nieskończoność. Rezultaty tych mikroskopijnych badań zachwiały zasadniczo koncepcję bezwyjątkowych praw fonetycznych, jaką głosili młodzi gramatycy. Wywarły one wpływ także w zakresie gramatyki greckiej i łacińskiej.

Dogmatyzm młodych gramatyków ograniczyły i ukróciły również rezultaty wewnętrznych badań językowych. Szczególne zasługi położył na tem polu profesor lipskiego uniwersytetu, Wilhelm Wundt, przedstawiciel psychologji, autor dzieła *Völkerpsychologie*, którego pierwszy tom poświęcił sprawie mowy (I tom *Die Sprache*, Leipzig 1900, III wyd. 1918; por. krytykę B. Delbrück'a, *Grundfragen der Sprachforschung* itd., Strassburg 1901, i J. Rozwadowskiego, *Semazyologia*, Eos 1903, 17 n., — *Wortbildung und Wortbedeutung*, Heidelberg 1904). Wewnętrzne badania językowe ogniskują się w dziedzinie tzw. semazjologji (termin Reisig'a), względnie semantyki (termin Bréal'a). Ich głównym przedmiotem jest to, co nazywali młodzi gramatycy analogją i jej działaniem, wszelako w nierównie szerszem i w nierównie głębszem znaczeniu. Fonetycznym prawom nowych gramatyków przeciwstawia się poniekąd semantyczne prawa, albo raczej ich koncepcja, jako że samych praw nie udało się dotychczas należycie sformułować. Rzeczywistego przeciwieństwa niema, tak się przynajmniej wydaje, a obecny spór tłumaczy się poprostu wartościowaniem obu koncepcyj, tudzież wspomnianym już brakiem należycie sformułowanych praw semantycznych. Wundt przykładał główną wagę do kulturalnego i socjalnego znaczenia mowy. Wewnętrzne badania językowe, które można nazwać także socjalno-kulturalno-psychologicznemi, o ile kto zechce posługiwać się takiem określeniem, prowadzą do ogólnej nauki o języku w rodzaju starożytnej filozofji mowy. Ich kierunek

jest więc wprost przeciwny kierunkowi zewnętrznych badań językowych: nie różniczkują, lecz zcalają, by się tak wyrazić, język, a nawet języki, zacierając różnice i zmierzając do wykazania uniwersalnej jedności wewnętrznej, co się wydaje podobnie omylnem i jałowem, jak nieskończone różniczkowanie. Owocna praca uwzględnia obydwa kierunki, które się wtedy hamują wzajemnie, nie zaprzepaszczając właściwego języka. Ośrodkiem nowoczesnych badań wewnętrznych staje się coraz wyraźniej związek rzeczy i ich nazw-wyrazów. I tak z inicjatywy romanistów powstało w roku 1909 pismo: *Wörter und Sachen, Kulturhistorische Zeitschrift für Sprach- und Sachforschung*. Zauważyć można, że na tej drodze odzyska prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości swe dawne znaczenie język literacki, jako κατ' ἐξοχήν język kulturalny. Literatura jest owocem kultury. W literackiem użyciu wyrazów i w literackiem wysłowieniu wogóle wyraża się wartościowanie danych pojęć i rzeczy przez dany naród. Język literacki wyrasta na gruncie związku, jaki zachodzi pomiędzy danemi przedmiotami i psychiką danego narodu, jest jego, żeby użyć takiego określenia, idealnym językiem naturalnym. Ową naturalnością i równocześnie czcią instynktowną tłumaczy się ogromna odporność i trwałość literackiego języka w porównaniu z niedbałą i dlatego znikomo-zmienną gwarą potoczną. Doszliśmy do ogólnego podłoża mowy, do owej pierwotnej wiary w związek wyrazów-nazw z ich przedmiotami, o którym wspomniałem na początku wywodów.

Lecz wróćmy do gramatyki jako takiej. Nie można dość silnie zaznaczyć, że wspaniały rozwój językoznawstwa w ostatniej ćwierci XIX w. wzbogacił właściwie tylko fonetykę i morfologję. Składnia zyskała na nim niewiele, a raczej powiedziećby trzeba, że więcej straciła, niż zyskała. Znakomity slawista, Franciszek Miklosich, określił w dziele: *Syntax der slavischen Sprachen* (Wien 1868—1883), składnię jako naukę o znaczeniu, względnie o użyciu klas i form wyrazów. Przeciwko temu określeniu, które znalazło ogólne uznanie w kołach językoznawców, wystąpił John Ries w książce: *Was ist Syntax?* (Marburg 1894, 2 wyd. w r. b.). Ries zwrócił uwagę, że definicja Miklosich'a jest za ciasna i równocześnie za szeroka: za ciasna, ponieważ w jego składni niema miejsca dla szyku wyrazów, dla rytmiki ich szeregu, dla parataksy i hypotaksy, poprostu dla obserwacyj, dotyczących się tak zwanego zdania i okresu — za szeroka, ponieważ windykuje sobie obserwacje, należące z natury rzeczy do innej części gramatyki, a mianowicie do słowotwórstwa i fleksji, czyli do nauki o poszczególnych wyrazach jako takich. Książka Ries'a wykazała bardzo poważne braki w składni lingwistycznej. Nie popełnimy prawdopodobnie błędu, jeżeli powiemy, że dzięki mniej lub więcej jasnej świadomości owych braków powstały w znacznej części

omówione wyżej wewnętrzne badania językowe. Szuka się drogi tak owocnej dla syntaksy, jak owocną dla fonetyki i morfologji okazała się droga, na którą wstąpili młodzi gramatycy. Powiada Ries, że szereg: *głoska—wyraz—zdanie*, stanowiący podstawę podziału tradycyjnej gramatyki, nazwijmy ją filologiczną, jest fałszywy, albowiem trzecią wartość powinno w nim tworzyć nie zdanie, lecz połączenie wyrazów. Stwierdza mianowicie, powołując się na Apolloniosa Dyskolosa (π. συντάξεως I 2), że, jak przedmiotem głosowni jest nauka o głoskach, przedmiotem fleksji i słowotwórstwa nauka o wyrazach, czyli o połączeniach głosek, tak przedmiotem składni jest nauka o (zdaniowych i niezdaniowych) połączeniach wyrazów. Ustaliwszy ten podział formalny na trzy części, zwraca Ries uwagę na to, że moment semantyczny występuje tylko w nauce o połączeniach głosek (=wyrazach) i w nauce o połączeniach wyrazów. Ostatecznie dzieli gramatykę na dwie główne części: I naukę o głoskach i II naukę o wyrazach, tudzież ich połączeniach. Drugą część gramatyki dzieli dalej na naukę II 1 a — o formie wyrazów i ich klas, II 1 b — o znaczeniu wyrazów i ich klas, II 2 a — o formie połączeń wyrazów, II 2 b — o znaczeniu połączeń wyrazów. Ten podział gramatyki poprzedził Ries krytyką dotychczasowych poglądów. Krytyka spotkała się z powszechnem uznaniem. Nie znalazły go natomiast pozytywne rezultaty. Książka Ries'a posiada aktualne znaczenie, ponieważ poruszone w niej zagadnienia nie zostały dotąd, ile mi przynajmniej wiadomo, należycie rozwiązane.

Zauważyć należy przedewszystkiem, że istnieją wyrazy jednogłoskowe, jak naprzykład w języku polskim *a, i,* w języku łacińskim *a, e,* lub w języku greckim ἤ, οὐ. Podobnie przedstawia się sprawa tak zwanych zdań jednowyrazowych. Iluzoryczny jest zatem pogląd Ries'a, jakoby wyrazy były połączeniami głosek, a tzw. zdania połączeniami wyrazów. Schemat Ries'a nadawał głoskom charakter podstawowych, elementarnych wartości. Z nich powstawały całości wyrazów, podobnie jak z wyrazów miały powstawać wtórne niejako całości zdaniowe i niezdaniowe. To zapatrywanie i to mimoświadome, aby tak powiedzieć, a miarodajne dla całego poglądu założenie tłumaczy się bez reszty wpływem reprezentacji graficznej. Praktycznie piszemy i czytamy, pisząc i czytając głoski jako zgłoski, wyrazy itd. W koncepcji Ries'a i starożytnych gramatyków wogóle pierwotną niejako formą wyrazu jest wyraz sylabizowany. Reprezentacja graficzna ma niewątpliwie wielkie znaczenie, nie jest jednak ani pierwotna, ani miarodajna dla języka jako takiego. Jeżeli to sobie uprzytomnimy, to jasnem staje się i to także, że porządek szeregu, który za Apolloniosem Dyskolosem podaje Ries i który przez tyle wieków łudził uczonych, jest nienaturalny. Naturalnym

porządkiem byłby następujący: zdaniowe i niezdaniowe połączenia wyrazów, wyrazy, czyli połączenia glosek wedle Ries'a, i na ostatniem wreszcie miejscu głoski. Ten szereg wymaga pewnej zmiany w myśl poprzednich uwag. Powyższy szereg zyskiwa poprawną formę w następującej postaci: *Powiedzenie — wyraz — głoska*. Zaznaczyć należy, że w dziedzinie badań językowych mamy do czynienia tylko z powiedzeniami, jako realnemi wartościami. Mogą być one jednowyrazowe i wielowyrazowe, jednogłoskowe i wielogłoskowe. Wszystkim im przysługiwa charakter konkretnych i niezmiennych w tym sensie wartości, że mogą być powtarzane niezliczoną ilość razy. Przez wyraz rozumiem sztuczną jedność abstrakcyjną, łączącą w sobie określoną ilość konkretnych powiedzeń. Wyrazy możemy naprzykład pisać tak: *pater, -is, -i* itd., podczas gdy powiedzeń nie możemy napisać inaczej, jak tylko: *pater, patris, patri* itd. Z powiedzeniami spotykamy się w tekstcie, z wyrazami w słowniku. Abstrakcjami jeszcze dalszemi, abstrakcjami poniekąd granicznemi są głoski. Jeżeli „wyrazy" tworzymy w tym celu, ażeby się zorjentować w żywem mnóstwie powiedzeń danego języka, to „głoski" usamodzielniamy z tego znowu powodu, aby się zorjentować w samych wyrazach. Tworząc koncepcję wyrazów, tworzymy tzw. deklinację i konjugację, wprowadzając koncepcję głosek, wprowadzamy w dziedzinę badań językowych tzw. prawa fonetyczne. Trzeba sobie zdać jasno sprawę, że schemat Ries'a przypomina, by użyć takiego porównania, odwróconą piramidę. Nauka o głoskach wywodzi się z etymologji starożytnej, nauka o wyrazach, tudzież o deklinacji i konjugacji, czyli poprostu morfologja, z długotrwałych sporów pomiędzy analogistami i anomalistami, a składnia zawdzięcza swe zaczątki filozofom, retorom i gramatykom greckim. Fonetyka, jako najbardziej abstrakcyjna dziedzina, stanowi najwdzięczniejsze pole badań językowych. Oporniejsze są wyrazy, a najmniej uchwytne są bezpośrednie powiedzenia. Zgodnie z wyłożonym stanem rzeczy nauka o głoskach przedstawia się w chwili obecnej najbardziej naukowo. W niższym stopniu przysługiwa ten charakter morfologji, a składnia znajduje się jeszcze ciągle w zaczątkach. Fonetyka i morfologja służą dziś do określenia związku i pokrewieństwa poszczególnych języków. Stanowią one właściwą dziedzinę porównaczego językoznawstwa i do nich się ogranicza z natury rzeczy dzisiejsza gramatyka lingwistyczna. To, co lingwiści nazywają składnią, ma z właściwą składnią niewele wspólnego. Dziedzina powiedzeń, utrwalonych graficznie, jest rdzenną dziedziną badań filologicznych. Obejmuje ona wszelkie teksty i wymaga dokładnej znajomości literatury danego języka. Głównym przedmiotem gramatyki filologicznej jest w przeciwieństwie do gramatyki porównawczej nie stosunek danych języków do siebie, lecz

dany język i sprawność jego wysłowienia, która się najjaśniej rysuje w zabytkach jego literatury i tzw. języku literackim. W ten sposób można wyróżnić lingwistyczny i filologiczny typ gramatyki. Nie stanowią one przeciwieństwa, jak wskazuje ich ścisły związek z gramatyką historyczną, będącą syntezą poszczególnych gramatyk deskrypcyjnych.

Gramatyka wyłoniła się wraz ze swemi częściami z pokonywania trudności, jakie nastręczała orjentacja w mnóstwie mniej lub więcej zagadkowych powiedzeń. Pomiędzy gramatyką danego języka, a nim samym niema takiego związku, by znajomość gramatyki zapewniała jego posiadanie. Z drugiej strony można władać danym językiem, nie znając jego gramatyki. Niemniej stanowi gramatyka coś w rodzaju mostu, który doprowadza i wprowadza w należyte rozumienie danego wysłowienia. Owo naturalne zadanie gramatyki jako takiej spełnia lepiej gramatyka filologiczna, niż lingwistyczna.

Gramatyka, jako system fonetycznych, morfologicznych i syntaktycznych wiadomości z zakresu jednego języka, jest uporządkowanym wedle pewnego celu i planu systemem wiadomości, uzyskanych dzięki badaniom danego języka w jego trzech różnych postaciach. Bo i z tego trzeba sobie jasno zdawać sprawę, że głoski są najbardziej uproszczoną postacią *całej* danej mowy, podobnie jak *całej* danej mowy postacią, a tylko mniej uproszczoną są wyrazy i jak *całej* wreszcie danej mowy postacią są powiedzenia. Nauka o głoskach ma tak samo olbrzymie pole, jak nauka o wyrażach, lub nauka o powiedzeniach. Fonetyka, morfologja i syntaksa absorbują się wzajemnie w miarę rozwoju i dążą do samoistności. Fonetyka w chwili obecnej stanowi już np. samodzielną naukę. Gramatyk może pracować w każdej z tych dziedzin, może pracować w nich wszystkich, specjalnem jednak jego zadaniem jest umiejętne połączenie zdobytych we wspomnianych dziedzinach rezultatów w system. Owo połączenie wymaga swojego celu. W gramatyce filologicznej jest nim cel poniekąd zewnętrzny, a mianowicie przygotowanie do umiejętnej lektury tekstów, tudzież do twórczości w zakresie danego języka.

Poznawszy istotny stan rzeczy, możemy z kolei przystąpić do omówienia ogólnego schematu gramatyki filologicznej jako podręcznika. Rozróżnić tu trzeba przedewszystkiem tzw. języki martwe, jak np. starożytna greczyzna, oraz łacina, i języki żywe. Można naturalnie „mówić" po grecku i po łacinie, ale wtedy nie należy zapominać, że „mówi się" dźwiękami ojczystego, żywego języka, zmodyfikowanemi więcej lub mniej dowolnie. W przeciwnym razie popada się w śmieszną pretensjonalność. Z Demostenesem i z Cyceronem mogliby się dzisiejsi filolodzy porozumiewać raczej pisemnie, niż ustnię. Ponieważ filologiczna gramatyka starożytnej greczyzny i łaciny ma na celu głównie przygotowanie do umiejętnej lektury tek-

stu, przeto można zachować tradycyjny schemat: fonetyka, morfologja i syntaksa, zwłaszcza że w tym porządku gramatyka doprowadza niejako do właściwej sprawy, do lektury tekstu. Niemniej rozpoznanie istotnego stanu rzeczy winno się zaznaczyć we wzajemnym stosunku i opracowaniu głównych i pobocznych części danej gramatyki: fonetykę należy przystosować do potrzeb morfologji, a morfologję do potrzeb syntaksy. W filologicznej gramatyce greckiej i łacińskiej fonetykę wyjaśnia morfologja, a morfologję syntaksa. Syntaksę wyjaśniają teksty i ich umiejętna lektura. Nie można dość silnie zaznaczyć, że teksty stanowią instancję dla gramatyki, a nie gramatyka dla tekstów. Przygotowanie gramatyczne uzdalnia do rozpoznawania nietylko zalet, ale także wad danego wysłowienia, które należy odróżniać od nalotu niewątpliwych błędów. Pamiętać trzeba, że usuwanie ewentualnych wadliwości nie jest zadaniem filologa. Jego zadaniem jest ich rozeznanie, a obowiązkiem szacunek dla tradycji rękopiśmiennej.

Autorzy starożytni byli naogół artystami języka. Szli drogą doskonalenia słowa przez myśl w najszerszem znaczeniu tych wyrazów i myśli przez słowo. Owa droga miała swoje wyżyny i niziny. Obok szczerego natchnienia pojawia się i bruździ retoryczna rutyna, obok precyzyjnych wysłowień znachodzą się luźne i niedbałe, obok tętniących treścią powiedzeń snują się mdłe frazesy. Tzw. błędy językowe stają się w perspektywie historycznej cennemi nieraz posunięciami naprzód, a rzekome prawidłowości wstrzymują niekiedy język w postępie i w naturalnem dążeniu do większej sprawności. Właściwie nie należy mówić ani o błędach, ani o prawidłowościach, lecz tylko o faktach językowych, w których się zaznacza ciągły, czasem owocny, czasem jałowy, a czasem mylny, raz żywszy, a innym znowu razem słabszy wysiłek lepszego mówienia i myślenia. Gramatyka nawiązywa z natury rzeczy do faktów zwycięskich i w ten sposób krystalizuje się w niej niejako tzw. poczucie językowe, które pozostaje w ścisłym związku z kulturą danego środowiska, zarówno z jej wadami, jak zaletami. Reguły gramatyczne nie mają absolutnego, lecz tylko orjentacyjne znaczenie. Kto mówi i pisze „gramatycznie”, mówi i pisze „poprawnie”, ale z tego nie wynika jeszcze, by koniecznie źle mówił i pisał, kto wykroczy okolicznościowo przeciwko prawidłom gramatycznym. I tutaj są ἄγραφοι νόμοι. Wspomniałem już, że rzekome błędy językowe są nieraz czynnikiem postępu. Prawdziwi gramatycy służą, podobnie jak prawdziwi literaci, sprawie doskonalenia słowa przez myśl i myśli przez słowo. Idea doskonałej „mowy bogów“ rzeźbi w tworzywie językowem dzieła i wogóle język literacki. Rozeznanie faktu, że język literacki nie jest dowolnym tworem jednostek, lecz pozostaje w ścisłym związku z naturalnym rozwojem języka i ideą doskonałego wysłowienia,

nadaje gramatyce filologicznej charakter podstawy dla naukowej historji literatury, ponieważ językowe walory dzieł literackich ujawniają się dopiero wyćwiczonemu gramatycznie oku. Gramatyka w istotnem i równocześnie swem najszlachetniejszem znaczeniu buduje na przyszłości, ogarnia teraźniejszość i sięga w przeszłość językową, warując w miarę postępu jego rzeczywiste łożysko.

W kołach filologów klasycznych mówi się obecnie o przebytem stadjum gramatycznem i o „historycznej“ wyżynie dyscypliny. W owem przeciwstawianiu realjów gramatyce i fałszywem obniżaniu tej ostatniej zaznacza się kapitulacja filologów klasycznych przed lingwistami i tzw. językiem wulgarnym, kapitulacja stanowczo przedwczesna i nienaturalna. Język literacki ma niewątpliwie ogromne znaczenie kulturalne i nie stanowi przeciwieństwa, lecz wykwit języka wulgarnego. Filolodzy klasyczni są z natury rzeczy badaczami języka literackiego w związku z jego treścią psychiczną, tzn. całokształtem kultury starożytnej.

JAKÓB HANDEL

TRICESIMA SABBATA (Horat. Sat. I 9,69)

Horacy chcąc się pozbyć natrętnego towarzysza — tak czytamy w 9 satyrze I ks. — zaryzykował wymówkę, że udaje się do chorego przyjaciela na Zatybrze. Nie zrażony tem jednak bynajmniej żebrzący o protekcję pseudoliterat, któremu uśmiecha się rola pieczeniarza u możnego Mecenasa, a kto wie, może z czasem nawet na dworze samego Augusta, ani nie myśli opuścić swej ofiary. Poeta więc, któremu nawet wobec takiego osobnika nie wypadało być niekonsekwentnym, daje się odprowadzić aż na *vicus Tuscus,* leżący po drugiej stronie Tybru. Doprowadzony niemal do rozpaczy ciągłemi bredniami niezmordowanego gaduły, spotyka tu Horacy przypadkowo przyjaciela swego, Aristiusa Fuskusa i nagle zaświtała w nim iskierka nadziei, że ten stary druh wyprowadzi go z matni i uwolni wreszcie od gadatliwego wierszoklety. Udaje tedy, pomagając sobie energicznie odpowiednią mimiką, że spotkali się w samą porę, gdyż mają do omówienia — naturalnie w cztery oczy — bardzo ważną jakąś sprawę. Fuskus nie w ciemię bity, a znając snać doskonale natręta, odrazu zorjentował się w sytuacji, chcąc zaś dokuczyć trochę Horacemu i ubawić się jego kosztem, robi arcypoważną minę i nibyto mocno zgorszony indyferentyzmem religijnym przyjaciela, sam jako „zwykły śmiertelnik“ *(unus multorum)* ani słyszeć nie chce o żadnym interesie, wymawiając się słowami: *„Hodie tricesima sabbata“.*

Cóż chciał przez to powiedzieć? Niewątpliwie tyle, co: „dzisiaj interesów się nie załatwia, bo dzisiaj święto żydowskie“. I gdyby był powiedział tylko: „*hodie sabbata*“, bez dodatku *tricesima*, sens byłby zupełnie dobry i jasny: „dzisiaj sobota“. Trudność nastręcza tylko wyraz *tricesima*, nad którego wyjaśnianiem biedzili się filologowie i niefilologowie, od scholiasty Porfyrjona począwszy. Napisano na ten temat mnóstwo komentarzy, artykułów, a nawet rozpraw specjalnych, zasięgano opinji teologów i rabinów, a mimoto sprawę uważać należy za niewyjaśnioną. Wystarczy porównać kilka nowszych wydań komentowanych, by dojść do przekonania, że

grammatici certant et adhuc sub iudice lis est.

Tych, którzy w tej kwestji głos zabierali, można podzielić na dwa główne obozy, w obrębie których oczywiście dadzą się znowu odróżnić odmienne zapatrywania co do szczegółów. Do jednego obozu zaliczyć można tych, którzy w wyrazach *tr. s.* dopatrują się jakiegoś konkretnego święta żydowskiego, do drugiego zaś obozu tych, ktorzy słowa te uważają za żartobliwą fikcję poety, wobec czego, rzecz jasna, wszelkie domysły i dociekania są bezprzedmiotowe. Zajmiemy się najpierw pierwszą kategorją komentatorów i uporządkujemy ich zapatrywania w pewne grupy.

Otóż najprostszem wydaje się tłumaczenie *tr. s.* jako „trzydziesta sobota”, oczywiście trzydziesta sobota według kalendarza żydowskiego. Odrazu jednak nastręcza się pewna trudność: czy mianowicie chodzi tu o rok synagogalny, rozpoczynający się od miesiąca Tiszri, tj. mniej więcej we wrześniu, czy też o rok kalendarzowy biblijny, rozpoczynający się od miesiąca Nissan, tj. mniej więcej w marcu. Jednakowoż z góry należy zaznaczyć, że ani według jednej, ani według drugiej rachuby nie przypada żadne święto na trzydziestą sobotę — co więcej, niema wogóle żadnego znaczniejszego święta żydowskiego, któreby przypadało wyłącznie na sobotę. Licząc się widocznie z tym faktem, odnośni komentatorowie pozwalają sobie na pewną licencję i tłumaczą *tr. s.* nie ściśle i dosłownie jako trzydziestą sobotę, lecz jako święto, przypadające w przybliżeniu niejako około trzydziestej soboty. Oczywiście przy tak skrupulatnem szukaniu nie podobna nie znaleźć. A więc na tydzień mniej więcej 28, licząc od 1 Tiszri, przypada święto Paschy, natomiast na podobny mniej więcej okres czasu, mianowicie na tygodnie między 27 a 29 licząc od 1 Nissan, przypada właśnie ów miesiąc Tiszri (wrzesień), rozpoczynający właściwy rok kalendarzowy, a wraz z nim cały okres świąt uroczystych, począwszy od Nowego Roku (27 tydzień) po przez dzień Pojednania (10 Tiszri = 28 tydzień), aż do święta Szałasów, trwającego od 15 Tiszri przez cały tydzień (29 tydzień). Owóż w tej serji świątecznej najmniej stosunkowo wchodzić może w rachubę święto Nowego Roku, jako zby-

tnio, bo mniej więcej o cały miesiąc, wcześniejsze od 30 soboty. Dlatego też z taką hipotezą, któraby utożsamiała *tr. s.* z uroczystością Nowego Roku — o ile mi wiadomo — nikt nie wystąpił, natomiast usiłowano dopatrzyć się w owej sobocie Horacego zarówno dnia Pojednania (tak sądzi *eximius theologus ab Orellio consultus*, a nadto Kirchner w swojem wydaniu), jakoteż święta Szałasów, mianowicie 1 dnia (tego zdania był Roeder: *Sacra ab initio anni sacri tricesima incidunt in ipsum primum diem scenopegiorum... dicitur etiam festum tabernaculorum*), wreszcie, biorąc za punkt wyjścia rok synagogalny, uważano „30 sobotę” za określenie święta Paschy, tj. Wielkanocy, trwającej, jak wiadomo, również siedm dni. Na tem stanowisku stali z dawniejszych wydawców i komentatorów Lambinus, informowany przez jakiegoś Żyda, Torrentius i inni. Dziwi mnie tylko, że nikt nie myślał o Wielkiej Sobocie, poprzedzającej święto Paschy, w takim bowiem razie miałby przynajmniej rację bytu wyraz *sabbata* w znaczeniu zwykłem „soboty”, gdyż *tricesima*, czy tak czy owak, nie jest odpowiednie.

Merytorycznie miałoby za sobą najwięcej stosunkowo prawdopodobieństwa przypuszczenie, że Fuskus miał na myśli Dzień Pojednania, czyli tzw. Sądny Dzień: 1. dlatego, że jest to obok soboty jedyne święto jednodniowe, przypadające w dodatku często na sobotę, 2. ponieważ dzień ten, który biblja określa jako „sobotę nad soboty” (*sabbata sabbatorum*), ma rzeczywiście najwięcej analogji z dniem sobotnim, zwłaszcza o ile chodzi o ścisłe i bezwzględne wstrzymywanie się od zajęć codziennych i wogóle od wszelkiej pracy, a ten właśnie rys jest przecież dla naszego miejsca istotny i znamienny. Wreszcie 3. jako największe, najbardziej uroczyste i najwięcej, rzec można, charakterystyczne święto żydowskie dzięki surowości rytuału (całodzienne nabożeństwo i bezwzględny post trwający przez całą dobę), oraz uroczystej powadze, dzień ten zwany też „Dniem Grozy” posiadał po wszystkie czasy osobliwy jakiś urok, wywierając szczególne wrażenie na innowierców i słusznie mówi o nim Orelli: *tam triste sollemne superstitiosis facile sacrum quendam terrorem incutere poterat.* Mimo wszystko jednak nie należy zapominać, że żaden z tych argumentów nie kwalifikuje jeszcze tego dnia uroczystego na nazwę 30 soboty, skoro na 30 sobotę w roku faktycznie nigdy nie przypada. Toteż i ta kombinacja, podobnie jak i inne wymienione musi odpaść. Innemi słowy, należy mimo pewne pozory prawdopodobieństwa odrzucić zgóry wszelkie próby objaśnienia słów *tr. s.* jako święta obchodzonego bądź to w sam dzień 30 sabatu, bądź też w 30 tygodniu lub wreszcie około 30 tygodnia.

Nawiązując jeszcze do Dnia Pojednania należy też zaznaczyć, że hipoteza ta, widocznie tak ponętną wydawała się jednemu z wydawców Horacego, Linkerowi (swego czasu

profesorowi uniwersytetu lwowskiego), że widząc beznadziejność zadowalającego wytłumaczenia wyrazu *tricesima* uznał miejsce to za zepsute i czyta *tristissima sabbata*. Takie określenie w samej rzeczy odpowiadałoby ponurej powadze święta Pojednania, o którem czytamy w Piśmie Świętem (*Lev.* XXIII 29, 30): *omnis anima, quae afflicta non fuerit die hac, peribit de populis suis et qui operis quidpiam fecerit, delebo eum de populo suo*. Mielibyśmy więc ze względów rzeczowych rozwiązanie wcale szczęśliwe. Dodaję też mimochodem, że *tristissima sabbata* mogłoby także ostatecznie odnosić się i do zwyczajnej soboty, za czem przemawiałyby miejsca i wzmianki autorów rzymskich, jak np. Propert. IV 5, 34: *ne te remorentur ieiunia sabbata*. Emendację Linkera możnaby jednak przyjąć chyba tylko w myśl słynnej zasady Bentleya (wypowiedzianej odnośnie do innego miejsca Horacego (c. III, 27, 15): *nobis et ratio et res ipsa centum codicibus potiores sunt*. Wszystkie bowiem rękopisy Horacego zgodnie mają lekcję *tricesima* i dlatego żaden z wydawców nie przyjmuje wygodnej zresztą i napozór przekonywującej konjektury Linkera.

Osobna wzmianka wśród tych, którzy tłumaczą *tr. s.* jako 30 sobotę, należy się hipotezie B e r n a r d a F i s c h e r a (podaje ją w wydaniu swem F r i t s c h). Jest on o tyle oryginalny, że nie liczy owej soboty ani od 1. Nissan ani od 1. Tiszri, lecz liczy on soboty według roku, rzec można, szkolnego, mianowicie, według rozdziałów Pentateuchu, odczytywanych kolejno podczas nabożeństwa sobotniego przez 51 tygodni w roku. Zamknięcie tej serji całorocznych prelekcyj z Pisma Świętego i rozpoczęcie nowej przypada na ostatni dzień święta Szałasów, albo raczej na dzień następujący po tych świętach, której specjalnie poświęcony jest temu właśnie ważnemu w życiu religijnem synagogi zdarzeniu (odczytywanie Pisma Świętego stanowi integralną część liturgji sobotniej). Stąd też dzień ten ma specjalną nazwę *Simchath Thora* co znaczy „Radość z nauki” albo „Radość z zakonu” (oba te wyrazy oddają poniekąd wyraz hebr. *Thora;* w naszych kalendarzach święto to figuruje pod mniej odpowiednią nazwą: Radość z prawa). Owóż w 30 sobotę od rozpoczęcia tego roku szkolnego (jest nim po dziś dzień w żydowskich szkołach biblijnych) odczytuje się rozdział *Leviticus* XXVI. Treść tego ustępu stanowi ostre kazanie wygłoszone przez Mojżesza, który grozi grzesznikom surowemi karami, w razie gdyby odpadli od wiary w jednego Boga. Rozdział ten nazywa się powszechnie *tochacha* tj. „karcenie”, a odnośna sobota w terminologji synagogalnej ma nazwę *Sabbat tochacha* (soboty karcenia). Fischer przypuszcza tedy, że zabobonni Rzymianie za czasów Horacego ze szczególnym jakimś lękiem odnosili się do owej soboty, obawiając się, by przez jej profanację nie ściągnąć na siebie owych klątw. Poparcie swego przypusz-

czenia widzi Fischer w słowach: *meliore tempore dicam.* Ta interpretacja, usiłująca objaśnić „30 sobotę“ bez zadania zresztą gwałtu i przekazanemu tekstowi i wierności przekładu i kalendarzowi — co należy z uznaniem podkreślić — wydaje mi się przecież za daleko idącą. Musielibyśmy naprawdę przypisywać nie tylko samemu Horacemu, ale i ogółowi Rzymian, dla których pisał, wielką biegłość w obrzędach i zwyczajach religijnych Żydów. Dlatego niepodobna traktować tej hipotezy poważnie, zanim nie wykazałoby się skądinąd, że przedewszystkiem sami Żydzi ówcześni, a za nimi także wtajemniczeni w tajniki rytuału żydowskiego Rzymianie faktycznie otaczali ową sobotę szczególnemi względami i, co najważniejsza, że oznaczano tę sobotę liczbą porządkową odnośnego tygodnia. To wydaje mi się jednak mało prawdopodobne, gdyż Żydzi z reguły nie określają sobót w podobny sposób i z pewnością nawet najbardziej prawowierny i biegły w rytuale liturgicznym Żyd nie odpowiedziałby odrazu na pytanie, w którym tygodniu w roku odczytuje się dany rozdział Pisma św. lub przypada takie a takie święto. Musiałby więc chyba wieszcz wenuzyjski podobnie jak Fischer prowadzić swoje skrupulatne obliczenia z kalendarzem w ręce!

To byłyby znane mi próby tłumaczenia wyrazu *tricesima* jako przydawki do *sabbata.*

Przejdźmy z kolei do drugiej grupy komentatorów. *Tr. s.* ich zdaniem, nie koniecznie znaczy „trzydziesta sobota“. Wyraz *tricesima* może też być przydawką nie do *sabbata*, lecz do domyślnego *dies.* Sens byłby zatem taki: *Hodie tricesima* sc. *dies (et) sabbata* to znaczy: „Dzisiaj 30 dzień w miesiącu i (w dodatku) sobota“. Ten „30 dzień“ miałby oznaczać święto Nowiu (zwane: *Rosz Chodesz*), inaugurujące miesiąc żydowski, przypadające więc na kalendy każdego miesiąca. Że zaś miesiąc księżycowy według kalendarza żydowskiego ma z reguły naprzemian 29 lub 30 dni, więc święto Nowiu w miesiącach pełnych (tj. 30-dniowych) jest dwudniowe. Przypada ono mianowicie nietylko na właściwe kalendy, tj. na 1 dzień miesiąca nowego, lecz także na ostatni, tj. 30 dzień poprzedniego miesiąca. To tłumaczenie ma za sobą świadectwo scholjasty Porfyrjona, który objaśnia *tr. s.* przez *sabbata lunaria*, a za nim idzie wielu komentatorów i leksykografów nowożytnych. Takie określenie dnia Nowiu wydaje się dość dziwne i niefortunne, skoro przecież chodzi tu o święto rozpoczynające nowy miesiąc, a nie zamykające stary. Odpowiednio też do tej treści nazwa hebr. *Rosz Chodesz* znaczy „początek miesiąca“, więc tyle, co nasz „pierwszy“ lub rzymskie kalendy. Czyż nie dziwnem wydaćby nam się musiało, gdyby np. Rzymianie byli w podobny sposób przezwali swoje kalendy? Mimoto zdaje się, że nazwa łacińska *tricesima* na określenie żydowskiego *Rosz Chodesz* istniała. Albowiem posiadamy zupełnie niedwuznaczne

świadectwo poety chrześcijańskiego z III wieku Komodjana, który w poemacie *Instructiones* I 40,3 oddaje miejsce Jezajasza I 14: *neomenias vestras et sabbata* słowami: *et sabbata vestra et tricesimas*. Widocznie był to więc poniekąd termin techniczny wynaleziony prawdopodobnie przez praktycznych Rzymian, dla których takie określenie cyfrowe świąt żydowskich było snać najwygodniejsze (a więc: *septima, tricesima, quinquagesima;* nie jest też ostatecznie wykluczonem, iż Komodjan oparł się właśnie na naszem miejscu interpretując je mylnie; w takim razie objaśniając Horacego Komodjanem, obracalibyśmy się niejako w błędnem kole).

Formalnie jednak pojmowanie *tr. s.* jako asyndeton nie jest bez zarzutu. Ci, którzy przytaczają dla analogji takie połączenia asyndetyczne, jak *patres conscripti*, zapominają, że o ile takie lapidarne wyrażenie formułkowe jest zupełnie odpowiednie dla prastarej, instytucji szczero-rzymskiej, o tyle conajmniej wątpliwem a nawet niezrozumiałem musi się wydawać podobne określenie dla instytucji żydowskiej, a więc na wyrażenie pojęcia i stosunkowo młodego w Rzymie i obcego duchowi rzymskiemu. Także zestawianie na poparcie wzmiankowanego przypuszczenia innych zwrotów asyndetycznych u samego Horacego, jak np. *c.* II 3,26 *serius ocius* lub *epp.* I 7,72 *dicenda tacenda* z wspomnianych powodów nie wytrzymuje krytyki. Nie należy zresztą zapominać i o tem, że w przytoczonem miejscu Komodjana nie czytamy *tr. s.* lecz *tricesimas (sc. dies) et sabbata*.

Z tych trudności formalnych, że tak powiem, gramatyczno-stylistycznych, widocznie zdawał sobie sprawę J. J. Scaliger, skoro uważa *tr. s.* za określenie samego tylko dnia Nowiu, zwykłej uroczystości *Rosz Chodesz*, a nie specjalnie soboty.[1]) *Sabbata* miałoby tedy ogólniejsze znaczenie „święta żydowskiego", zatem *tr. s.* znaczyłoby tyle, co *tricesima festa*, tj. *festa quae tricesimo die celebrabantur*. I rzeczywiście czytamy u Suidasa: Σάββατα πᾶσαν ἑορτὴν ἐκάλουν καὶ διὰ τοῦτο εἴρηται σάββατον σαββάτων. Fuskus miałby tedy na myśli kalendy żydowskie, nie wchodząc w to, na jaki dzień tygodnia wówczas przypadały.

Bądź co bądź jednak przy interpretacji słów *tr. s.*, czyto jako *sabbata lunaria*, czy wogóle jako νεομηνία, nasuwają się pewne wątpliwości. Wszak są to uroczystości religijne ogółowi nieżydów przeważnie nieznane! „Sollte wirklich Horaz eine so genaue Kenntnis jüdischer Riten gehabt haben?" zapytuje jeden z wydawców Horacego (Schütz w wyd. Satyr z r. 1881), a podobne pytanie zadaje też sobie wielu innych komentatorów.

---

[1]) Por. Orelli-Baiter-Mewes ed. IV maior (1892) w komentarzu do naszego miejsca: „Plurimi assensere Scaligero... intellegenti tricesimum mensis lunaris diem ex parte certe feriatum et cultum Iudaeis".

Wiadomo, że Rzymianie naogół nie grzeszyli zbytnią znajomością obrzędów żydowskich. Świadczą o tem takie klasyczne miejsca, jak wpomniany już wiersz Propercjusza (IV 5,34), gdzie czytamy: *ieiunia sabbata* lub słowa, które Swetonjusz (*Octav.* 76) wkłada w usta cesarza Augusta: *Ne Iudaeus quidem tam diligenter sabbatis ieiunium servat, quam ego hodie servavi.* Widocznie więc sobota uchodziła u Rzymian powszechnie za dzień postu (chyba że *sabbata* w tych miejscach będziemy tłumaczyli jako dzień Pojednania, zwany *sabbata sabbatorum*). Wystarczy zresztą przypomnieć rozmaite *curiosa* na temat kultu żydowskiego u Tacyta (*Hist.* V 3,4) o wizerunku jakiegoś zwierzęcia, który rzekomo miał się znajdować w *sanctissimum* świątyni jerozolimskiej, oraz liczne brednie i niedorzeczności pisarzy rzymskich o pierwszych chrześcijanach.[1]) A wreszcie zarzut najważniejszy może przeciwko tym, którzy sądzą, że Horacy, względnie Fuskus, mieli wogóle na myśli jakieś bliżej określone święto uroczyste: czy ton całego utworu, osobliwie zaś naszego miejsca, a zwłaszcza rola kpiarza Aristiusa pozwala nam przypuścić, że wymienił on faktyczne, konkretne święto żydowskie, posługując się dokładnie oficjalną, że tak powiem, terminologją kalendarzową? Czy wogóle można i należy słowa jego traktować poważnie?

Uprzytomnijmy sobie raz jeszcze sytuację! Horacy spotyka Fuskusa na Zatybrzu, w dzielnicy żydowskiej. Tu prawdopodobnie nastrój świąteczny ludnej i gwarnej zazwyczaj ulicy, pozamykane kramy i sklepy, a może też tu i ówdzie widok przechodniów, odświętnie ubranych, przypomina odrazu, na pierwszy rzut oka, że ghetto dnia tego odpoczywa. Najprościej oczywiście przyjąć, że był to zwykły dzień sobotni. Owóż z tej okoliczności skwapliwie korzysta Fuskus, by nie tyle złośliwie, co żartobliwie dokuczyć przyjacielowi, który widział w nim już zbawcę z chwilowej opresji. Aristius chciał prawdopodobnie powiedzieć tylko: „Dzisiaj sobota"; mógł tedy powiedzieć poprostu *hodie sabbata* i sprawa byłaby jasna i niedwuznaczna. Dlaczego więc dodał *tricesima?* Czy musiał to uczynić, bo na tym wyrazie leżał punkt ciężkości? Zdaje mi się, że niekoniecznie. Dziwi mnie też bardzo, że żaden z komentatorów naszego miejsca nie zwrócił uwagi na ważny szczegół, który, kto wie, czy dla użycia owej przydawki nie był rozstrzygający.

Mam na myśli rolę i znaczenie epitetu w poezji starożytnej w ogólności, a osobliwie u Horacego. Oto co mówi na ten temat Morawski, *Hist. lit. rzymskiej* IV 15: „Od epitetów roi się u Horacjusza, każda niemal rzecz wspomniana przez

[1]) Coprawda Horacy może nie był takim ignorantem w sprawach religji żydowskiej, jak naogół jego ziomkowie, za czem zdaje się przemawiać miejsce w *Sat.* II 3,288; por. notatkę T. Zielińskiego *Iudaei Horatiani* w Eos XXX 1927, 96.

Horacjusza znajduje swe bliższe określenie, każdy rzeczownik rusza w pole z przymiotnikiem jak z adjutantem nieodłącznym". Otóż w roli takiego „adjutanta" soboty występuje u Owidjusza dwukrotnie siódemka i tak czytamy *Ars Am.* I 76:

Cultaque Iudaeo septima sacra Syro

a tamże I 416:

culta Palaestino septima festa Syro.

Ale i inne święta żydowskie, jak już wspomniałem, określano krótko cyframi. A więc, pomijając już samo *tricesima* jako domniemane określenie święta Nowiu, liczebnik *quinquagesima* (πεντεκοστή) był jak wiadomo nazwą święta Tygodni, tj. Zielonych świąt. Oceniając tedy z tego stanowiska wyraz *tricesima*, nie musimy przypisywać mu większej wagi. Był tu poecie potrzebny jakiś epitet. Mógł tedy powiedzieć np. *peregrina sabbata* tak, jak w podobnej sytuacji powiedział Owidjusz (*Rem. am.* 219). Cóż, kiedy dla Aristjusa Fuskusa dzień sobotni bynajmniej nie był obojętny, nie był mu więc „obcy". Mógł też może powiedzieć po prostu *septima sabbata*. Chodzi tylko o to, czy Fuskus użył przydawki *tricesima* zupełnie na chybił trafił, jak sądzą niektórzy wydawcy, np. Düntzer i Schütz („er nennt auf gut Glück den dreissigsten Sabbat als Hauptfesttag"), wymienił zaś pierwszy lepszy liczebnik, by niejako zamydlić oczy Horacemu jakąś rzekomo osobliwie świętą sobotą: Czy może mistyczna trójka odgrywała tu jakąś rolę, jak przypuszcza np. O. Jäger (*Nachlese zu Hor.* 14): „Der Dichter will den Mund voll nehmen, einen höchstheiligen Sabbat nennen und tut dies, indem er die heilige Dreizahl zu einer dreissigmal heiligen steigert" mielibyśmy tedy w tem wyrażeniu pewnego rodzaju analogię z jednej strony do takich zwrotów, jak *terque quaterque beati*, z drugiej zaś strony poniekąd też do Mickiewiczowskiego „44"). Z tych dwu ewentualności zdaje się więcej przemawiać do przekonania druga. Jeszcze prawdopodobniejszem może jednak wydaje się przypuszczenie, (do którego skłania się też Schütz), że Fuskus chcąc zakpić sobie z poety, rozmyślnie i świadomie przesadził i zamiast zwykłej siódemki, tj. liczby dni w tygodniu, podstawił żartobliwie trzydziestkę, a więc liczbę dni całego miesiąca. Tą pewnego rodzaju hyperbolą Fuskus chciał widocznie spotęgować w oczach Horacego świętość owej soboty.

Być może jednak, iż nie była to wcale fikcja poety, ale że epitet nasz miał faktyczne uzasadnienie w mylnem zresztą pojmowaniu święta Nowiu przez Rzymian. Jest bowiem rzeczą możliwą, że lud rzymski nie rozumiejąc należycie znaczenia tego dnia, sądził, że Żydzi nie inaugurują nim nowego miesiąca, lecz raczej obchodzą uroczyście ostatni, a więc trzydziesty dzień kończącego się miesiąca, podobnie jak święcą sabatem ostatni dzień w tygodniu. *Tr. s.* Należałoby tedy może rozumieć w myśl tego zapatrywania jako „sabat miesięczny"

w przeciwstawieniu do zwykłego „sabatu tygodniowego”. Takiem przypuszczeniem trafiliśmy może do źródła semazjologicznego epitetu *tricesima*, którym późniejszy poeta rzymski oddał greckie νεομηνίαι.

Zbierając rezultat powyższych rozważań możemy powiedzieć krótko: albo Horacy miał na myśli zwykłą sobotę, której świętość żartobliwie spotęgował przez określenie jej trzydziestką, a więc liczbą dni całego miesiąca, albo też miał na myśli święto Nowiu *(Rosz Chodesz)*, przyczem *sabbata* miałoby ogólne znaczenie święta żydowskiego, którego bliższem określeniem byłby właśnie liczebnik *tricesima*.

HOMEROWY HYMN DO ARTEMIDY

Artemidę opiewam, szumną, złotołuką,
sromną dziewę, co dębom zielonym i bukom,
jarom skalnym i turniom, szafirowosrebrnym,
wichurami smaganym topielicom niebnym,
co brzękotliwym brzechwom i płowej cięciwie
serce dała i łowów uciechami żywie.
Świszczą, błyszczą pociski, poryka zwierzyna:
to pani Artemida łowy rozpoczyna.
Ożywiły się knieje, drży ziemia i morze:
zwierz umyka co duchu i przepada w norze.
Rośnie serce w bogini dzikiej i zuchwałej
i nosi ją jak wicher po puszczy, po całej.
A kiedy się uciechą tropienia i strzału
napełni po wierzchołek, ostyga pomału.
Spuszcza natenczas pani Artemida krzywy,
niechybny łuk i dąży na pityjskie niwy.
Tam zaraz w Apollona wstępuje świątynię:
powitają ją Muzy, gędziebne boginie.
Podbiegną wnet Charyty, łuk od pani biorą
i na złocistym kołku zawieszają skoro.
Stroi się Artemida szatą tak bieluchną,
jak śnieg, co nim na ziemię dnie zimowe chuchną,
i zaraz w tan się puści, smukła przodownica.
Tuż za nlą tańczy Charyt trójca pięknolica.
A Muzy, którym w uściech miód się rodzi słodki,
boską Leto dźwięcznemi opiewają zwrotki.
Więc urodę bogini i owoc jej łona
śpiewają: Artemidę i moc Apollona.
Jak onych, tak i moje wychwalają wargi
Artemidę, co z puszczą miłuje zatargi.

przełożył TADEUSZ BOCHEŃSKI

BIBLJOGRAFJA

Gjerstad Einar, Studies on prehistoric Cyprus [Upssala Universitets Arksskrift 1926 I], Uppsala 1926, Lindenqvists 8 VIII 342 s., liczne ryc. i mapy. Kor. szw. 12. — Monografję niniejszą, poświęconą wyłącznie cywilizacji bronzu na Cyprze, uzupełniają dwa studja G. o neolicie cypryjskim z Frenaros w *Svenska Orientsällskapets Arsbok* 1925,5 n. i *Antiquaries Journal* 1925,54 n. Ogrom materjału, jaki poddany został w książce tej opracowaniu jest wprost imponujący, a nakład trudu, jakiego nie szczędził autor, potrafi ocenić każdy, kto próbował raz choćby przedrzeć się przez gąszcz zagadnień prehistorji cypryjskiej. Mamy tu bowiem po raz pierwszy kompletnie zebrany materjał zabytkowy, krytycznie zanalizowany i uporządkowany systematycznie pod kątem typologicznym i chronologicznym, dzięki czemu nie jesteśmy od tej pory skazani na uciążliwe nieraz poszukiwania w niezawsze dokładnych sprawozdaniach z wykopalisk oraz katalogach muzealnych. Na pracę G. łożyły się przedewszystkiem jego własne poszukiwania na wyspie, dzięki którym ustala on 65 punktów, zawierających resztki cywilizacji przedhistorycznej, podczas gdy Fimmer, *Kretisch-mykenische Kultur* 1921 znał zaledwie 33, następnie studja muzealne oraz materjały rękopiśmienne, odstąpione mu ze spuścizny po innych badaczach. Na treść pracy składa się w ten sposób opis szczegółowy resztek budownictwa (domy mieszkalne, fortyfikacje), grobowców, ceramiki, wreszcie pozostałych przedmiotów (narzędzia, broń, ozdoby). Poszczególne działy zabytków przedstawione zostały, jak zaznaczyłem, w porządku typologicznym i chronologicznym, dzięki czemu uzyskujemy systematyczny i przejrzysty przegląd materjału; wywodom autora towarzyszą ilustracje, nie zaopatrzone jednak w objaśnienia, z jakich znalezisk wzgl. publikacyj pochodzą reprodukowane zabytki. Punkt ciężkości pracy G. spoczywa w rozważaniach nad stratyfikacją ceramiki cypryjskiej i określeniu jej stanowiska wobec wyrobów obszarów sąsiednich. Prowadzą one do ustalenia chronologji relatywnej prehistorji Cypru, którą z kolei G. przekształca w bezwzględną z pomocą dających się datować znalezisk egipskich z Cypru i rozważań natury zasadniczej, dochodząc w ten sposób do następującego podziału na okresy:

3000—2100	Early Cypriote (3 podokresy: I—III)	1750—1600	Middle Cypriote III
		1600—1400	Late Cypriote I
2100—1900	Middle Cypriote I	1400—1200	„ „ II
1900—1750	„ „ II	1200—1000	„ „ III

Praca G. stanie się niewątpliwie znakomitą podstawą dla wszelkich dalszych studjów nad przeszłością przedhistoryczną Cypru, tak jak dla badań nad kulturą egejską stała się w swoim czasie dysertacja Fimmena, *Zeit und Dauer der kretischmykenischen Kultur* 1909. Zabytki o charakterze historyczno-kulturalnym i artystycznym zostały omówione przez autora zupełnie sumarycznie ze względu na to, że poświęcona im ma

zostać osobna monografja. Z uwagi na specjalne znaczenie, jakie Cypr posiada dla badań przeszłości krajów sąsiednich: Azji Mniejszej, Egei i Palestyny-Syrji, należy życzyć, aby autor omówionej pracy jak najszybciej podzielił się z nami dalszymi rezultatami swych gruntownych studjów nad kulturą cypryjską. PRZ.

Casson Stanley, Macedonja, Thrace and Illyria. Their relations to Greece from the earliest times to the time of Philip, son of Amyntas. Oxford, Humphrey Milford 1926, XXII 357 s., 106 ryc. w tekście i na tabl., 19 map. — Książka niniejsza składa się z dwów osobnych części: pierwsza poświęcona jest Macedonji i Tracji, druga Illyrji. C. przedstawia kolejno charakter geograficzny i warunki naturalne Macedonji i Tracji ze specjalnem odniesieniem się do starożytności i uwzględnieniem własnych badań, ugrupowanie osiedli ludzkich, poczem przechodzi do oceny tradycji starożytnej i przedstawienia obecnego stanu badań nad prehistorją tych obszarów. Następnie przechodzi do zarysu cywilizacyj przedhistorycznych: paleolitu, neolitu, bronzu i żelaza na podstawie znanego materjału wykopaliskowego i muzealnego. Osobno rozwodzi się autor nad kurhanami macedońskiemi i charakterem etnicznym Traków i Macedonów, a w oddzielnej wycieczce analizuje przedmioty uzbrojenia. Z kolei następuje rozdział historyczny, poświęcony królom i wodzom Macedonji i Tracji, uzupełniony tabelą chronologiczną, rozdział o Chersonnesie Trackim, wreszcie treściwy zarys sztuki trackiej. Rozróżnia w niej C. dwa okresy: 550—450 i 450—350 prz. Chr., z zaakcentowaniem w tym ostatnim wpływów greckich i scytyjskich. Pierwszą część książki kończy rzecz o kultach trackich. W podobny sposób opisuje C. czasy przedhistoryczne i półhistoryczne Illyrji, z tą różnicą, że zarówno wykopaliska, jak i tradycja klasyczna dają nam tu bez porównania mniej materjału naukowego. Zadaniem pracy niniejszej, jak zaznacza prospekt wydawcy, jest dać pojęcie o rozwoju północnej części półwyspu Bałkańskiego i północnych pobrzeży morza Egejskiego od czasów przedhistorycznych do IV w. prz. Chr. Książka C. spełnia to zadanie w znakomity sposób. Podnietę do tego ujęcia przedmiotu dają C. jego własne podróże i badania archeologiczne na tych mało jeszcze zbadanych terenach, zapoczątkowane w 1913 r., wśród których dwuletnia kampanja salonicka odgrywa zasadnicze znaczenie. Rezultaty tych badań ujęte zostały poprzednio w oddzielnych studjach, przyczynkach i sprawozdaniach, z których chciałbym wymienić artykuł: *Mycenaean elements in the North Aegean* (Man XXIII 1923, 170 n.). — W dodatkach do pracy niniejszej podaje C. listę muzeów, zawierających starożytności trackie, wykazy siedlisk przedhistorycznych na obszarach Tracji i Macedonji oraz Illyrji z podaniem odnośnej literatury, analizę źródeł klasycznych oraz wyczerpującą bibljografję przedmiotu. Książkę ilustrują liczne ryciny zabytków, publikowanych po raz pierwszy, doskonałe mapy i rysunki. PRZ.

Nilsson M., Das homerische Königstum, (Sitzungsberichte Preussischer Akademie der Wissenschaften 1927 Nr. 7, s. 23—40). — N. zaznacza, że wiadomości tekstów hetyckich, dotyczące państwa achajskiego, zniewalają do rewizji naszego stosunku do tradycji greckiej. Z tego punktu widzenia epos i legenda zawierają pozostałości stanu rzeczy z epoki mykeńskiej, w szczególności stosunki, zachowane w epopei, zwłaszcza w *Iljadzie*, są odbiciem ustroju monarchji mykeńskiej (achajskiej). Ustrój ten charakteryzuje N. w następujący sposób: władza królewska jest dziedziczna. Król Myken jest zarazem głównodowodzącym achajską siłą zbrojną, głos doradczy ma zgromadzenie wojskowe. Wasalowie obowiązani są do świadczeń wojennych na czele kontyngentu zbrojnego swych poddanych. Uczty obozowe są środkiem, wiążącym króla-naczelnego wodza z poddanymi-podkomendnymi. Celem wypraw wojennych jest zagarnięcie zdobyczy, której lwia część przypada w udziale naczelnemu dowódcy-królowi Myken. Wasalowie występuję jako dowódcy samodzielnych oddziałów, składających się z ich poddanych, nad którymi mają

władzę dziedziczną. W ten sposób Agamenon jest faktycznie βασιλεὺς βασιλέων; przypada mu jako królowi Myken rola *primus inter pares*. PRZ.

Dörpfeld W., Das Schiffslager der Griechen vor Troja (Studien zur vorgeschichtlichen Archäologie Alfred Götze dargebracht, Leipzig, Kabitzsch, 1925, s. 115—121, 1 plan). — Krótkie sprawozdanie z poszukiwań archeologicznych, przedsięwziętych w październiku 1924 r. na terenie starożytnej Troady, zmierzających do ustalenia miejsca postoju okrętów achajskich. D. utrzymuje, że stały one nad zatoką Besika. Wielki kurhan Besika zawierałby według przypuszczań D. wspólny grób Achillesa i Patroklosa. D. zapowiada dalsze wykopaliska dla rozwiązania postawionych w ten sposób zagadnień. PRZ.

Müller, Minoisches Nachleben oder orientalischer Einfluss in der frühkretischen Kunst (Athenische Mitteilungen 1925, 51—70, tab. VI, 7 ryc.). — Podaje rozbiorowi wazy pochodzące z wykopalisk archeologa włoskiego Doro Levi w mieście Arkadja na Krecie (*Annals of Archaeology and Anthropology of the University of Liverpool* XII 1925, 3 n.). Drobiazgowy rozbiór ornamentyki tych naczyń prowadzi M. do wniosku, że wprawdzie pojedyncze motywy sztuki kreteńskiej przedostały się do stylu geometryczuego, ale nie odegrały one zasadniczej roli w ukształtowaniu się stylu wczesnoarchaicznego. Dla poparcia swoich dowodzeń publikuje M. po raz pierwszy kilka interesujących zabytków z prywatnych zbiorów niemieckich, a to główkę terakotową z Prinia oraz dwa srebrne pinakes z Kilikji. Przedstawione na tych ostatnich postacie ludzkie zdradzają niewątpliwy związek ze sztuką mniejszoazjatycką, tzw. „hetycką“, wobec czego M. datuje je słusznie na II tys. prz. Chr. PRZ.

Sudhoff K., Aelteste Stadt und Hafenbucht auf Kos und der Obsidianhandel im Aegäischen Meere (Die Naturwissenschaften XV 1927, 335—337, 1 ryc.). — Rozbiór krytyczny dotychczasowych poglądów naukowych, według których Melos był wyłącznem źródłem eksportu obsydjanu na morzu Egejskiem w epoce cywilizacji prehelleńskiej. S. wskazuje na wyspę Kos, gdzie prowadził badania geologiczne, oraz na starożytne miasto i jego akropol w zatoce Kamara, odgrywające, według jego przypuszczeń, wielką rolę w handlu obsydjanem na morzu Egejskiem. Znaleziska obsydjanu z Kos, znane już od 1880 r., pochodzą prawdopodobnie z sąsiednich wysepek, Gonia i Yali. PRZ.

Cuny A., Questions gréco-orientales XVI. Le nom des *Pelasges* et celui des *Achéens*. Date approximative de l'introduction de l'alphabet sémitique en Grèce (Babyloniaca IX 1926, 1—18). — C. porusza nasamprzód kwestję pokrewieństwa Tyrsenów z Pelasgami, poczem zestawia nazwy Filistynów, przekazane przez źródła wschodnie. Pochodzą one od **p-l-s-* filistyńskiego (p. Przeworski, Pochodzenie Filistynów itd. [Pamiętnik IV Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu 1925, I 6]), które wiąże się według C. z pierwotną nazwą Pelasgów: **Pelas—g2—* (por. rozprawę Hausknechta w E o s XXX 1927, 290 n.). W dalszym ciągu wyprowadza C. formę **Ah—(h) aiw—* dla Achajów i na podstawie danych lingwistycznych ustala jako terminus ad quem wprowadzenia alfabetu semickiego do Grecji epokę ekspanzji mykeńskiej, tzn. ok. r. 1400—1200 prz. Chr. Rzecz kończy się uwagą o pojmowaniu dźwięku *kh* w starożytności.

Behn F r., Hausurnen [Vorgeschichtliche Forschungen Bd. I], Berlin 1924, de Gruyter & Co XII 120 s., 39 tab, — Praca zawiera m. i. omówienie odnośnych zabytków z obszaru kultury egejskiej (s. 63—8 tab. 29 n. i 32 a. b), a więc naczynia z Phaistos, Melos, Koryntu i Argos, oraz larnakes kreteńskie, wreszcie sarkofagi z epoki poklasycznej. Z obszaru Azji Mniejszej zapoznajemy się z zabytkami z Kappadocji (s. 67—70 tab. 31) oraz Lycji (s. 71 n.). PRZ.

Strong E u g e n i a, La scultura romana da Augusto a Constantino. Traduzione italiana di Giulio Giannelli. Firenze 1923—26, Fratelli Alinari. 2 tomy. XVIII 431 s. 81 tablic i 255 ryc. — Nowe wydanie *Roman sculpture* (1907) ukazało się najpierw w przekładzie włoskim dzięki temu,

że autorka zezwoliła tłumaczowi korzystać wprost z rękopisu, przygotowywanego do wydania angielskiego. W porównaniu z wydaniem pierwszem uderza nas przedewszystkiem ogromne bogactwo materjału ilustracyjnego, który powiększył się o przeszło dwieście reprodukcyj. Ze względu na to, że pierwsze wydanie książki p. Strong jest zbyt dobrze znane, zbyteczne jest wchodzić w analizę teoryj autorki odnośnie do rozwoju i właściwości rzeźby rzymskiej (teoryj opierających się zresztą przeważnie na wywodach Wickhoffa i Riegla); trzeba natomiast zaznaczyć, że całość dzieła nie uległa zasadniczym zmianom, jakkolwiek w szczegółach autorka modyfikuje niektóre swe dawniejsze poglądy, wciąga szereg zabytków odkrytych w międzyczasie, tu i ówdzie przestawia materjał, uwzględniając późniejsze badania nad chronologją danych zabytków; np. znaną głowę z Museo Barracco w Rzymie, figurującą w pierwszem wydaniu jako portret Cezara, uważa, zgodnie z obecnym stanem wiedzy, za głowę jakiegoś kapłana egipskiego. Medaljony z łuku Konstantyna, umieszczone poprzednio przez St. w epoce Flawjuszów, znalazły się obecnie wśród reljefów hadrjanowskich, w uwzględnieniu studjów Lehmann-Hartlebena, Bullego i innych. I zdaje się — słusznie, bo pominąwszy już obecność młodzieńca w typie Antinoosa i tendencje klasycystyczne tych płaskorzeźb, przemawiają za takiem datowaniem wiadomości o zamiłowaniach myśliwskich Hadrjana. W ostatniej chwili, już po ukończeniu druku, zmienia autorka pewne twierdzenia w „uzupełnieniach i poprawkach", umieszczonych na końcu drugiego tomu, korzystając ze studjów, które pojawiły się w międzyczasie. I tak np. reljef w Budapeszcie, przedstawiający „procesję ku czci Apollina z okazji zwycięstwa pod Actium" nie ma być augustowski, lecz tyberjuszowski i nie posiada żadnego związku z tem wydarzeniem historycznem. Pomnik zwycięstwa w Adamklissi nie został wzniesiony przez M. Liciniusa Crassusa, lecz pochodzi z okresu Trajana. W „uzupełnieniach" znalazły także miejsce pewne uwagi odnoszące się do kolumny Trajana, oparte na rozmowach z Lehmann-Hartlebenem, jeszcze przed ukazaniem się jego najnowszej publikacji: *Die Trajanssäule*, Berlin 1926. K. B.

Christianisme. C a h i e r s p u b l i é s s o u s l a d i r e c t i o n d e P. L C o u c h o u d. — C. doktór medycyny, autor obszernej monografji o Spinozie, tłumacz i komentator Apolikapsy, podróżnik znający Wschód (w Japonji był dwa lata) i przyjaciel Anatola France'a, od wielu lat zwracał się w studjach swych ku dziejom pierwotnego chrześcijaństwa. Z ruchliwością właściwą jego bogatej naturze przedsięwziął on (u Riedera, 7 Place Saint-Sulpice, Paris VI) niezmiernie urozmaicone i szeroko zakreślone wydawnictwo zbiorowe pt. *Christianisme.* Celem jego jest udostępnienie kulturalnej publiczności obecnego stanu badań naukowych, dotyczących historji chrześcijaństwa od jego powstania aż po czasy obecne, przyczem poszczególne tematy dotyczą dziedziny historji, bądź politycznej, filozoficznej, dogmatycznej, bądź literackiej i obyczajowej. Jedyną ich tendencją jest krytycyzm. Wydawca idzie wślad dewizy A. Loisy'ego, który niedawno stwierdził: „W dziedzinie pracy naukowej istnieje tylko jeden obowiązek: opowiedzenie się za prawdą, poznaną osobiście". Wydawnictwo to cechuje wobec powyższego stanowiska brak jednolitości poglądów wynikający stąd, że każdy temat powierzony jest specjaliście z pozostawieniem mu zupełnej swobody co do poglądów z jedynem skrępowaniem go, i to względnem, rozmiarami tomików wydawnictwa (10—20 arkuszy). Stąd też pochodzi to, że gdy pierwszy tomik, A. Houtin'a (*Krótka historja chrześcijaństwa*) stoi na stanowisku historyczności osoby Jezusa, Couchoud w trzecim głosi odrodzoną tezę o mitologiczności Jezusa. Obok całokształtów o charakterze zarysu podręcznika, jak np. *La littérature chrétienne primitive* prof. Van Den Bergh van Eysinga (Utrecht) znajdujemy przekłady i komentarze ksiąg N. Test. (Loisy, Delafosse), szkice historyczne, jak Aulard'a: *Christianisme et la Révolution Française* lub Buonaiuti (Rzym) *Le modernisme catholique*,

a wreszcie zbiory luźnych refleksyj wybitnych myślicieli, jak Alain *Propos sur le Christianisme* lub Unamuno *L'agonie du Christianisme.* Jak z tego widać, nie wszystko wchodzi w ramy *Kwartalnika Klasycznego*. Pomijając więc to, co nie leży w naszem polu widzenia, scharakteryzujemy poszczególne tomiki bliższe nam treścią, ważniejsze tematem i wartością, a specjalnie interesujące omówimy osobno. Zaczynając od Houtin'a *Courte histoire du Christianisme* zaznaczamy, że jest to znakomity krytyczny, niejako encyklopedyczny skrót podający wszystko, co można było na 120 s. o tak rozległym temacie powiedzieć od I w. po czasy dzisiejsze. Stanowisko autora jest zgodne z trzema dewizami Leona XIII, które warto dla nauki współczesnych inkwizytorów przytoczyć: „1. pierwszem prawem historji jest nie mieć odwagi kłamać, 2. nie bać się mówić prawdę, 3. nie ulegać ani podejrzeniom, ani pochlebstwom, ani animozjom“ (encykl. Leona XIII o historji z dn. 18 sierpnia 1883). Każdy klasyk podzieli przypomniane przez autora zdanie, iż kto zna tylko jedną religję, nie zna żadnej. Oto dlaczego ogromna masa chrześcijan, nawet kulturalnych i wykształconych, nie zna właśnie swej własnej religji, za którą głośno się opowiada. Z tomu: *Uwagi o chrystjaniźmie* Alain'a niech nam wolno będzie przytoczyć tylko to zdanie: „Jeśli chcemy, aby nasi synowie i córki mieli niejakie wyobrażenie o dziejach ludzkości, nie możemy chcieć, aby nie znali katolicyzmu: prawda zaś katolicka nie może być odcięta od owego paganizmu, którego miejsce zajęła“. Podobnie niepozbawione głębszej wartości są refleksje wybitnego pisarza hiszpańskiego, wygnańca politycznego ze swej ojczyzny, który biorąc asumpt ze znaczenia wyrazu ἀγωνία (*L'agonie du christianisme*), powiada: „Chrystjanizm jest czemś, czego drugim udzielić nie można. Oto dlaczego przechodzi on agonję w każdym z nas zosobna. Agonja znaczy walka. Jest w agonji ten, który żyjąc walczy; walczy przeciw życiu samemu i przeciw śmierci“. — Z kart książki P. L. Couchoud *Le mystère de Jésus* wieje mistyczny powiew Wschodu. Autor opowiada stylem swych mistrzów A. France'a i Renana, jak to w pustelni japońskiego myśliciela ujrzał wizję mitycznego Mistrza Zachodu Jezusa, również jak Buddha, niehistorycznej postaci, „największej w sercach ludzkich“, ale „najmniejszej w dziedzinie faktów historycznych“. Znane nam jest z olbrzymiej dziś literatury, poświęconej zagadnieniu Jezusa, stanowisko Drews'a czy Niemojewskiego, rozpoczęte przez doketów II w. z Markionem na czele. że „dzieje Jezusa są mitem“. Genezę tego mitu stara się autor wywieść z chrystologji Paulińskiej, przyczem interpretacja jego nie wytrzymuje stanowczo krytyki ani filologicznej ani egzegetyczno-historycznej. Prawda to, że dokumentów ściśle historycznych poza Ewangeljami i wzmiankami pisarzy starożytnych, nie wprost o Jezusie, lecz o chrześcijanach mówiącemi, nie posiadamy (ostatnio wiedeński uczony Eisler obiecuje nam je dać za pośrednictwem rekonstrukcji i dedukcji ze starosłowiańskiego przekładu Józefa Flawjusza), jednak niepodobna pojąć chrześcijaństwa, gdy się bada warunki jego powstania, bez istnienia człowieka-Jezusa. Antytezą naukową stanowiska tzw. „mitologów“ jest stanowisko „legendy“, tj. przyjęcie pod nawierzchnią cudownych legend ewangelicznych, związanych z kultem i chrystologją tragicznej śmierci żydowskiego „Mesjasza“ Jezusa. Kult misterjów i koncepcje judeo-chrześcijańskie z chrystologją paulińską znalazły w tej śmierci swój punkt zaczepienia w dziejach. Książka Couchouda wywołała powódź polemiki. Odpowiedział na nią A. Loisy (*Rev. crit.* 1924) zgodnie ze swą tezą historyczności, odpowiedział filar nauki protestanckiej francuskiej Goguel pełną erudycji książką (*Jésus de Nazareth. Mythe ou histoire?* Payot 1925, 390 s.), odpowiedział i katolicki apologeta broszurką polemiczną (L. de Grandmaison *Jésus dans l'histoire et dans le mystère*, Paris 1925, Blond 77 s.). Ostatnio przeprowadził drobiazgową krytykę materjalną i metodyczną na 30 bitych stronach profesor dziejów chrześcijaństwa Ch. Guignebert (Revue de l'hist. d. Religions, Déc. 1926), odmawiając książce tej i jej tezie wartości nau-

kowej. — Jeszcze większe echo niż od książki Couchouda rozchodzi się wśród egzegetów i historyków chrześcijaństwa z powodu przekładów i krytyki radykalnie burzącej dotychczasowe pojęcia o listach św. Pawła w serji tomów im poświęconych, a opracowanych przez H. Delafosse. Teza Delafosse'a nietylko rujnuje doszczętnie autentyczność listów paulińskich, ale rozproszkowując je widzi w nich wszędzie redakcję markjonistyczną, retuszowaną przez późniejszego redaktora katolickiego. Cykl ten listów paulińskich i IV ewangelja komentowana przez wspomnianego autora zasługuje na osobne omówienie. Wydawca uzyskał od A. Loisy'ego przedruk jego monumentalnego dzieła *Les Actes des Apôtres* (1920), dzieła przynoszącego obok *Les Evangiles Synoptiques* (1907—1908) prawdziwą chlubę nauce francuskiej. Skrót olbrzymiego tomu, wynoszącego prawie 1000 stron, ma tę nowość, iż autor, w myśl swej tezy o rytmiczności tekstów N. Test., dał tu przekład w układzie rytmicznym. TAR.

Coulange Louis, La Vierge Marie [Christanisme. Cahiers publiés sous la direction de P. L. Couchoud], Paris 1925, F. Rieder 158 s. — Zwięzła ta monografja, przystępna w formie, jest rezultatem wielkiej erudycji autora w zakresie historji chrześcijaństwa, nietylko marjologji. Obejmuje w trzech częściach genezę i dzieje trzech koncepcyj: 1. dziewictwa, 2. świętości i 3. niepokalanego poczęcia Marji. W części I obserwujemy na podstawie tekstów, jak idea dziewictwa przechodzi przez trzy etapy: 1. Poczęcie dziewicze, fikcja późniejszych redaktorów ewangelij (*Lc* I 26—38 i *Mt* I 18—21), nieznana najstarszym tekstom i z niemi sprzeczna (por. *Mc* III 21—31), miała na celu wyjaśnić boskie synostwo Jezusa, który uważany zrazu za syna Józefa i Marji, staje się synem dziewicy w okresie ustalającej się wiary w jego boskie pochodzenie; filjacja boska, zrazu pojmowana metaforycznie, zajęła miejsce narodzenia fizycznego, aby wkońcu stać się metafizyczną (λόγος przedwieczny) czego dokonał Ireneusz przez swą interpretację proroctwa *Isa.* VII 14. — 2. Narodzenie dziewicze, nie mające żadnego dowodu w ewangeljach, było inwencją z połowy w. II w celu pogodzenia doktryn o Chrystusie spirytualistycznym z tekstami *Lc* i *Mt*; zjawia się ona po raz pierwszy w *Odach* Salomona, we *Wniebowstąpieniu* Izajasza i *Protewangelji* Jakóba, (więc w literaturze apokryficznej) zupełnie nieznana przez Ojców Kościola, jak tego dowodzą odnośne teksty Ireneusza, Hippolita, Tertulliana (który z pasją broni przeciw Markjonowi naturalnego narodzenia Jezusa), Atanazego, Epiphanjosa i Hieronima, za wyjątkiem trzech: Klemensa Alex., Hilariusza i Zenona, z których dwaj pierwsi ulegają koncepcjom markjonistycznym, trzeci zaś jest tylko ich echem; wiara ta zostaje sformułowana dopiero z końcem IV w. przez Ambrożego, a to na cześć Marji, przedstawionej jako ideał czystości dla dziewic. Hieronim pod koniec życia zarzuci punkt widzenia Tertulliana, idąc za argumentacją Ambrożego. Poczynając od Augustyna, dziewicze narodzenie Jezusa staje się aktem wiary powszechnej na zachodzie (dogmatem na soborze Lateraneńskim z 649 r.), podzielanym następnie i przez kościół wschodni. — 3. Dziewictwo wieczyste: nieznane Łukaszowi i sprzeczne z 12 miejscami z N. Test., które mówią wyraźnie o braciach Jezusa, jako o synach Marji; tak literalnie pojmując teksty, tradycja pierwotna wyobrażała sobie Marję jako „dzielną matkę rodziny, która wydawszy na świat Jezusa, poczętego za sprawą Ducha św., lecz urodzonego według praw natury, dała jeszcze conajmniej sześciu synów swemu mężowi Józefowi", jak to właśnie mówi wielokrotnie Tertulliani Apollinary jeszcze w drugiej poł. IV w. Tak samo wówczas wierzą chrześcijanie w Arabji, Helvidius w Rzymie (r. 384) i biskup Sardyki Bonosus (r. 392), opierając się na tekstach kanonicznych. W tym jednak czasie ogół wiernych oddawna przestał szukać portretu Marji w ewangeljach kanonicznych, stawiając na miejsce Marji-kobiety, „którą Józef conajmniej sześć razy uczynił matką", Marję-zawsze dziewiczą. Opinja wiernych znów znalazła na to dowód

w Protewangelji Jakóba, która czyniąc Józefa wdowcem, pozwoliła na uznanie braci Jezusa za synów Józefa z pierwszego małżeństwa, co też przyjęli Origenes, Epiphanios, Grzegorz z Nyssy i Chryzostom. Apokryficzna *Historja Józefa-Cieśli* wie jeszcze więcej: że Józef biorąc za żonę Marję, miał już 90 lat (do czego Epifanjusz dorzuca na wszelki wypadek jeszcze kilka lat). Legendy te dowodzą, iż wieczyste dziewictwo Marji było postulatem ascetyzmu chrześcijańskiego, który nietylko zmusił ewangelje kanoniczne do milczenia, ale na dodatek poprawił nawet źródło tej legendy, Protewangelję Jakóba, twierdząc, że Józef nie był wdowcem, lecz również jak Marja — dziewiczy. Odkrycie to uczynił Hieronim (*Comm. in Mt.* XII 50), co pozwoliło Augustynowi stwierdzić ostatecznie, że „bracia" Jezusa byli jego kuzynami. W części II (Święta), podobnież idąc chronologicznie za tekstami widzimy, jak Marja na podstawie opowiadań ewangelicznych (niedowierzająca w Kanie i wątpiąca pod krzyżem) uznawana była przez pierwsze wieki za kobietę „o cnocie dość miernej" (Iren., Tertull., Orig., Bazyli, Chryzost., Cyryl Alex.). I znów Ambroży, a za nim Augustyn, mając na oku chrystologję, ogłaszają „świętość Marji od chwili jej macierzyństwa". Bernard wreszcie, chcąc ją uwolnić od zmazy pierwotnej, twierdzi, że była „świętą już w łonie swej matki", idąc w tym względzie za żądaniem wiary wiernych; była to nieunikniona konsekwencja rozwiniętego w całej pełni kultu Marji-Dziewicy. — W ostatniej, III części autor pokazuje czytelnikowi, w jaki sposób upadła pod naporem wiary ludowej ostatnia twierdza broniącej się przeciw niej teologji; teologja w osobie Tomasza z Akwinu długie wieki stanowi zaporę uznania dogmatu pożądanego przez wiernych, idących śladem Bernarda. Dopiero dialektyka jezuity Perrone, autora traktatu: *De immaculato B. V. Mariae conceptu* (1848) ułatwia papieżowi ogłoszenie bullą *Ineffabilis* w 1854 r. „Niepokalanego Poczęcia Marji" za dogmat nigdy nie kwestjonowany i nigdy żadnej wątpliwości nie podlegający. Dodajmy, że autor ograniczył swój temat do zobrazowania rozwoju pojęć przyjętych kolejno przez oficjalną teologję Kościoła, pominął natomiast zupełnie kwestję stosunku kultu chrześcijańskiego do kultów przedchrześcijańskich, choćby greckich i mniejszoazjatyckich (por. Zieliński, *La Sybille* s. 25, *La mère du Sauveur*) i tych ludowych, które żyją nadal zasymilowane w ludowych kultach maryjnych (por. w tej materji nieocenione dzieło P. Saintyves, *Les Vierges-Mères et les Naissances Miraculeuses*, Paris 1908). Źródła ewangeliczne wyczerpująco zbadane (nie mówiąc o mnóstwie monografij szczegółowych, np. Ch. Guignebert, *La vie cachée de Jèsus*, Paris 1921 r. III—VI, oraz A. Loisy, *Les Evangiles Synopt.* 1907, I 316—326) autor potraktował zbyt krótko i schematycznie. Mając tu pewne zastrzeżenia, zgodnie z opinją A. Loisy'ego (*Rev. Crit.* 1925, 42) co do zbyt symplistycznego traktowania tekstów ewangelij kanoniczuych i przykrego czasami tonu ironji, należy stwierdzić, że książka wybiegła daleko poza bibljografję, podaną przez Herzoga (*La Sainte Vierge dans l'histoire*, Paris 1908) i rzeczywiście imponuje objektywnością i sumiennem, jak na swe rozmiary, wyzyskaniem źródeł. TAR.

Baumann Emile, Saint Paul, Paris 1925, Grasset 348 s. — Gdy ukazała się ta ostatnia monografja o św. Pawle, krytyka przyjęła ją entuzjastycznie. Między innymi poważny krytyk Louis Artus (Nouv. littéraires nr. 148 z 15 sierpnia 1925) napisał o niej pt. *E. Baumann historien de S. Paul* ni mniej ni więcej: „Le S. Paul de E. Baumann est un édifice français dans la manière de Taine et de Fustel de Coulanges". Kto zna zasługi tych dwu pisarzy, bierze po tych słowach książkę tę z najwyższem zaciekawieniem do ręki. Książka czyta się jak romans, co jest zrozumiałe wobec faktu, że B. występował dotychczas tylko jako powieściopisarz, i to nagradzany; posiada też odczucie kolorytu lokalnego, dzięki odbytej podróży na Wschód. Ale w tym punkcie dla „historyka" nic nowego nie znajdziemy, znamy bowiem doskonale „miasta św. Pawła" ze znakomitych badań Ramsay'a (*The Cities of S.*

Paul, London 1907). Tracimy jednak całe zaufanie, gdy autor zdradza źródła swej krytyki historycznej: oprócz pism kanonicznych (na równi niemal z niemi stawiając apokryficzne legendy), Hieronim, Tomasz z Akwinu i „najwybitniejszy z komentatorów Pawła" Jan Chryzostom (zanotujmy: † 333), komentator z przed przeszło 15 wieków. Na tem tle pojmujemy złośliwe i gołosłowne wycieczki przeciwko współczesnym historykom i egzegetom. O wszystkich współczesnych monografjach Pawła, których jest legjon — milczenie; co nie znaczy, aby autor równocześnie z nich nie korzystał, o ile mu to dogadza. Wystarczy to chyba, aby książki tu nie rozpatrywać szczegółowo z punktu widzenia pozycyj ustalonych przez naukę. Autor lekceważy ją zresztą dla danych tradycjonalnych i legendarnych; dość powiedzieć, że ten „historyk" wydobywa z legend „ziarna prawdy" w guście takich np. jak osobiste stosunki i dysputy Pawła z Neronem, Gallionem i Seneką. Nakoniec diatryba przeciw współczesnej filozofji „neopogańskiej" oraz filippika przeciw libertynowi Lamennais, zmarłemu trzy ćwierci wieku temu, zamykają dzieło. Jeśli dla tych zalet i metod pasowano autora na znakomitego historyka, tedy o nim i o jego krytyku — dość dwie słowie: *ambo meliores*. TAR.

Legrand Ph. E., La poésie alexandrine [Collection Payot nr. 46]. Paris 1924, 168 s. — *Collection Payot*, obok dzieł innej treści naukowej, publikuje od czasu do czasu jakąś pracę z zakresu świata antycznego, Po Cartault *La poésie latine*, Lechat *La sculpture grecque* i ślicznej książeczce M. Croiset *La civilisation hellénique* przyszła kolej na L. Autor *Daos*, świetny znawca poezji aleksandryjskiej — poszczególnym jej przedstawicielom, jak Kalimach, Herondas, Leonidas i inni, poświęcił cały szereg artykułów w *Revue des Etudes Grecques* i w *Rev. d. Et. Anciennes*, a Teokrytowi nawet oddzielne studjum (*Etude sur Théocrite* 1898) — stara się nam dać tu, niby esencję długoletniego wczytywania się w utwory poetyckie tych czasów, odpowiedź na dwa pytania: 1. z jakich źródeł wewnętrznych czerpała dusza aleksandryjska myśli i uczucia dla tworzenia dzieła poezji? 2. Jak pojmowała ona zadanie poety? Daleki od kreślenia tu dziejów jednego okresu literackiego pragnie tu L. tylko wskazać, czego się można po tym okresie spodziewać. W pierwszym z czterech rozdziałów książki (*les temps, les lieux, les hommes*) wyznacza autor granice okresu aleksandryjskiego, biorąc za punkt wyjścia dla swych badań III w. przed Chr., z którym wiąże najważniejsze dzieła poetyckie tych czasów; dalej mówi o specjalizacji w społeczeństwie hellenistycznem i jej przyczynach, specjalizacji obejmującej ludzi pióra i ich publiczność, o pogoni za nowością, której głównym, bo ewolucyjnym w stosunku do przeszłości, rysem (s. 37): *une exploration plus attentive et une exploitation plus étendue des ressources poétiques de l'hellénisme*. — Rozdział II (*les sentiments et les idées*) uwydatnia braki i zalety ówczesnych myśli i uczuć: zanik patrjotyzmu i religijności, zabobonność, dworactwo, żądza wiedzy, cele dydaktyczne, uczuciowość granicząca z sentymentalizmem, zamiłowanie do życia na łonie natury, tęsknota za dawną prostotą, romansowość, dążność do dokładnego przedstawiania rzeczywistości: jej dobre i złe strony — wszystko to jako naturalny wykwit epoki. Rozdział III (*Quelques remarques sur les moyens d'expression*) zawiera uwagi o djalektach, słowniku, metryce i muzyce wierszy — jako o rezultatach świadomych w pewnych kierunkach dążeń ówczesnych poetów. Czwarty wreszcie (*Les oeuvres et les doctrines*) po wyliczeniu zachowanych utworów i tych, których zaginięcie jest wielką dla badaczy stratą, omawia kilka szczegółów kompozycji artystycznej, niechęć do długich utworów, dążenie do doskonałości formy u pisarzy aleksandryjskich. W zakończeniu autor uwypukla ten rys charakterystyczny omawianej poezji, który ją czyni bliższą nam, niż Grekom z epoki klasycznej, a mianowicie: poeci ówcześni tworząc formy, odpowiadające stanom ich duszy i zdolnościom, odznaczali się namiętną żądzą stworzenia nowego piękna i szczerym a głębokim entuzjazmem

dla doskonałości formy. Dziełko L.-a posiada wszelkie zalety najlepszych publikacyj naukowych francuskich: jest zajmujące nawet dla laika. W.

Plautus T. M., Kupiec (*Mercator*). Przełożył i opracował G u s t a w P r z y c h o c k i, prof. uniw. warsz. [Bibl. Nar. Ser. II. Nr. 4 b], Kraków, Krakowska Spółka Wyd. 126 s. — Przekład i opracowanie komedyj Plauta rozpoczął Prz. wydaniem *Braci* (*Menaechmi*, Bibl. Nar. S. II 33). Obszerny wstęp, poprzedzający tekst tej komedji, omawia w sposób przystępny dla szerszych kół ważniejsze kwestje, dotyczące komedji plautowskiej wogóle, jej stosunku do wzorów greckich i wpływu na późniejszą literaturę europejską, oraz pewne zagadnienia *Braci* w szczególności. To też dla wstępu, poprzedzającego przekład *Kupca* stanowi poprzedni, z punktu widzenia historycznego, konieczne uzupełnienie. Autor cytuje go też niejednokrotnie obok książki swej o Plaucie. W s t ę p do *Kupca* składa się z dwu rozdziałów. Pierwszy pt. *Kupiec* daje treść sztuki z krótką historją motywu i charakterystyką bohaterów oraz garść uwag, dotyczących techniki poetyckiej Plauta. Uderza w nim brak wzmianki o czasie akcji a zwłaszcza o scenerji sztuki, gdyż tylko ze streszczenia i uwagi do w. 626 dowiadujemy się, że rzecz dzieje się w Atenach. W drugim, zatytułowanym *Wpływ Plauta*, podaje Prz. przegląd przeróbek *Kupca* w komedji włoskiej (w XVI w.) i francuskiej (w XVIII w.). P r z e k ł a d s z t u k i wierny i poetycko piękny, oddaje bardzo dobrze język oryginału, przechodząc z tonu mowy potocznej bądźto w komiczne patos, bądź znowu w styl nieco trywjalny, zrozumiały w sztukach Plauta, obracających się w sferze erotyzmu dość pośledniego gatunku. Niejednokrotnie też udało się autorowi oddać tak ulubioną przez Plauta grę wyrazów, alliteracje itd. (por. np. w. 346 lub 849, 50). W. 363 i 372 niezupełnie oddają myśl tekstu. Trudno również zgodzić się na wyrażenie w w. 322: „Już mnie nie krzycz" — *ne sis me obiurga*. O b j a ś n i e n i a zajmują się nietylko uzupełnieniem słów autora oraz wytłumaczeniem wszelkich realjów, lecz zawierają ponadto cenne uwagi z dziedziny poetyki Plauta (na uwagę do w. 372 zgodzić się trudno: raczej przeciwnie, przypuszczać należy, po jednostajności, do której przyzwyczaja się człowiek w czasie podróży morskiej, nie może oko przywyknąć łatwo do ruchliwego życia w mieście portowem). Uczeń gimnazjalny odczuje brak objaśnienia do niektórych wierszy, np. 140 lub 154. S.

Laurand L., Pour la lecture de Cicéron (Revue des études latines, III 1925, 54—64). — Kto, odstraszony rozmiarami spuścizny literackiej Cycerona, nie poświęci osobnej uwagi największemu a zarazem jedynemu przedstawicielowi łaciny klasycznej (bo przedewszystkiem jest nią proza), będzie nieraz konstrukcje znane i Cyceronowi brał za „nieklasyczne" i nie zrozumie nigdy dobrze, dlaczego przenosi się łacinę klasyczną każdej innej. A przecież wystarczy czytać dziennie 15 stronic Cycerona formatu Teubnerowskiego, by w ciągu 6 miesięcy, zdobyć sporą znajomość języka, literatury, historji, wymowy, filozofji, życia publicznego i prywatnego Rzymian, całego szeregu idei i faktów niespotykanych w dziełach nowożytnych. Gdy czyta się Cycerona po raz pierwszy, dobrze jest trzymać się podziału na grupy rzeczowe (mowy, pisma retoryczne, filozoficzne, listy według adresatów), a w ich obrębie przestrzegać porządku chronologicznego. W ciągu takiej lektury zbiorowej nie należy oszczędzać sobie ponownego przeczytania pism już znanych, aby utrzymać wrażenie całości organicznej. Czytając Cycerona wielokrotnie, można zmieniać porządek, zależnie od celu, jaki przyświeca nowej lekturze. W ten tylko sposób czytelnik dostrzeże rozwój stylu Cycerona: w pierwszych mowach (np. *Pro Quinctio*) nieco emfatyczny i mimo roztoczystości perjodów niedosyć harmonijny w rytmie, staje się prawdziwie cycerońskim po raz pierwszy w *Werrynkach*, choć jeszcze niezupełnie doskonałym. Zczasem budowa zdania nabiera gibkości, sztuka w niej tyle nie przegląda. Zwroty, jak *esse*

videatur, rzedną, klauzule przestają zdradzać wysiłek. Zyskuje na wybredności cieniowanie języka, zdrobnienia i napomknienia ironiczne łagodnieją. U samego końca wyróżniają się *Filipiki* przez unerwioną prostotę i tężyznę prawie demostenesowską. Zmienia się zwolna i sam język; miejsce *verum* zajmuje *sed*, *etsi* upraszcza się z *tametsi*, *abs te* cofa się w *Listach* przed *a te*, pojawiają się nowe wyrażenia, jak *quocirca*, *declamitans*. Niema geometrycznie prostej linji w tym rozwoju. Pierwszy zauważył Tyrrel (wyd. oxfordzkie całego Cycerona, nieukończone), że wygnanie a potem nieczynność w okresie wojny domowej wywołały pewne zaniedbania w stylu Cycerona; szczególniej widać to w *Brutusie*, lecz w *Mówcy* styl wyrównywa się, a w pismach następnych osięga wyżyny przedtem nieszukane. Na roztoczy najbardziej w dziejach Rzymu ożywionych czasów, od Marjusza i Sulli do Oktawjana i Antonjusza, rozwiniona lektura pism Cycerona, jest zdolna wzbudzić wszystkie zainteresowania naraz. Ale też nie sposób chcieć każde zagadnienie zgłębić z osobna (jak np. w wyd. *Mówcy* przez Sandysa, lub w wyd. *O wróżb.* przez Pease'a). Brak też nowszego wydania zupełnego. Ilekroć nie znajdziemy wydania specjalnego, nie wahajmy się używać wydań zbiorowych, choćby starszych (Panckouke, Nisard, Garnier, przedewszystkiem maleńki Lemaire). Prawda, że nie mają one uwag krytycznych, jednakowoż po szale koniekturalnym wraca się obecnie do lekcyj dawniejszych, a na wielu polach badania nie posunęły się zbytnio w ciągu ostatniego stulecia (jeżeli idzie o Cycerona). Również porzuciliśmy niedorzeczne atetezy. Jako dzieła pomocnicze, L. zaleca swój *Manuel des études grecques et latines*, literatury Schanza, Teuffla-Krolla i Martini'ego. Szczególniejsze trudności wywiązują się z *Listami*: tu najbardziej wskazanem jest wydanie Tyrrell'a i Purser'a, używając nadto, dla chronologji, pracy O. E. Schmidta, *Der Briefwechsel des M. Tullius Cicero*. L. przedkłada swoją tabelę chronologiczną wszystkich pism Cycerona, której nowość polega na włączeniu w konkordancję z innemi pismami także poszczególnych listów (jestto innowacja bardzo wskazana, dla objaśniania pism listami). J. K.

Des **Qu. Horatius Flaccus** Carmina, in ihrem kunstvollen Strophenaufbau, herausgegeben durch Curt Rollfuss. Oldenburg i. O. 1927. Schulzesche Hofbuchdruckerei u. Verlagsbuchhandlung Rudolf Schwartz. — Były uczeń O. Ribbeck'a, obecnie wysłużony st. radca szkolny, Kurt Rollfuss oparł się na spostrzeżeniu Christa (*Metr. d. Gr. u. R.* 632), który w c. I 12 widział odbicie epodycznego układu Pindara Ody *Ol.* 2 (5 perykop po 3 zwrotki: strofie, antystrofie i epodos). Autor rozkłada wszystkie Pieśni Horacego bądź na 2-członowe, bądź na 3-członowe, przyczem 2-człon może powtarzać się 2—9-krotnie (np. c. III 4). Takie Pieśni Rollfuss pojmuje jako wieniec pieśni krótszych (*Liederkranz*). W układzie pieśni 2-członowych wieniec takich pieśni otrzymuje nowy, zbiorowy układ, bądźto 2-członowy, bądź 3-członowy. Np., c. III 12 składa się z 2 pieśni 2-członowych (tj. w obu pieśniach każdy z obu członow liczy po jednej zwrotce), całość zatem tworzy dwie nowe zwrotki, z których pierwsza (strofa całości) mieści strofę i antystrofę pieśni pierwszej, a antystrofa całości obejmuje strofę i antystrofę pieśni drugiej. C. III 5 ma 7 pieśni 2-członowych, a całość rozpada się na strofę, antystrofę i epodos według schematu 6-6-2. Pieśni 3-członowe zawierają 1—7 zwrotek na człon, w całości więc swojej mogą przedstawiać skrzyżowanie ustroju: strofa-antystrofa-epoda w członach, z takimż ustrojem całej pieśni; a więc, c. II 18 składa się z 2 pieśni 3-członowych (strofy i antystrofy po 2 zwrotki, epodos po jednej), a jako całość dzieli się na strofę i antystrofę, obie po 4 zwrotki, z epodos 2-zwrotkową. W przedmowie Rollfuss zmienia układ c. I 2 (w tekście: 4 pieśni 3-członowe i 3-zwrotkowe z eksodos 1-zwrotkową) na układ pieśni całej 3-członowy (5-5-3), przyczem pierwszą strofę wielką śpiewają chłopcy, antystrofę wielką dziewczęta, epodos razem. *C. S.* rozkłada się na strofę chłopców, antystrofę dziewcząt i epodos wspólną: 6-6-7. Przed tekstem

autor podaje spis wszystkich wierszy, w których Horacy, sposobem Pindara, przeprowadza melodję ze zwrotki do zwrotki zdaniem przekraczającem granice układu zwrotkowego. Drukiem rozstrzelonym uwydatnia wyrazy w wierszu, mające ułatwić ogarnięcie już okiem biegu myśli (I 1: 3 *sunt quos* — 7 *hunc* — 9 *illum* — 16 *mercator* itd.). Każda Pieśń nosi w nagłówku oznaczenie miary wierszowej i, niekiedy, daty powstania, jeżeli uchwytna; księgi noszą daty ogłoszenia. Rollfuss zgadza się z Birtem i innymi zwolennikami śpiewności Pieśni Horacego (O. Jahn). Jedne z Pieśni wkłada w usta śpiewaczek, do występu swobodnego (IV 11. 24) lub przy cytrze (III 28. 11), inne każe śpiewać chłopcom i dziewczętom przy flecie i w tańcu (III 22. III 23. III 27. IV 4. IV 5. IV 6. 31. C. S.). Pieśni dzieli według adresatów (Mecenas, przyjaciele, August, bóstwo), oraz na patrjotyczne, uczuciowe i osobiste. Wszystkie rzeczowniki oderwane otrzymują wielką literę początkową (*Pauperiem pati* — *labuntur Anni*). Tekst opiera się na wydaniu Vollmer'a, Teubner 1917. Kilkanaście odmian wprowadził Rollfuss na podstawie wydań starszych (Bipontina 1783, Gesner 1802, Baxter 1809). Z własnych konjektur (5), najważniejsza polega na uzupełnieniu dwuwierszem znanej Pieśni astroficznej IV 8. Uwagi wstępne podają najogólniejszą charakterystykę Horacego jako liryka, zwłaszcza w stosunku do wzorów greckich (nie brak wycieczek politycznych przeciw stosunkom stworzonym przez wojnę światową). Wśród uwag bibljograficznych, Rollfuss wymienia wydanie Kellern-Häusser 1903, prace Arch. Campbell'a, Wilamowitz'a, liczne charakterystyki Birta. Podaje też zasady wymawiania łaciny (według Sommera), przegląd miar wierszowych na poszczególnych zwrotkach z tłustemi samogłoskami arz (wyjaśnienie miar ma ukazać się w osobnym zeszycie). Przegląd podaje alfabetycznie wyrazy początkowe Pieśni z liczbą porządkową według ksiąg i Pieśni, z oznaczeniem miary wierszowej, przynależności do grup treściowych, i budowy stroficznej całego „wieńca" (bez oznaczenia jej w „pieśniach" cząstkowych). Książka jest, jako wybór, przeznaczona do użytku szkolnego. Strona zewnętrzna jest szczególnie staranna. J. K.

Weinreich Otto, Die Distichen des Catull, Tübingen 1926, Verlag von I. C. B. Mohr, 83 s., Ammerkungen s. 84—105. — W spuściźnie literackiej Katulla znajdują się minjatury poetyckie, monodystychy *c.* 106, 112, 93, 94, 105, 85, które jako owoc najwyższej koncentracji twórczej poety poddał W. po raz pierwszy dokładnej analizie naukowej, posługującej się metodą historyczno-literacką i estetyczną neofilologji. W porządku ważności, podanym powyżej, zaczyna dystychem 106, przy którym odpada kwestja wzorów greckich, a tem wyraźniej występują elementy tektoniki dystychu i zasady estetycznej analizy W.-a. Dystych brzmi:

Cum puero bello praeconem qui videt esse,
quid credat, nisi se vendere discupere?

Na podstawie nowoczesnych poetyk i estetyk (Lessinga, Werdera, Fr. Th. Vischera, R. Lehmanna) rozróżnia Weinreich w myślowo-syntaktycznej budowie dystychu tzw. ekspozycję (oczekiwanie, przygotowanie, zaciekawienie) w pierwszej części i pointę (wyjaśnienie, klauzulę) w drugiej. W powyższym dystychu pointa została przesunięta do drugiej połowy tzw. pentametru *(vendere discupere)*. Technika ta nie jest wyłączna: czasem silne akcenty na początku i końcu zamykają przytłumioną część środkową (*c.* 94). — Inna znowu jest budowa *c.* 112, w którem widoczne są responsje tektoniczne:

Multus homo es Naso, neque tecum multus homost qui
descendit: Naso, multus es et pathicus.

Ekspozycja sięga aż do połowy pentametru; druga część zawiera rekapitulację *(multus es)* i wreszcie pointę *(pathicus)*. Zauważono trafnie, że stosunek ekspozycji do pointy jest jak celowania do strzału. W cytowanym dystychu jest *pathicus* prawdziwem *fulmen in clausula*. — Dystych 93 wykazuje paralelny bieg obu wierszy, przyczem na początku każdego znajduje się najsilniejszy ton, który pod koniec przechodzi w obojętność i lekceważenie:

Nil nimium studeo, Caesar, tibi velle placere,
nec scire utrum sis albus an ater homo.

Jakby ramami całości są alliteracje na początku i końcu. — Mistrzostwo formy i treści umiejętnie wydobywa W. w dystychu na Mamurrę (*c*. 105):

Mentula conatur Pimpleium scandere montem:
Musae furcillis praecipitem eiciunt.

Wiersz pierwszy zapowiada temat w formie przysłowiowego wdzierania się na Parnas, drugi kreśli groteskową scenę zrzucania zuchwalca. I w tym wierszu pobrzmiewa przysłowie, znane z Horacego *Epist*. I 10, 24 *naturam expelles*... Mistrzostwo leży w nakreśleniu zapomocą obu przysłowi żywego obrazu z bujną akcją. Słowa ograne, przysłowiowe, pulsują gorącą krwią. Niema w literaturze greckiej i rzymskiej drugiego przykładu, w którym przysłowia byłyby użyte nie jako ozdoby, lecz jako wyrazy pełnej komizmu akcji w ciasnych ramach dystychu (s. 28). Heksameter — to mozolna akcja Mentuli, pierwsza połowa pentametru — to kontrakcja, druga zawiera perypetję, katastrofę i zakończenie. Charakter heksametru i pentametu, określony przez Ovid. *Amores* I 1, 27 jako wzbieranie i opadanie, znany był, jak widać, już Katullowi. Rzecz jasna, że tłumacze stają tu wobec niepokonalnych trudności.

Najwięcej miejsca poświęcił W. badaniu treści i formy słynnego dystychu *c*. 85:

Odi et amo. quare id faciam, fortasse requiris.
nescio. sed fieri sentio et excrucior.

Początek *odi et amo* zamyka z lapidarną wyrazistością i siłą treść całego życia. Pewne osłabienie tonu wnoszą słowa *quare id faciam, fortasse requiris*, lecz tuż po przerwie między pytaniem, a odpowiedzią, zaznaczonej świetnie końcem wiersza, następuje nowy wybuch bezradności *(nescio)*, który przechodzi w 2 silne tony *fieri sentio et excrucior*, zamykające dystych. Responsja myślowa i metryczna początku *(odi et amo)* i końca (*excrucior* —◡◡—) zespala utwór w mistrzowski sposób. Prawdopodobnie W. pierwszy zauważył, że do odmalowania walki sprzecznych uczuć użył Katullus wyłącznie czasowników. Kto, jak W., zrozumiał tajemnicę sztuki Katullowej, rzecz jasna, nie znajduje równoważnika dystychu *Odi et amo* w żadnem tłumaczeniu; z polskich najbliższym oryginału jest przekład J. Reissa (w rękopisie):

Nienawidzę i kocham. „Jakto! ?" — spytasz może...
Nie wiem, ale tak czuję i w sercu mem gorze.

Poza estetyczną analizą stara się W. oznaczyć w rozwoju literackim motyw nienawiści i miłości, stanowisko Katulla, jego wyłączną własność i zależność od tradycji. Słusznie odróżnia uczucie, przeżycie, od formy i stwierdza, że tak elementarnie szczere przeżycie, jak Katullowe, nie pozostawało pod żadnym wpływem. Inaczej jest z formą. Już dawniej widziano źródła omawianego dystychu w tragedji (Soph. *Electra* 1363), komedji (Ter. *Eun*. 70 n.) i w starej elegji (Theogn. 1091 n. 91 n. Solon fgm. 4). W. odrzuca tę zależność z tego powodu, że starsza literatura nie leżała w polu zainteresowania neoteryków; za Krollem przeprowadza rozległe badania w dziedzinie epigramatyki hellenistycznej od jej rozkwitu aż do późnych ech bizantyńskich. Trudno w streszczeniu kusić się o szczegółowy obraz skomplikowanych badań; zadowolić się musimy końcowemi rezultatami. Długi szereg utworów poetów greckich z Kallimachem na czele doprowadza do wniosku, że od czasów przedkatullowych do bizantyńskich istniał typ, istniała tradycja formy i treści motywu *odi et amo*, znana w początkowem stadjum Katullowi. Nikarch (współcz. Martialisowi) zgadza się w swym utworze na temat miłości i nienawiści z Katullem; obaj więc czerpali z wspólnego źródła greckiego (s. 67), być może z nieznanego autora *Anth. Pal*. XII 103. Szereg rzymskich utworów typu *odi et amo* dowodzi, że Owidjusz *(Am*. II 4, 5. III 14, 37 sq. III 11, 33—52) zależy od ogólnej tradycji, zna dystych Katulla i stapia go wraz z innemi wzorami hellenistycznemi w nową oryginalną całość, daleką jednak od prawdy Katullowego przeżycia. U Owidjusza jest motyw nienawiści i miłości zdobyczą kultury

literackiej, u Katulla wyrazem kultury i szczerego, ludzkiego serca (s. 78). Katullowe *odi et amo* jest co do formy członem szeregu typowego, co do treści dokumentem żywego serca. L. JUS

Vitae Patrum. Kritische Untersuchungen über Text, Syntax und Wortschatz der spätlateinischen Vitae Patrum (B. III, V, VI, VII) von dr A. H. Salonius, Lund 1920, C. W. K. Gleerup, 456 s. — Już w początkach ubiegłego stulecia zajmowano się systematycznie późną łaciną. Prace jednak tych starszych uczonych ograniczały się tylko do gromadzenia materjałów, stwierdzania i opisu pewnych zjawisk językowych. Dopiero następne pokolenie badaczy, uzbrojone w metodę historyczno-krytyczną, stworzyło w tej dziedzinie szereg prac trwałej wartości. Ale prace te traktowały znowu zagadnienia językowe łaciny późniejszej przeważnie eklektycznie i izolująco. Wreszcie szwedzki uczony E. Löfstedt otworzył nowe drogi i szersze horyzonty w badaniach łaciny pospolitej swoim epokowym komentarzem filologicznym do *Peregrinatio Aetheriae*, wydanym w r. 1911. Podstawowe to po dziś dzień dzieło ma jednak pewną wadę formalnej natury. Obserwacje mianowicie językowe Löfstedta, związane ściśle z tekstem *Peregrinatio*, są rozrzucone po całem dziele, co utrudnia niezmiernie przegląd i orjentację. Uniezależnić się formalnie od tekstu i dać swemu dziełu w ten sposób wyrazisty stos pacierzowy gramatyczny postanowił uczeń szwedzkiego profesora, Fińczyk Salonius, który w swoich badaniach ograniczył się znowu niestety do zagadnień należycie jeszcze niewyjaśnionych albo mogących rzucić nowe światło na dotychczasowy materjał z dziedziny późnej łaciny. Mimo jednak wszystko w *Vitae Patrum* Saloniusa mamy pierwszy systematyczny, choć niezupełny, zarys naukowej składni późnego języka łacińskiego. Książka Saloniusa, wydana jako II tom publikacji *Acta Societatis Humaniorum Litterarum Lundensis*, składa się ze wstępu (s. 3—69), części syntaktycznej (s. 73—356) i leksykalnej (s. 359—440). Ze W s t ę p u posiada znaczenie ogólne rozdział o zadaniu i metodzie autora, stosowanej w tem dziele; inne rozdziały zajmują się zagadnieniami szczegółowemi, związanemi z kwestją autorów Vitae, ich dziełem i jego tradycją rękopiśmienną. Wieksze niewątpliwie i szersze zainteresowanie budzi *Lexikalischer Teil*, w którym omawia S. przyszlo 130 wyrazów. Obok małych monografij wyrazów rozpowszechnionych szeroko w łacinie ludowej, jak *dicere, facere, habere, tollere*, spotykamy się z umiejętnem i przekonywującem wyjaśnieniem wyrazów rzadko używanych, a częściowo zupełnie dotąd nieznanych, jak *bavosus, buda, carricare, cartica, cusare, gello* (subst.), *lebeton, recontristare, zizinia* i inne. Największa jednak wartość dzieła S.-a leży w części jego środkowej, jakościowo i objętościowo najpoważniejszej, tj. w części syntaktycznej *Vitae Patrum*. Idjomotyczne cechy języka *Verba Seniorum*, bo tak właściwie nazywa się ta część *Vitae Patrum*, którą zajmuje się fiński uczony, wyświetla autor w związku ze współczesnemi, wcześniejszemi i późniejszemi pomnikami języka łacińskiego. Ze starej łaciny wyzyskał S. oczywiście wydatnie Plauta, ze współczesnej i późniejszej przedewszystkiem literaturę kościelną, jak Vulgatę, *Acta Apostolorum*, Apocrypha, przekład Rufinusa *Historia monachorum*, Historję kościoła Eusebiosa; ze świeckich: *Mulomedicina Chironis, Vita Wandregiseli*, Kroniki Ps.-Fredegarda i inne. Część ta książki S.-a stanowiąca historyczną składnię późnej łaciny, składa się z 11 dużych rozdziałów, z których każdy obejmuje kilka mniejszych lub większych ustępów. Rozdział pierwszy, poświęcony używaniu l i c z b r z e c z o w n i k a, zajmuje się kolektywną liczbą pojedynczą, która występuje rzadko w starszej łacinie klasycznej, rozwija się następnie u poetów epoki augustowskiej oraz u niektórych prozaików, jak u Liwjusza, Kurcjusza i Tacyta, a w łacinie późniejszej zdobywa sobie szerokie prawo obywatelstwa nietylko u poetów i w prozie poetyckiej, ale przedewszystkiem u autorów, piszących łaciną pospolitą. Następnie interpretuje autor tego rodzaju liczbę mnogą, jak *coeli, voluntates, animi, carnes, aquae* i inne. — Z zakresu d o p e ł n i a c z a (r. II) omawia autor: genetivus qualitatis, partitivus i tzw. genetivus

chorograficzny, który rozwinął się z dopełniacza dzierżawczego. Narzędnik (r. III) reprezentują: ablativus instrumentalis i a. comparationis. W r. IV omawia S. za A. W. Ahlbergiem *(Durative Zeitbestimmungen im Lat.)* używanie ablatywu i akuzatywu z *per* dla wyrażenia trwałości pewnego okresu czasu *(tota hebdomada, per menses decem)*. Rozdział V, zatytułowany: *Rektion einzelner Verba*, zajmuje się różnemi konstrukcjami czasownika. Wchodzą tu w rachubę najpierw czasowniki, łączące się z jednym lub kilkoma przypadkami, a następnie takie przyimkowe konstrukcje czasownika, jak *orare ad aliquem, dicere ad aliquem, graviter ferre in aliqua re, audire ab aliquo*, w znaczeniu: „przysłuchiwać się komuś, być komuś posłusznym“: *mutare ad panem, pendere ad (in) aliquem, devenire super latrones, mittere post aliquem* w znaczeniu: „posłać po kogoś = μεταπέμπεσθαί τινα itp. Rozdział VI, poświęcony przymiotnikowi, mówi m. i. o przymiotniku w zastępstwie przysłówka i rzeczownika. Największą jednak część tego rozdziału zajmuje omówienie stopniowania przymiotnika. Tutaj słyszymy kolejno: o różnych sposobach tworzenia komparatywów i superlatywów, o przesunięciu semazjologicznem stopni wyższych, objawiającem się w używaniu komparatywu i superlatywu zamiast pozytywu, oraz w używaniu superlatywu zamiast komparatywu. — Obszerny r. VII zajmuje się przysłówkami i przyimkami. Już przy omawianiu przymiotnika wykazał S., że używanie przysłówka i wyrażeń przyimkowych w zastępstwie przymiotnika wzrosło znacznie w łacinie późniejszej. Przedewszystkiem tzw. *de*-konstrukcja zaczęła wypierać w pewnych wypadkach przymiotnik a także gen. qualitatis, gdy zwłaszcza dopełniacz syntetyczny został zastąpiony konstrukcją analityczną. Z braku odpowiednich przymiotników powstały wyrażenia w rodzaju: *homo de civitate*. Rozpowszechniły się nadto w późnej łacinie wyrażenia przyimkowe, jak *de labore* zam. *fessus, a divitiis* zam. *dives, de deliciis* zam. *deliciosus* itp. Niektóre tego rodzaju wyrażenia przyimkowe są niewątpliwie pochodzenia ludowego, inne powstały, zdaniem S., pod wpływem podobnych konstrukcyj greckich. Następnie omawia autor przysłówki, używane zamiast przymiotników, jak np. *aliter* zam. *alia (aliter sunt iudicia dei, aliter hominum), quomodo* zam. *qualis (quomodo est civitas), ego sic sum* = ἐγὼ οὕτως εἰμὶ ὡς... etc., przysłówki zaimkowe *(unde, inde, ubi)* użyte zamiast zaimka, jak np. *unde* zam. *a* (*de, ex*) *quo*, połączenia przyimków z przysłówkami, przyimków z przyimkami, a więc: *a longe, a sero, ab intro, de longe, de post* i inne. Obraz rozwoju i zaniku pewnych zaimków wskazujących, historja zaimka wskazującego we funkcji rodzajnika, zaimek zwrotny, rzeczownik *homo* w znaczeniu pronominalnem, wypełnia r. VIII dzieła S.-a. Bardzo ważny r. IX poświęcił autor czasownikowi. Omawia on tam kolejno chwiejność w używaniu genera verbi, osobowe, nieosobowe i zwrotne konstrukcje czasownika, używanie poszczególnych czasów, zwłaszcza praesens i futurum, perfektum i plusquamperfektum, tryby w zdaniu głównem i pobocznem. Ważna dla romanistów zwłaszcza jest obszerna partja, zajmująca się opisywaniem futurum przez *posse, sperare, debere, velle*, a przedewszystkiem przez *habere* w połączeniu z infinitiwem. W krótkich dwóch rozdziałach ostatnich wykazuje S., jak zdania poboczne, zaczynające się zwłaszcza od spójników *quod, quia, quoniam*, wypierają acc. c. inf., a partykuły pewne ulegają przesunięciom semazjologicznem. Ważne jest zwłaszcza *quod* czasowe i *quatenus*, zastępujące *ut* celowe, oraz rozpoczynające zdanie przyczynowe. — Książka S. zamyka obfity wykaz literatury naukowej, wyzyskanej w *Vitae Patrum*, indeks gramatyczny, wyrazowy i spis miejsc autorów, omówionych w tem dziele.

Nie jest rzeczą łatwą pisać pracę językową, gdy się musi opierać na tekście niekrytycznym wydania Migne'a, nadto na tekście, który jest przeróbką oryginałów greckich. S. jednak wywiązał się należycie ze swego trudnego zadania, ponieważ posiada on nadzwyczajny takt naukowy. To też dzieło jego cechuje nietylko gruntowna wiedza i erudycja, ale trzeźwy sąd i należyta ostrożność, a przedewszystkiem zręczny spo-

sób stawiania i ujmowania zagadnień. Dla poparcia mego sądu niechaj posłuży przedstawienie sposobu, w jaki stara się S. wyjaśnić genezę kolektywnej liczby pojedynczej. Nie jest ona, zdaniem S.-a, ani pochodzenia wyłącznie ludowego, ani poetyckiego, jak dotąd przypuszczano, ale powstała ona w kołach rozmaitych fachowców. A więc agronomowie i inżynierowie posługiwali się na oznaczenie gatunku lub materjału kolektywną l. poj. roślin, drzew lub kamieni. Historycy wojen stworzyli wyrazy *pedes, eques* itp. na oznaczenie gatunku broni, historycy zaś używali jej na oznaczenie narodów, jak *Oscus, Poenus, Cantaber, Dacus* i i. Nie jest przytem oczywiście rzeczą wykluczoną, że wyrazy, jak *pilus, fustis* itp. na oznaczenie kolektywów są pochodzenia ludowego, a może nawet nieraz greckiego, pod wpływem takich wyrażeń jak: πᾶν δένδρον i inne. WŁ. CH.

S. Benedicti Regula Monachorum herausgegeben und philologisch erklärt von Benno L i n d e r b a u e r O. S. B. Verlag des Benedictinerstiftes Metten 1922, 440 s. — Skromniejszym celom niż dzieło Saloniusa służy komentarz językowy do Reguły św. Benedykta z Nursji, który po pracy fińskiego uczonego jest największą syntetyczną publikacją z zakresu późnej łaciny. Uczony mnich przeznaczył ją nietylko dla swoich współbraci zakonnych, ale zarazem dla filologów, interesujących się zagadnieniami języka pospolitego i późnołacińskiego. I słusznie. Reguła bowiem św. Benedykta stanowi ważny pomnik językowy, stojący na przełomie starożytności i wieków średnich. Tekst tego dzieła, opracowany krytycznie, niestety jednak bez podania aparatu krytycznego, niepotrzebnego dla mnichów, ale koniecznego dla uczonych, poprzedza spis wydań Reguły, jej tłumaczeń i komentarzy. Nie brak tam również prac, związanych z zagadnieniami językowemi Reguły, jako też rozpraw z zakresu późnego języka łacińskiego. Po tekście, który zajmuje 49 stron, następuje ciągły komentarz, wyłącznie językowy, który wobec swojej niesłychanej dokładności czyni naprawdę wszelkie inne objaśnienia zupełnie zbytecznemi. Komentarz ten jest wprawdzie nieraz zbyt może elementarny dla filologa, co spowodowała dwoistość jego przeznaczenia, przeważnie jednak liczy się L. wiecej z drugą kategorją czytelników, sięgając głębiej i szerzej w zjawiska językowe, niż tego wymagało praktyczne zrozumienie Reguły, potrzebne przeciętnemu mnichowi zakonu św. Benedykta. Tak więc komentarz tėn filologiczny stanowić może doskonałe, zwęzłe wprowadzenie do studjów późnej łaciny. Ponieważ przez konieczne wysunięcie tekstu Reguły na pierwszy płan straciły uwagi językowe, podobnie jak w pracy Löfstedta, należytą ciągłość i przejrzystość, starał się L. zaradzić temu przez szczegółowy indeks ortograficzny, rzeczowy i wyrazowy. Temu również celowi służy obszerny wstęp oraz zgrabny *Rückblick*, ujmujący syntetycznie całokształt języka św. Benedykta w kilkunastu ustępach. Słyszymy tam między innemi: o ortografji tradycji rękopiśmiennej Reguły, o słowotwórstwie, semazjologji, deklinacji, konjugacji, nauce o przypadkach, konstrukcjach participjalnych, zdaniach pobocznych, budowie zdania, szyku wyrazów, sposobów stylistycznych itd.

Przysłowiowo pracowity mnich benedyktyński, odznaczający się wielką erudycją, trzeźwym sądem, zwięzłością i jasnością ujmowania rzeczy, oparł się w swej pracy nietylko na podstawowych dziełach Kühnera, Schmalza, Krebsa i innych, ale zna on gruntownie najnowsze monografje językowe z zakresu łaciny późniejszej, jak Löfstedta, Saloniusa, Stangla, Friebela, Jureta i innych. Z pośród zagadnień, samodzielniej albo obszerniej przedstawionych przez L.-a, podnieść należy infinitivus finalis po słowach, wyrażających ruch (*ire, mittere, venire*), który rozpowszechnił się niewątpliwie pod wpływem podobnych konstrukcyj greckich, a który uważa L. za konstrukcję czysto łacińską. Zakres modnych do niedawna grecyzmów uszczupla słusznie L. wykazując, że *delectari* z dat. nie jest bynajmniej naśladownictwem składni greckiej, ale że konstrukcja ta powstała przez analogję do pokrewnych konstrukcyj czasowników, jak *deditum esse, indulgere, servire.* Bardzo trafne i ciekawe są obserwacje, odnoszące się do niezawisłych konstrukcyj participjalnych, jak nominativus pendens, który żyje w języku

francuskim, accusativus absolutus itp. Ludową dążność do plastycznego, często pleonastycznego wyrażania się omawia L. przy genetiwie identyczności (gen. inhaerentiae czyli gen. synonymus), jak: *culpae noxa, intervallorum distantia, tolerantia abstinentiae,* oraz przy pleonastycznem wzmacnianiu czasowników zapomocą słów posiłkowych (*ut custodire debeant = ut custodirent*) i przy opisywaniu czasownika zapomocą złożeń z *habeo, facio, do, reddo* i innych (*scissas facere genas, caecum reddere...*). Ważny wreszcie jest zarys monograficzny najbardziej uniwersalnego w późnej łacinie przyimka *de*, a z zakresu leksykalnego geneza z *ausculto* dwóch nowych czasowników: *obsculto i absculto.* WŁ. CHODACZEK

Güntert Hermann, Grundfragen der Sprachwissenschaft. [Wissenschaft und Bildung Nr. 210], Quelle & Meyer, Lipsk 1925, 141 s. — Ruchliwe wydawnictwo lipskie wzbogaciło swój dział jezykoznawczy, reprezentowany dotychczas godnie przez takie prace, jak Sütterlina *Lautbildung* oraz *Werden und Wesen der Sprache,* nowym i nader ciekawym tomikiem, którego tytuł podany w nagłówku. Autor, profesor językoznawstwa porównawczego na wszechnicy rostockiej, znany jest z szeregu publikacyj dotyczących osobliwie dziedziny semantyki. To też nie dziw, że temu tematowi poświęca aż 3 rozdziały swej bogatej w treść książeczki. Dotyka on mianowicie zagadnień semazjologicznych w rozdziałach: „O treści znaczenia form językowych", „Uduchowienie i obrazowanie, jako zasadnicze formy naturalnego myślenia" i wreszcie „Przyczyny zmiany znaczenia". Tytuły innych rozdziałów (jest ich razem 10) są następujące: „Fonetyczna strona języka", „Przyczyny zmiany fonetycznej", „Ogólna tendencja rozwoju języka", „Pokrewieństwo języka według budowy i rozwoju", „Znaczenie mieszania się języków", „Istota języka literackiego", „O językach sztucznych". W tem skromnem dziełku porusza mnóstwo zagadnień językoznawczych, objaśniając je licznemi przykładami, zaczerpniętemi prócz niemczyzny, także z innych języków, m. i. z greczyzny i łaciny oraz (zbyt rzadko niestety) z języków słowiańskich. Podkreśla też słusznie, jak niesłychanie wiele zadań językoznawstwo ma jeszcze do spełnienia. Tak np. semantyka, traktowana przez autora, jak już wspomniałem, ze szczególnem zamiłowaniem, znajduje się przecież jak wiadomo, rzec można, jeszcze w powijakach, a olbrzymia większość języków kuli ziemskiej jest dotychczas zaledwie opisana i to często w sposób bardzo niedokładny i niedostateczny. Cóż dopiero mówić o bliższem ich prawdziwie naukowem zbadaniu. A wszak „w języku odzwierciedla się sposób myślenia danego narodu, a mowa ludzka jest najstarszem dostępnem nam źródłem historycznem" (s. 132). Książkę przeczyta z pożytkiem i zadowoleniem każdy inteligentny człowiek mający zrozumienie dla zagadnień naukowych, podanych w zwięzłej wprawdzie, ale mimo to w przystępnej i zajmującej formie. HANDEL

Breuer Hermann, Kleine Phonetik des Lateinischen mit Ausblikken auf den Lautstand alter und neuer Tochter- und Nachbarsprachen. Breslau 1925. Trewendt u. Granier Verlag. 56 s. 2 mk. — Piękne popularne dziełko, przeznaczone nietylko dla nauczycieli, zwłaszcza początkujących, lecz również dla „uczniów, studentów, byłych uczniów, kapłanów i laików". Recenzję napisał p. Edwin Müller-Graupa w *Philologische Wochenschrift* 1927, 101 n. Do spostrzeżeń recenzenta dodałbym od siebie kilka jeszcze uwag. W uw. do § 12 słusznie podkreśla autor głosowni, że nowo-górno-niemieckie długie samogłoski toniczne zgłosek otwartych powstały w bardzo wiele wypadkach przez wzdłużenie pierwotnych krótkich, które zachowały się jeszcze w średnio-górnoniemieckich (n-gn. *gē-ben* <śr-gn. *gĕ-ben*); trafną jest również uwaga, że takież samogłoski krótkie staroangielszczyzny, po uprzedniem wzdłużeniu, udwugłoskowiły się w angielszczyznie nowej (ang. *nose* <st.-ang. *năsu*; *name* <*năma*). Niezupełnie natomiast zgodny z prawdą historyczną jest ostatni ustęp uwagi: ...„dieselbe Veränderung, der das Altenglische sich unterzog, die sodann das Mittelhochdeutsche erlitt, diese erfuhr auch das Lateinische in der romanischen Zeit". Dotyczyć to może tylko dyftongizacji pierwotnie krótkich łac. samogłosek tonicznych w zgłos-

kach otwartych, bo wzdłużenie ich w łacinie ludowej nastąpiło nadługo przed okresem romańskim, por. np. późniejszą wymowę *Cērēs* (czytaj w nagłosie —*ē*— otwarte, zamiast *Cērēs*!), przeciwko której występuje 300 lat po Chr. Sacerdos VI 451, 14 Keil. W § 13 przyjmuje dla zgłoski nagłosowej *trīstis* i *iūstus* długość nietylko naturalną, ale jednocześnie też pozycyjną. Otóż, jeśli rozchodzi się o położenie samogłoski długiej przed dwiema spółgłoskami rozmaitemi, to niema w tym wypadku zgłosek łączących w sobie obie długości, bo jak słusznie zaznacza sam autor w § 4, spółgłoska tautosylabiczna po długiej samogłosce jest naogół krótka, po krótkiej zaś samogłosce długa, a więc tylko w tym ostatnim wypadku wzdłuża ona zgłoskę. Zresztą w tymże § 4 czytamy: „Vergleicht man die Silbe *trōr* (przysłówka *retrōrsum*) mit der Silbe *gin* von *trīginta*, so hat die erste langen Vokal aber kurzen Konsonanten, und die zweite umgekehrt kurzen Vokal aber langen Konsonanten, was ungefähr auf dasselbe hinausläuft". Natomiast samogłoski krótkie zgłosek pozycyjnie długich ulegały, według mnie, wzdłużeniu w śpiewie, wobec czego długość pozycyjna przeistaczała się tutaj w długość naturalną, co pociągało za sobą redukcję iloczasową następnej tautosylabicznej spółgłoski: *trī-gintā* > *trīgīntā*. Widzimy więc, że i w poezji śpiewanej długość pozycyjna i naturalna w omawianej konfiguracji nie mogą się łączyć w jednej sylabie. Nagłosową zgłoskę wyrazów *iūstus* i *trīstis* należało określić nie jako naturalnie i pozycyjnie długą, lecz jako zamkniętą o długości naturalnej. Możliwa zresztą, że redukcja iloczasowa tautosylabicznej spółgłoski mogła niekiedy wywołać przesunięcie się tej ostatniej do zgłoski następnej, czyli że stawała się ona teraz hetorosylabiczną, a zgłoska — otwartą. Powyższe niedociągnięcia wyrównane są licznemi i wielkiemi zaletami, do których m. i. należy częste uwzględnienia przez autora w formie przystępnej nietylko greckich, oskijskich, ale też romańskich i germańskich odpowiedników, co umożliwia osiągnięcie w nauczaniu szkolnem wewnętrznej łączności między poszczególnemi językami, uwzględnianemi przez program gimnazjalny. To też sympatycznie porusza czytelnika ostatni ustęp przedmowy: „Besonders freuen aber würde sich der Verfasser, wenn sich in anderen Ländern Bearbeiter für sein Büchlein fänden, damit das Lateinische immer mehr zu seinem klanglichen Rechte komme und sich mehr und mehr eine wissenschaftlich begründete, von Volk zu Volk gleichmässige Aussprache der Sprache Roms anbahne". Miejmy nadzieję, że i wśród naszych fachowców znajdą się osoby, które dla dobra nauki polskiej zechcą podjąć się tego trudu. A. BUSE

Herrmann Léon, Le Théâtre de Sénèque. Paris, Société d'édition „Les Belles Lettres" 1924, s. 586 + 2 nl. — Książka H., który obecnie wydaje w tem samem wydawnictwie tragedje S. (ukazał się tom pierwszy), rozpada się na 8 rozdziałów. W pierwszym, zatytułowanym *Zagadnienia ogólne dotyczące tragedyj*, autor rozważa 3 zasadnicze kwestje: 1. Czy wszystkie tragedje przekazane w Codex Etruscus wyszły z pod jednego pióra? 2. Czy autorem ich jest L. A. Seneca? 3. Jaka jest chronologja tragedyj? Co dotyczy pierwszego zagadnienia, H. poddaje szczegółowej analizie te tragedje, których jedność z innemi była najczęściej podawana w wątpliwość (*Trojanki, Fenicjanki, Edyp, Agamemnon, Hercules Oetaeus*) i twierdzi, że wszystkie tragedje są dziełem jednego autora. W zakończeniu przyznaje autorstwo wszystkich tragedyj filozofowi S. Dla ustalenia chronologji tragedyj H. bierze pod uwagę: 1. aluzje polityczne zawarte w tragedjach, 2. porównywa je między sobą co do punktów stycznych co do treści i ze względu na poszczególne zwroty odpowiadające sobie. Jedną i drugą metodą dochodzi do wniosku, że tragedje powstały w tym samym porządku, w jakim je podaje kodeks *A*. Powstanie tragedyj przypada na czas od r. 54—62, przyczem 3 pierwsze powstały przed, 6 ostatnich po roku 59. Przegląd tragedyj ze względu na ich technikę, porównanie z pismami współczesnych i pismami prozaicznemi S. podtrzymują tę chronologję. Pod koniec rozdziału H. ustala tytuły tragedyj. — Rozdział drugi zajmuje się nie kwestją, czy tra-

gedje były wystawione, lecz zagadnieniem, czy autor przeznaczył je do użytku scenicznego. Bierze więc H. pod uwagę stosunek S. i ówczesnej publiczności do teatru, znaczenie lektury w Rzymie czasów cesarstwa, rozpatruje stosowanie się S. do przepisów Horacego, strukturę tragedyj, wyraźne w nich wskazówki, że były przeznaczone do wystawienia. W drugiej części tego rozdziału zastanawia się, czy ówczesny teatr mógł swojemi środkami technicznemi podołać wystawieniu tragedyj. Wniosek końcowy jest ten, że chociaż nie wiemy, czy tragedje były wystawione, czy nie, to jednak pewnem jest, że autor przeznaczył je do użytku scenicznego i że mogły być wystawione bardzo łatwo i z maximum efektu. — W rozdziale trzecim autor stara się określić cel i źródła tragedyj. Rozważa teorje wypowiedziane przez swych poprzedników i dochodzi do przekonania, że celem właściwym S. jest stworzenie tragedji jako takiej; oczywiście znajdują się w tragedjach i elementy inne, jak np. prawdy moralne, maksymy polityczne itd., ale one odgrywają tylko rolę uboczną, a element dramatyczny jest przeważający, stanowiący istotę, co potwierdza zdaniem autora także wybór tematów, dokonanych przez S. Omawiając zagadnienie źródeł, H. przytacza teorje starsze, rozbiera wszystkie tragedje, bierze pod uwagę wszystkie możliwe wzory. W końcu wykazuje źródła poety, które są zarówno dramatyczne, jak liryczne i epiczne i zwraca uwagę, że S., nie pomijając archaicznych poetów łacińskich, idzie przedewszystkiem za wielkimi tragikami greckimi. Jest jednak naśladowcą oryginalnym, a nie niewolniczym. Tragedja jego to nie kontynuowanie tragedji retorycznej, lecz próba pogłębienia psychologicznego, którem S. przewyższa swych poprzedników, nie wyłączając traigków greckich. — Rozdział czwarty traktuje 1. zagadnienia wyboru tematów, które H. uważa za godne pióra tragika, 2. strukturę zewnętrzną, 3. strukturę wewnętrzną. H. stwierdza, że S. jest w zgodzie z trzema kardynalnemi jednościami: czasu, miejsca i akcji, że przebieg akcji jest regularny, jednak nie jednostajny. Wadą jest miejscami zbytnia rozwlekłość, miejscami zbytnia zwięzłość akcji i poświęcanie całości dramatu na korzyść analizy psychologicznej. Całość jednak posiada zdaniem H. ową *vis tragica*, która jest istotną częścią tragedji. — W rozdziale piątym H. poddaje gruntownemu rozbiorowi osoby tragedyj. Są to na ogół typy przejęte z tradycji, lecz nie niewolniczo. S. sprzęga czasem dwa typy w jeden. Wobec przepisów Horacego o osobach (*Ars poet.* 125) zachowuje względną swobodę. Realizm charakterów jest poświęcony na korzyść ich latynizowania. Zarzut, jakoby charaktery osób były zniekształcone przez stoicyzm, uważa H. za bezpodstawny. Wprawdzie osoby wypowiadają niekiedy poglądy stoickie, ale czyny ich nie są zgodne ze słowami. Nie można natomiast zaprzeczyć, że S. jest niepoślednim znawcą duszy ludzkiej, zwłaszcza kobiecej, że jest mistrzem w kreśleniu namiętności. — W rozdziale szóstym podaje H. przegląd idei religijnych, filozoficznych, politycznych i naukowych i wypowiada pogląd, że idee tragedyj są odmienne od idei pism filozoficznych S., że są jakby przyciszone. Tłumaczy to tem, że tragedje były — inaczej jak pisma filozoficzne — przeznaczone dla szerokiej publiczności. H. przyznaje, że tragedje są przeładowane ideami zaczerpniętemi z różnych systemów filozoficznych, charakter dramatyczny przez to jednak nie ucierpiał. — W rozdziale siódmym H. bierze pod uwagę stronę zewnętrzną tragedyj, a więc ich formę, język, styl, wersyfikację i stwierdza, że strona zewnętrzna nie jest wprawdzie najlepszą częścią tragedyj, mimo to S. jako poeta przewyższa Lukana i Statiusa. — W rozdziale ósmym H. podaje przegląd ocen, jakich doznały tragedje S. w ciągu wieków, następnie resumuje krótko poglądy, zawarte w całej książce. Kończy słowami, że S. jest największym poetą dramatycznym między Euripidesem a Szekspirem, podobnie jak Wolter między pseudoklasykami franc. a Wiktorem Hugo. W historji dramatu antycznego S. zajmuje miejsce drugorzędne, ale mimoto zaszczytne. — Dodatek stanowi 7 tablic, odnoszących się do liczby aktorów i ról, liczby wierszy, systemu metrycznego itd. I. R.

KRONIKA

PRZEGLĄD WYKOPALISK ARCHEOLOGICZNYCH (4)

W dolnej Italji rozpoczęto obecnie z inicjatywy włoskiego ministra oświaty, prof. Fedele, większe wykopaliska w pobliżu Cumae i Caere. Odkryte w tej okolicy fundamenty świątyni bogini *Marica* wykazują typowo italski plan budowli (tylko pronaos — bez epistodomu). Styl znalezionych tam terrakotowych antifixów w kształcie głów kobiecych, oraz statuetek z gliny wypalanej, pozwala ustalić czas powstania świątyni na początek V w. prz. Chr.

Pergamon jest nadal terenem zainteresowań archeologów niemieckich. W br. przeprowadzono dalsze badania w części górnej wzgórza zamkowego. Uwieńczone skutkiem poszukiwania odsłoniły fundamenty pięciu arsenałów i magazynów wojskowych, nie jednolitego charakteru. Sądząc z napisów, budynki te pochodzą z końca III w. prz. Chr. W obrębie murów znaleziono 900 pocisków kamiennych — amunicję obronnych katapult. Średnica największych kul wynosi 40 *cm*, najmniejszych 14 *cm*. Najcięższe ważą 78 *kg*, najlżejsze 6 *kg*. Podobne urządzenia odpowiadają w zupełności przepisom Philona z Byzantion i świadczą wyraźnie o tem, że rzymskie *granaria* i *horrea* były wzorowane na typach hellenistycznych. Na północny wschód od wielkiego ołtarza odkopano substrukcje budowli, dziwnego kształtu, o wymiarach 50 × 40 *m*. Wewnątrz mieścił się wielki peristyl, w północnej zaś części gmachu przybytek kultu dotychczas niewiadomego bóstwa. Wykopaliska na terenie Pergamonu wznowiono dla uzyskania jasnego obrazu rezydencji władców hellenistycznych, podobnie, jak już posiadamy względnie dokładny obraz hellenistycznej πόλις w Milecie i w Priene.

Przy odkopywaniu groty Sybilli w Cumae (por. Kwart. Klas. I 76 n.) znaleziono przypadkiem statuę efeba, którą prof. Maiuri uważa za idealizowany portret Marcellusa, siostrzeńca Augusta.

W Rzymie otwarto niedawno pod nazwą *Museo dell' Impero Romano*, wielki zbiór odlewów gipsowych, rysunków, fotografij, planów i modeli łącznej produkcji artystycznej 36 prowincyj starożytnej Romy. Eksponaty rozmieszczono prowizorycznie w salach klasztoru S. Ambrogio obok Piazza Mattei. Inicjatorom tego przedsięwzięcia zależało na stworzeniu przeglądu sił kulturalnych dawnego imperium, przez systematyczne zestawienie szeregu wzorów plastyki, malarstwa, architektury i przemysłu artystycznego (np. modele monumentalnych budowli użyteczności publicznej na prowincjach, Timgad, Dugga, Kyrene itd.).

Rząd włoski nie szczędzi największych wysiłków, by przez wydobycie na światło dzienne zabytków starożytnego cesarstwa przydać blasku Włochom dzisiejszym. W myśl oficjalnej zapowiedzi Mussoliniego, w najbliższym czasie przystępują władze do wstępnych robót dla wydobycia słynnych, zatopionych okrętów rzymskich z dna jeziora Nemi, przez czasowe odprowadzenie wody do jeziora albańskiego. Na usługach tego nadzwyczaj trudnego przedsięwzięcia będą najnowsze zdobycze techniki, a wysokość kosztów trudno dziś dokładnie obliczyć.

Dalszy ciąg wykopalisk prowadzonych z ramienia prowincjonalnego muzeum w Bonn (por. Hans Lehner, *Das Römerlager Vetera bei Xanten*) przyniósł i w tym roku wiele cennych odkryć, które z jednej strony rzucają wiele światła na nie dość dobrze jeszcze zbadaną architekturę epoki Flawjuszów, z drugiej pozwalają nam wglądnąć w pełne wygód urządzenia, a nawet wprost w zbytek, panujący w obozach rzymskich nad Renem. K. M.

W czasie od stycznia do czerwca 1926 prowadzono w Girgenti (*Akragas*) bardzo intenzywne roboty archeologiczne dzięki ofiarności kapitana angielskiego A. Hardcastle. Prace te doprowadziły między innemi do rozstrzygnięcia kwestji umieszczenia telamonów w świątyni Zeusa (p. Kwart. Klas. I 258). Pozatem odkopano w zupełności świątynię Asklepiosa, bardzo stary przybytek skalny Demetry, złożony z budynku prostokątnego o trzech wejściach, opierającego się o dwie groty naturalne, z zawiłym systemem kanałów i zbiorników, służących do wydobycia z pod ziemi wody źródlanej, wreszcie świątynkę archaiczną tzw. Herakleion. Odkopano też pewne części miasta z epoki greckiej i rzymskiej, jak również nową bramę z murów obronnych (*Boll. d'Arte*, marzec 1927).

Dzięki ofiarności wspomnianego już kapitana Hardcastle odkopano całkowicie rzymski teatr w Ferento, poczem przeprowadzono roboty nad częściową rekonstrukcją względnie zabezpieczeniem zabytku. Po dokonaniu tych prac ruiny teatru przedstawiają się bardzo ciekawie i okazale. K. B.

Ciekawe odkrycia, odsłaniające nieco tajemnicę, która okrywała dotychczas Londyn rzymski, znaczne centrum handlowe już przed 1800 lat, robią codziennie archeologowie z H. V. Mortonem na czele, nadzorujący nad pracami pod Bankiem Angielskim, w którym rozszerza się piwnice i nadbudowuje kilka piątr. Fundamenty tej fortecy pieniędzy leżą nad samem centrum dawnego rzymskiego miasta, zbudowanego nad bagnem, sięgającem do Tamizy. Ilość przedmiotów znalezionych jest tak duża i stan zachowania ich tak doskonały, że rozważa się możliwość stworzenia *Muzeum Londynu rzymskiego* w samym Banku. W łożysku dawnego strumienia, wpadającego do Tamizy, znaleziono niezliczone szczątki filiżanek, talerzy, garnuszków i naczyń importowanych do Londynu z różnych fabryk w Gallji i południowej Germanji. Często przedmioty te noszą imiona fabrykantów, a ozdobione są scenami polowania itp. Glina londyńska przechowała doskonale nietylko ceramikę rzymsko-gallicką, ale także różne artykuły metalowe i skórzane. Tak jedna para sandałów rzymskich z r. 127 okazała się po oczyszczeniu tak giętką, że mogłaby jeszcze i obecnie służyć. Wśród nowych wykopalisk znajdują się kościane szpilki do włosów, solniczki, łyżki z rączkami ostro zakończonemi, służącemi (według świadectwa Plinjusza) do przedziurawienia skorupek jaj z obawy przed zaczarowaniem, dzbany, a nawet linijka stolarska. Na dnie studni znalazły się kości ludzkie. Ciekawym jest fakt, że jakkolwiek Londyn był miastem rzymskiem przez więcej niż 400 lat, znaleziono dotychczas tylko przedmioty pochodzące z I lub II w. Uczeni wnioskują stąd, że kobiety rzymskie rzucały trzaskane naczynia itd. do strumyka i do bagna w pierwszym okresie okupacji i że później wysuszono te tereny, lub że magistrat zakazał ludności, z chwilą, kiedy miasto się rozrosło, gromadzić śmieci na tem miejscu. Ta więc część miasta nowoczesnego, której każdy metr kwadratowy przedstawia dziś ogromną wartość, był więc początkowo — śmietnikiem. Wykopaliska mają trwać jeszcze rok, a zapowiadają ciekawe niespodzianki.

KAZIMIERZ MORAWSKI JAKO NAUCZYCIEL AKADEMICKI

W czasie moich 4-letnich studjów na Wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (od jesieni r. 1882 do lata r. 1886), nauczali filologji klasycznej prof. zwyczajny Maksymiljan Iskrzycki (ur. 1837, um. 1891) i nadzwyczajny Kazimierz Morawski (ur. 1852, um. 1925). Zwyczajny prof. Alfred Brandowski (ur. 1835, um. 1888), złożony ciężką chorobą, zupełnie głuchy, wykładał tylko w półroczach letnich i to nauki pomocnicze filologji klasycznej, jak historję filologji, zasady krytyki i hermeneutyki filologicznej, semazjologię łacińską itp., a docent prywatny filologji klasycznej i prof. gimna-

zjalny, późniejszy profesor uniwersytetu lwowskiego, Bronisław Kruczkiewicz (ur. 1849, um. 1918) nauczał w 3 godzinach tygodniowo, począwszy od półrocza letniego 1883, różnych przedmiotów filologicznych, przeważnie z zakresu łaciny. Głównymi więc przedstawicielami filologji klasycznej za moich czasów studenckich byli Iskrzycki i Morawski, z których tamten zajmował się wyłącznie filologją grecką, ten przeważnie łacińską, ale od czasu do czasu we wykładach swoich także grecką (*O komedjach Aristofanesa* 1884, *Starożytności sceniczne greckie i rzymskie* 1885/6). Proseminarjum i seminarjum greckiem kierował Iskrzycki, łacińskiem Morawski. Chociaż Morawski przez cały czas moich studjów był profesorem nadzwyczajnym, dźwigał on z powodu choroby Brandowskiego na swoich barkach cały ciężar obowiązków profesosa zwyczajnego; był dyrektorem seminarjum i proseminarjum filologicznego i członkiem Komisji egzaminacyjnej dla kandydatów na nauczycieli gimnazjalnych.

Morawski, który w jesieni r. 1882 przekroczył był 31 rok życia, przedstawiał w swoich wykładach w sposób prosty i przystępny stan dotyczącego przedmiotu do ostatniej chwili na podstawie najlepszych źródeł i prac naukowych, a ponieważ posiadał dobry organ głosowy i był przejęty sprawami, o których mówił, działał bardzo dodatnio na słuchaczy, którym udzielał się zapał prelegenta. Tempo wykładów, przygotowanych przez profesora, jak się zdaje, tylko szkicowo, było umiarkowane tak, że kto umiał stenografować albo szybko pisać, był w stanie dokładnie, prawie dosłownie wykład zanotować. Nawet wykłady o historji języka łacińskiego, o morfologji języka łacińskiego, o składni łacińskiej wygłaszane z wielką werwą, nabierały interesu dla słuchaczy, którzy czuli, że prelegent jest zapalony do swego przedmiotu. Zupełny kontrast do Morawskiego stanowił Kruczkiewicz, którego wykład był spokojny, monotonny, suchy.

Jeszcze skuteczniejszą była działalność Morawskiego w proseminarjum. Objaśniano ustępy z dzieła jakiegoś prozaika albo poety łacińskiego, tłumaczono je na język polski, niekiedy niemiłosiernie naginany do łaciny; tłumaczono z języka greckiego na łaciński, przyczem studenci kontynuowali nawyczki wyniesione z gimnazjum, trzymając pod ławką, a nawet na ławce, francuskie wydania (Didota) autorów greckich z łacińskim przekładem obok tekstu greckiego; tłumaczono dyktowane przez kierownika po polsku ustępy z jakiegoś prozaika rzymskiego na język łaciński, przyczem można było podziwiać zręczność młodych filologów we wyszukiwaniu oryginałów odnośnych ustępów; układano wiersze łacińskie z elementów podanych przez profesora; omawiano kwestje ze zakresu językoznawstwa porównawczego, zwłaszcza etymologji, starożytności itp. W proseminarjum poznawał Morawski zamiłowania i zdolności uczestników i odpowiednio do tego wyznaczał im prace pisemne, uprawniające ich do przejścia do seminarjum. Tematy do prac czerpał przeważnie z zakresu gramatyki i leksykografji łacińskiej, a prace były ściśle obliczone na siły i zdolności młodych adeptów filologji. Jeżeli profesor widział dobre chęci albo zdolności, albo jedno i drugie, stawał się prawdziwem przyjacielem i ojcowskim doradcą studenta; lenistwo i lekkomyślność karcił surowo, jak również bez osłonek wytykał brak elementarnych wiadomości i nieuctwo połączone ze zarozumiałością. Im student był pilniejszy i bardziej chciwy nauki, tem głębszą czcią i sympatją był przejęty dla Morawskiego.

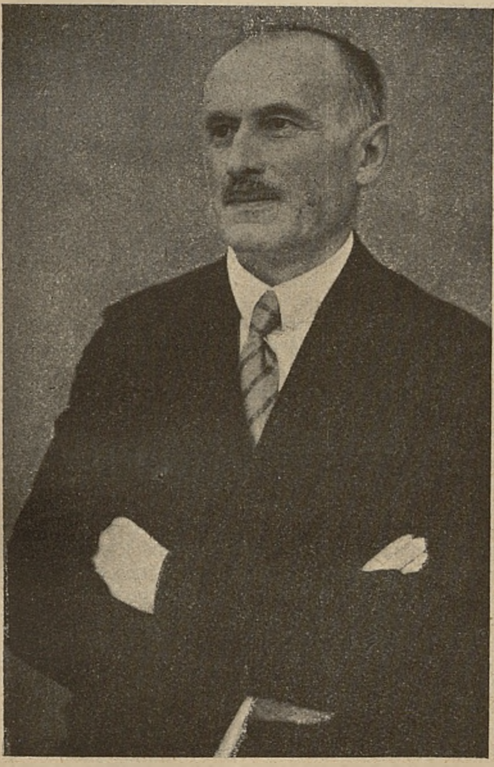
Mniejsze pole działania przedstawiały dla Morawskiego ćwiczenia ustne w seminarjum filologicznem. Rozbierano krytycznie, tj. z uwzględnieniem tzw. krytyki niższej czyli tekstu, ustępy z dzieł prozaików i poetów rzymskich i objaśniano je rzeczowo czyli hermeneutycznie. Morawski nie lubiał, jak się zdaje, krytyki tekstu, która wówczas była alfą i omegą ćwiczeń seminaryjnych. Zresztą panował szablon. Starsi studenci, zwykle z 4, rzadziej z 3 roku, często z późniejszych lat, byli członkami seminarjum i ci interpretowali po kolei, przyczem poprzednik oddawał następcy książki, zebrane na początku półrocza przez bibljotekarza seminarjum filologicznego w bibljotece uniwersyteckiej, w której mieściły się dzieła, należące do bibljoteki seminarjum filologicznego. Morawski interwenjował podczas interpretacji członków seminarjum tylko rzadko, w razie koniecznej potrzeby, jeżeli należało sprostować

jakąś pomyłkę rzeczową lub językową prelegenta; dopiero po skończeniu interpretacji kierownik w kilku słowach po łacinie — chwalił pilność i sumienność interpreta. Dyskusji — o ile sobie przypominam — nie prowadzono. Natomiast zajmował się Morawski bardzo sumiennie pracami pisemnemi, oddawanemi przed końcem każdego półrocza przez członków seminarjum. Prace te wyznaczał kierownik na początku każdego półrocza imiennie, tj. każdy członek seminarjum — było ich 10 — otrzymywał jakiś temat z zakresu filologji łacińskiej do opracowania po łacinie. Tematów dostarczały rękopisy autorów łacińskich, znajdujących się w księgozbiorach krakowskich, dzieła łacińskie albo polskie humanistów polskich, kwestje gramatyczne. leksykograficzne, literackie, ze zakresu staryżytności rzymskich itp. Wszystkie prace, oddane przez członków, czytywał Morawski sumiennie i poprawiał, zwłaszcza pod względem językowym. Jeżeli pracę uznał za godną ogłoszenia drukiem, nawiązywał żywy kontakt z autorem, kazał mu ją jeszcze raz przeczytać, poprawić, rozszerzyć lub skrócić, poczem starał się o jej wydrukowanie. Najczęściej pomieszczał prace swych uczniów w pismach Akademji Umiejętności Krakowskiej, której korespondentem był od roku 1883—1887. Odbitki tych prac, zwłaszcza po łacinie pisanych, sam przesyłał do redakcyj czasopism krajowych i zagranicznych, szczególnie niemieckich, które miały dział recenzyjny, jak np. *Berliner philolog. Wochenschrift* pod redakcją Chr. Belgera, znajomego Morawskiego z czasów studjów w Berlinie, *Archiv für latein. Lexikographie und Grammatik* pod redakcją E. Wölfflina w Monachjum, z którym Morawski prowadził wówczas ożywioną korespondencję naukową, Zarncke'go *Litterarisches Zentralblatt für Deutschland*, Bursians *Jahres berichte über die Fortschritte der klass. Altertumswissenschaft.* Prace z zakresu dziejów humanizmu polskiego po polsku pisane przesyłał do redakcji krakowskiego *Przeglądu Polskiego*, którego był podówczas jednym z filarów, albo do redakcji czasopisma Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych *Muzeum* we Lwowie. Jeżeli praca, która wyszła z jego seminarjum, uzyskała uznanie recenzenta, cieszył się niem narówni z autorem; jeżeli krytyka wypadła ujemnie, pocieszał autora, mówiąc, że nie trzeba sobie tego zbytnio brać do serca.

Studenci pilni, spełniający sumiennie swoje obowiązki, mieli w Morawskim nietylko najlepszego przewodnika naukowego, lecz także opiekuna i dobrodzieja. Wyrabiał im stypendja, guwernerki, korzystne lekcje, zajęcia naukowe, polegające na przepisywaniu lub tłumaczeniu z języka łacińskiego na polski i odwrotnie itp.; jeżeli zachodziła potrzeba, pośredniczył na korzyść swoich uczniów u władzy szkolnej — słowem, pomagał, jak tylko mógł. Miarą dla niego była pracowitość, pilność, sumienność. Nic też dziwnego, że każdy student, pojmujący swoje obowiązki poważnie, czcił w osobie Morawskiego dobroczyńcę swego, któremu winien wdzięczność aż do ostatniego tchnienia. Jeżeli dziś na katedrach filologji klasycznej 4 polskich uniwersytetów (Warszawa, Poznań, Kraków, Lwów) zasiada po jednym, a nawet po kilku uczniów Morawskiego, to ta okoliczność najlepiej świadczy o jego świetnej działalności nauczycielskiej. Do Morawskiego można zastosować słowa Dawida Ruhnkena (*Elogium Tiberii Hemsterhusii* edidit I. Frey, Lipsiae 1875, p. 31): *similem* (Morawski) *praeceptorem nos haud vidimus, posteri ut videant, bonarum litterarum causa vehementer optamus.* Że Morawski takim samym nauczycielem pozostał aż do końca, tego dowodzą głosy jego uczniów późniejszych aż do ostatnich podczas jubileuszów w marcu r. 1908 (por. *Czas* wiecz. 9 marca 1908 nr. 57) i w lutym r. 1923 (por. *Czas* 5 lutego 1923 nr. 27). Przy tej sposobności przypominam słowa profesora monachijskiego Karola Weymana, pełne uwielbienia dla Morawskiego, wypowiedziane w sprawozdaniu o wydanych na jego cześć przez ówczesnych uczniów i kolegów *Stromata* (Cracoviae 1908) we *Wochenchrift für klass. Philologie*, XXV 1908, 625—630. Wreszcie śmiało można o Morawskim powiedzieć to, co napisał o Fryderyku Ritschlu (ur. 1806, um. 1876, od 1839—1865 profesor w Bonn, od 1866—1876 w Lipsku) Wilhelm Kroll (*Geschichte der klass. Philologie* [Sammlung Göschen], Leipzig 1908, s. 126 n.): „*...will man die Summe seiner Lebensarbeit ziehen, so darf man sich nicht auf seine Veröffentlichungen beschränken, sondern muss die zahlreichen von ihm angeregten*

Arbeiten seiner Schüler hinzunehmen, die in ihm stets ihren Meister verehrt haben, auch wenn sie später weit über ihn... hinausgingen". Serdeczne stosunki, które łączyły Morawskiego z uczniami, na tem dobitniejsze zasługują podkreślenie, że sam Morawski jako student filologji w Berlinie (1869—1874) w tym filologu, który wywarł na niego największy wpływ, w Maurycym Haupcie (ur. 1808, um. 1874), nie miał pod tym względem wzoru do naśladowania, gdyż Haupt w owych latach ze swoimi uczniami bardzo rzadko się stykał osobiście (por. C h r i s t i a n B e l g e r, *Moriz Haupt als academischer Lehrer*, Berlin 1879, s. 309 n.). Z. DEMBITZER

WALTER AMELUNG



W połowie września br. rozgłosiły dzienniki niemieckie smutną wieść całemu światu naukowemu: *Umarł Walter Amelung!* Ile żalu i głębokiego smutku kryje się za pozornie obojętną szatą tych słów, może ocenić każdy, komu nie obcą jest wiedza o klasycznej starożytności. Nazwisko Amelunga należało do najpopularniejszych wśród archeologów klasycznych. Uważano go powszechnie za najlepszego w dobie obecnej znawcę rzeźby starożytnej, której opracowaniu poświęcił energję całego życia. Badania jego, głównie o charakterze k r y t y k i s t y l u, zmierzały do zgrupowania rozsianych po muzeach pomników — zachowanych częstokroć w późniejszych kopjach — dookoła nazwiska przekazanego nam w wiadomościach literackich artysty, a więc ustalenie stylu osobistego na tle szkoły i wpływów innych pracowni i środowisk artystycznych. Dość wspomnieć ostatnią jego rozprawę o Kalamisie *(Der Meister des Apollon auf dem Omphalos und seine Schule*, Jahrbuch des Inst. XLI 1927, 247—288), lub znaną tezę o wpływie attyckiej szkoły Kritiosa na rzeźbę sycylijską w V wieku przed Chr. *(Archaischer Jünglingskopf in Hannover*, tamże XXXV 1920, 49—59). Na tem też polu mógł A. poszczycić się wynikami dorównującemi monumentalnym pracom Furtwänglera. W historji archeologji klasycznej należy się mu miejsce obok tego ostatniego badacza i Henryka Brunna. Kierunek badań, któremu Brunn nadał znamiona ścisłej metody, a który Furtwängler postanowił na pierwszym planie wszystkich zagadnień rzeźby starożytnej, posiadał w A. ostatniego wielkiego przedstawiciela. Wszechstronna znajomość materjałów i fenomenalna wprost optyczna pamięć zabytków, pozwalały mu z łatwością orjentować się w całym

P r z y p. Walter Amelung ur. 15 X. 1865 w Szczecinie. Studja uniwersyteckie odbył w Tubindze i w Lipsku, dr. phil. w Monachjum. Następnie był czynny jako sekretarz Niem. Instytutu Archeolog. w Rzymie, którego po wojnie był kierownikiem. Zmarł 12 IX. 1927 w Bad-Nauheim.

optyczna pamięć zabytków, pozwalały mu z łatwością orjentować się w całym znanym nam dotychczas zespole pomników starożytnych. Od r. 1895 pracuje wspólnie z Arndtem nad publikowaniem okazów zamkniętych w mniejszych zbiorach prywatnych (*Arndt-Amelung, Photographische Einzelaufnahmen Antiker Sculpturen*, krótko cyt.: *Einzelaufnahmen*. Do dziś 10 seryj, przeszło 3.000 fotografij z tekstem). Umieszcza też szereg artykułów monograficznych w *Thieme-Becker, Allgemeines Lexikon der bildenden Künstler* (od r. 1907). Doskonałe kwalifikacje fachowe, łącznie z wyjątkowemi zaletami charakteru, zjednały mu zaufanie kompetentnych czynników we Włoszech, gdzie do ostatnich chwil pozostawał na stanowisku pierwszego sekretarza (dyrektora) niemieckiego Instytutu Archeologicznego w Rzymie. Opracowanie przebogatych zbiorów rzeźb starożytnych w muzeum watykańskiem stanowi koronę jego działalności naukowej. Dwutomowe dzieło wykracza daleko poza przeciętny schemat katalogu i tworzy niewyczerpany skarbiec poznań dla badaczy. Dalszą pracę w magazynach Watykanu przerwała mu przedwczesna śmierć. Prócz szeregu rozpraw ogłaszanych od lat 30 we wszystkich niemal tomach trzech oficjalnych publikacyj rocznych niemieckiego Instytutu Archeologicznego (*Jahrbuch. d. Instit., Athen. Mitteil., Röm. Mitteil.*, nie licząc artykułów w czasopismach włoskich, francuskich i angielskich, należy wymienić z ważniejszych prac: *Die Basis des Praxiteles aus Mantinea* (1895), *Führer durch die Antiken in Florenz* (1897), *Die Gewandung der alten Griechen und Römer* (w St. Cybulskiego: Tabulae quibus antiquitates Graecae et Romanae illustrantur, tabl. XVI—XX 1903), *Die Skulpturen des vatikanischen Museums* (2 tomy 1903), *Moderner Cicerone. Rom* (2 wyd. wspólnie z Holtzingerem), *Herakles bei den Hesperiden, 80 Berl. Winckelmanns-programm* (1923).

Walter Amelung historykiem sztuki w istotnem słowa tego znaczeniu nie był. Jego pogląd na cele i zadania badań nad sztuką starożytną daleko odbiegał od przenikających już dziś i ten teren metod, urobionych na analizie późniejszych kierunków artystycznych. Pozostał wierny właściwej archeologji klasycznej i pod tym też kątem należy oceniać cały jego dorobek naukowy. W zakończeniu nie od rzeczy będzie wspomnieć o szczerej przyjaźni, jaka łączyła W. Amelunga z Polakami; znany był też z uprzejmości, z jaką odnosił się do wszystkich cudzoziemców zasięgających jego rady w Rzymie. Zmarł człowiek wielkiego serca i umysłu. K. MICHAŁOWSKI

Wóz wojenny u Achajów i Hetytów. Na II Zjeździe słowiańskich geografów i etnografów w Polsce w czerwcu 1927 p. Stefan Przeworski omówił posługiwanie się wozem wojennym przez Achajów na podstawie Iljady oraz zabytków z epoki późnohelladyckiej, i wypowiedział przypuszczenie, iż zaprzęg konny był na Krecie przed inwazją achajską nieznany. Koń jak również zaprzęg konny były wprawdzie w Azji Zachodniej znane już w III tys. przed Chr., jednakowoż wprowadzenie wozu wojennego jako odrębnego rodzaju broni datuje się dopiero z XVII w. przed Chr., i to zarówno na Wschodzie, jak i w Grecji. *Terminus post quem* dla ustalenia powyższej chronologji daje tzw. testament polityczny Telibinusa, ostatniego króla starego hetyckiego państwa, *terminus ante quem — stele* nad grobami studniowemi w Mykenach. W związku z tem wydaje się prawdopodobnem, iż Achajowie przejęli wóz wojenny od Hetytów, na co wskazuje również legenda o Pelopsie. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż stan liczebny wozów wojennych w drużynach bojowych dynastów peloponeskich nie dosięgał nigdy tych cyfr, jakie dają się ustalić dla wasali króla hetyckiego lub książąt syryjskich. Przystosowanie znanego już dawniej na Wschodzie starożytnym zaprzęgu konnego do potrzeb wojennych na szeroką skalę przypisuje P. ludowi Hurri w dzisiejszej Armenji i północnej Syrji, a to w związku z podbojami w XVII w. przed Chr. oraz inwazją tzw. Hyksosów na Egipt. Nie jest wykluczone, iż ta reforma sztuki wojennej dokonała się za sprawą dynastji pochodzenia „indyjskiego“ (nie znaczy to, aby „Indowie“ przynieść mieli do Azji Zachodniej znajomość wozu wojennego, jak dotąd wielu przypuszcza). W związku z tem pozostaje wytworzenie się klasy rycerstwa, walczącego na wozach wojennych, tzw.

w państwach hurryckich *marjannu*. Analogiczne stosunki dają się stwierdzić na Peloponezie: podług Iljady wóz wojenny jest bronią *par excellence* bohaterską, a wyścigi na wozach wojennych, znane również u Hetytów, należą do ulubionych zawodów rycerskich według tradycji greckiej.

Życie rzeczywiste w Helladzie a jej literatura klasyczna. (Odczyt p. J. Kowalskiego na W. Zgromadzeniu PTF). Każdy kraj tłumaczy do pewnego stopnia swoją literaturę, ale dzieje się to pośrednio. Przedewszystkiem niebo helleńskie jest najważniejszą glossą tekstów helleńskich. Obłok na niem jest przez wiekszą część roku rzadkością: d l a t e g o pisarzy helleńscy poświęcają obłokom większą uwagę, niż północni. Wnioskowanie proste doprowadziłoby do błędnego wyobrażenia o stałem zachmurzeniu nieba helleńskiego. Tak samo wnioskować odwrotnie trzeba z przymiotników rzek: *wiecznie płynący*, *o przeźroczystych falach*, *o pięknej strudze* itp. Znaczy to jedynie, że wielka rzadkość tych zjawisk prowadziła do szukania senzacji literackiej przez nadużywanie określeń nadzwyczajnych. Częstość pewnych zjawisk w literaturze odpowiada rzadkości ich w życiu rzeczywistem (por. tematy erotyczne w literaturze franc., kryminalistyczne w angielskiej). Przykładając naiwnie literaturę do rzeczywistości, odkrywa się nieprawdę, wracając ku literaturze, twierdza się odwieczny czynnik literatury: s e n z a c j ę. Źródła w Helladzie należą do rzadkości. Trzeba nowożytnych przyrządów, by dotrzeć do głęboko skrytych pod gliną spieczoną żył wodonośnych. Dlatego rzeka (zazwyczaj mętna) w Helladzie zawsze dostarczała wody do picia (ποταμός). O tem literatura milczy, i gdyby nie archeologiczny pokaz kothonu o zagiętych brzegach do picia wody zmąconej, mało wiedzielibyśmy o rozpowszechnieniu tego zwyczaju. Jak starość wyrazu δεξαμενή (twór jak Ὀρχομενός, Ἀλαλκομεναί) dowodzi, cysterny były od najdawniejszych czasów w użyciu. Znajdujemy je też w mykeńskiej części Aspidy argejskiej i w samych Mykenach, forma ich świadczy o długim już rozwoju. Jednakże piśmiennictwo mało mówi o piciu deszczówki. Przecież do dziś dnia jestto najsmaczniejszy napój w południowej Italji i w Helladzie. Niektóre wyspy są zdane tylko na tego pochodzenia wodę pijalną. Mieszanie wina z wodą należy rozumieć jako konieczność życiową. Ale jest charakterystycznym dla umysłowości helleńskiej wdzięk, z jakim nigdy nie nastają na mniej przyjemne strony życia. Do tych mniej przyjemnych stron, a związanych z klimatem, należy w Helladzie także proch. Ze był on obrzydły im, świadczy przenośne wyrażenie κονιορτός. Zresztą myśleliśmy, że starożytni poetycko używają wyrazów κόνις, *cinis*, w znaczeniu ziemia. — Mówi się, że Helleni żyli p u b l i c z n i e i że taki był rys ich umysłowości. Lecz ten rys, jeżeli wyjaśniać go politycznie, nie byłby zrozumiałym w czasach przed demokracją. W rzeczywistości Helleni używali mieszkań tylko na schowki mienia, już mniej często na spanie. Rozmiary mieszkań od najdawniejszych czasów do hellenistycznych uniemożliwiały jakiekolwiek poruszanie się w domu. Pierwotnie koło grodów były tylko magazyny, częściowo zamieszkałe przez służbę. Pozostało na zawsze, że mieszkania poniżej akropoli zachowały wygląd szczupłych schowków. Styl hellenistyczny przeniósł otwarte niebo do środka mieszkania, pokoje obok i dokoła zostały na zawsze schowkami i sypjalniami, z wyjątkiem tradycyjnego pokoju na przyjęcia. Słońce Hellady bynajmniej nie zaprasza do pobytu pod gołem niebem. Różne znaki ryte pod kolumnadami dowodzą, że „przechodnie" szukali s t a l e schronienia w portykach i peristylach. Jednakże od najdawniejszych czasów nie było poprostu zwyczaju siedzieć w domu-skarbcu.

Niepojętą jest wprost siła tradycji w k u l c i e. Ona wiązała rozwój architektury (ograniczając dobór budulca) i sztuki (wiążąc artystów staremi tematami; tu też należy malowanie architektury i plastyki, pochodzące z techniki drzewnej). Poza tragedją, ludową i przez to, że rytualną, więcej zacofaną, p i ś m i e n n i c t w o helleńskie mało przygotowywa zwiedzającego na ten stan rzeczy. Rdzeniem rozwoju piśmiennictwa jest jednak ruch racjonalistyczny. Dzięki niemu, piśmiennictwo jest bardziej modernistyczne, niż było życie. Gdy słyszy się o procesach o ateizm, ma się wrażenie, że współczesne piśmiennictwo nie docierało do kół szerokich. Gdyby Sokrates był literatem,

byłby wyminął kielich cykuty. Nadto piśmiennictwo należało więcej do szkoły, niż do społeczeństwa. Właściwości jej rozwoju także na to wskazują. Charakter szkół był o wiele więcej zamknięty niż dzisiaj. Pierwotnie szkoła zamyka się w rodzie, a zakres rzeczy świętych jest bardzo rozległy. Zeświecenie życia, wiedzy i sztuki nie postępowało tak raźnie, jak z piśmiennictwa racjonalistycznego może się wydawać. Temu duchowi rodowemu, kapłańskiemu i szkolnemu, zawsze jednak zamkniętemu, kultury, należy przypisać, że wiedza w Helladzie była spekulatywna, a nie doświadczalna i nie pragmatyczna.

Lektura dzieł literackich wyrabia, sama przez się, smak klasycystyczny. Tymczasem filolog, zwiedzający Helladę, czuje się wprost zaskoczony ilością zabytków, które, gdyby nie Homer, nie interesowałyby literatury. Na każdym kroku widzi się, jak prastare zabytki, formy obrządków, obyczaje i nawyki panowały w Helladzie klasycznej. Ta Hellada klasyczna była w swem życiu daleko archaiczniejszą, niż piśmiennictwo pozwala się tego domyśleć. Dziś jeszcze ulegamy złudzeniu, że Homer, opisujący tak odległe od historycznych wypadki i obyczaje, musiał żyć gdzieś bliżej tych czasów. Tymczasem będąc w Helladzie, przekonywamy się naocznie, że cała ta przeszłość przedhomerycka stała na oczach Hellenów wszystkich stuleci. Homer, którego język wskazywałby raczej na wiek VII, mógł równie dobrze widzieć i później to wszystko, o czem pisał. Mimo wielkiej skłonności Hellenów oświeconych do nowatorstwa i postępu, zabytki uczą nas, że była to rasa silnie tkwiąca w swych początkach. Ich receptywność była większą, zanim kultura ich nie nabrała jeszcze swoistego znamienia, niżeli później. W czasach historycznych Hellen nie uczył się niczego od nikogo obcego, stawał się też niedostępnym dla drugich. Tem tłumaczy się niezwykła trwałość rasy i jej właściwości na terenach przez nich zamieszkałych. Cały szereg drobnych rysów obyczajowych żyje od starożytności po dziś dzień. Hellen historyczny chadzał wśród ruin przedhistorycznych — bo, o ile idzie o świątynie dawne, nie burzono ich nigdy. W ustroju rodzinnym odczuwał przekazane z przedwieczy formy. Hellada przed przybyciem Hellenów była terenem bardzo rozwiniętej kultury neolitycznej i bronzowej. Jeszcze w czasach archaicznych przechowywano zabytki neolitu jako przedmioty pamiątkowe lub kultu. Przejście między epoką kamienną, bronzową i żelazną było bardzo łagodne i kompromisowe. Ogromna ilość form i urządzeń przedhelleńskich przeszła w zwyczaj u tych, którzy osiadali na pałacach nie przez nich wzniesionych. W Mykenach, Argos, Tirynsie, Tebach i Atenach nie było bynajmniej tej katastrofy, jaką zauważa się na poczernionych od pożarów pałacach Krety. Wyobrażenie o przejęciu starej kultury przez całkowicie nowy lud upadają. Najpoważniejsi lingwiści uznają, że język grecki charakteryzuje się jako wybitnie wschodni w stosunku do łacińskiego. Geograficzne pojęcia o tzw. rodzinie języków aryjskich nie dadzą się utrzymać. Dowody archeologiczne przemawiają przeciw samorodności kultury greckiej. Jedna literatura, traktowana czysto literacko, może obejść się bez takich założeń, a to dzięki temu, że wpływ rzeczywistości był na nią bardzo słaby. Na trwanie odwiecznych stosunków składa się nadto i ta okoliczność, że kultura materjalna w I tysiącleciu po Chr. nie uczyniła postępów, a raczej uległa znacznemu cofnięciu. Nie zmieniły się np. warunki komunikacji, żadne ulepszenia życia praktycznego nie nastąpiły, raczej u wstępu nastało zubożenie. Gdy mimo wszystko kultura umysłowa szła raźno naprzód, powstał wielki rozstęp między cywilizacją a kulturą. Gdy kulturalnie Helleni klasyczni mieli za sobą ogromne nabytki duchowe, kultura materjalna i cywilizacja żyły tradycjami ciągle jeszcze wystarczającemi. Architektura żyje jedynie w świątyniach na formie odziedziczonej z pałaców przedhelleńskich. Mniej od materjalnych warunków zawisła plastyka osiągnęła wzlot największy, podobnie jak literatura. Epoka przedhelleńska wykazuje równe, czasem większe uzdolnienia, ale na nieco odmiennych polach i raczej w oparciu silniejszem na kulturze materjalnej. Jej dzieła służą więcej praktycznemu luksusowi, a mniej rozwijają się arcydzieła teorji i niezainteresowanej praktycznie twórczości. W tem leży mniej więcej różnica między Wschodem a Zachodem.

Filolog, który przewędrował Helladę, uczy się szacunku przedewszystkiem dla Homera; od niego zaczyna nietylko literaturę, ale i historję Hellady. Jeżeli w następnym rozwoju literatury helleńskiej widzi rozbrat z Homerem, tragicy ostrzegają go przed mniemaniem, jakoby dzieło Homera było dziełem fantazji, bo tragedja grała się przed ludem, a temu skądżeż przypisać takie przejęcie czysto literackiemi pomysłami? Nie, była to rzeczywistość, rzeczywistość bynajmniej nie martwa w wieku V, lecz przenikająca w wszystkie komórki życia klasycznego, które, jeżeli w literaturze żyło życiem własnem, w życiu samem trawiło stary spadek. Hellada demokratyczna, mieszczańska, małorolnicza, Hellada historyczna była tylko przedłużeniem II tysiąclecia, przedłużeniem raczej dekadenckiem. Jedynie elita umysłowa okazała się twórczą w stosunku do swych przedhelleńskich przodków, i przez to kładła nacisk na te tylko strony, które w tem porównaniu były dla niej korzystniejsze, bardzo przezornie przemilczając życie ubogie i tak zadłużone u poprzedników. Tem sobie tłumaczę, że literatura mało nas przygotowywa do podróży po Helladzie. Z tego też wynika, że podróż po Helladzie jest dla filologa potrzebna, jeżeli nie chce pozostać wyłącznie krytykiem literackim, ale pragnie być znawcą całej starożytności. J. K.

Zjazd Związku Kół Słuchaczy Filologji klasycznej odbył się w Poznaniu dn. 24—26 marca br. Po wstępnych powitaniach prezes Związku dr. Seliga zaproponował na przewodniczącego zjazdu kol. Bzdęgę (Poznań), na sekretarzy kol. Berndta i kol. Tomaszkę (Poznań). Na zjazd przybyli ze środowiska warszawskiego: dr. Seliga, kol. Michalska i kol. Strzelecki; z Krakowa kol. Kowal; ze Lwowa delegat nie mógł przybyć. Z Poznania wyznaczono na delegatów: kol. Bzdęgę, Berndta i Steffena. Następnie prezes Związku zdał sprawozdanie z działalności Związku za ubiegły rok. Stwierdził z ubolewaniem, że dyrektywom, otrzymanym na zjeździe w Krakowie, nie można było całkowicie uczynić zadość. Pierwszą bolączką była sprawa wydawania pisma filologicznego o charakterze informacyjnym. Pierwszy numer miał być poświęcony magisterjom i bibljografji, potrzebnej do studjum, której dostarczyć miały poszczególne środowiska uniwersyteckie po porozumieniu się z profesorami. Zarząd otrzymał jednak odpowiedzi za późno, wobec czego wydanie pisma uległo pewnej zwłocie. — Drugiem przedsięwzięciem Zarządu Związku było tłumaczenie autorów łacińskich. Literatura polska nie jest bowiem bogata w dobre tłumaczenia nawet najznakomitszych autorów klasycznych (Cezar, Tacyt, Plinjusz Ml. i St. itd.). Pracy tej mogłyby się podjąć poszczególne Koła. Cykl referatów otwarł prof. dr. Dziech (Poznań) wykładem: *Problem hellenizmu w najdawniejszem piśmiennictwie chrześcijańskiem.* Na wstępie zaznaczył, że chrześcijaństwo spotkało się zaraz u kolebki swego bytu z dwoma wpływami: żydowskim i helleńskim. Nie trzeba jednak sądzić, że cała literatura chrześcijańska czerpała tylko z tych dwu źródeł, owszem wiele myśli powstało w chrześcijaństwie oryginalnych. Referent obrał sobie właśnie za cel wykazać, że pewne prawdy, spotykane w filozofji i etyce chrześcijańskiej, nie są reminiscencjami z hellenizmu, ale powstały niezależnie, gdyż umysł ludzki jest w zasadzie od wieków ten sam i na odwieczne błędy ludzkości reaguje jednakowo. Prelegent zestawił szereg takich myśli św. Mateusza ewangelisty i św. Pawła, św. Marka i św. Jana z wynikami greckich myślicieli (Antystenes, Diogenes, Aratos, Demostenes, Eurypides, Menander). Wprawdzie św. Paweł był propagatorem kultury helleńskiej, co przedewszystkiem widać na jego stylu; w treści był więcej oryginalny. Dopiero apologeci w II w. po Chr. posługują się zdobyczami wymowy greckiej w treści i formie. — Po południu wygłosił referat kol. Kowal z Krakowa: *Topoi w przemówieniach wodzów u Tukydidesa, Ksenofonta i Arriana.* K. wspomniał na wstępie swego odczytu, że historycy greccy chętnie umieszczali w swych dziełach mowy wodzów do żołnierzy przed bitwą dla zachęcenia ich do walki. W tym celu 1. przypominali poprzednie zwycięstwa, 2. zaręczali, że bogowie stoją po ich stronie, 3. wskazywali na pomyślny przebieg ofiar

i prodigjów. Główną częścią przemówienia było wezwanie wodza, aby 1. żołnierze byli mu posłuszni, 2. w walce okazali się godnymi swych przodków i 3. pamiętali, że walczą na śmierć lub życie o siebie i swoich. Wkońcu obiecywał dzielnym nagrody, a tchórzom kary. Otóż K. wykazał, że wyżej wspomniani historycy posługiwali się z zamiłowaniem wymienionymi motywami.

Dn. 25 marca na posiedzeniu Komisji statutowej zmieniono § 3 statutu w ten sposób: „Siedziba Związku znajduje się w tej miejscowości, w której odbył się ostatni doroczny zjazd Kół filol.“. Zmieniono także § 19 statutu w sprawie komisji rewizyjnej tak: „Komisja rewizyjna składa się z 3 członków z pośród delegatów na następny zjazd. Środowisko w którem mieści się Zarząd, niema przedstawiciela w komisji rewizyjnej“. Następnie delegaci zdali szczegółowe sprawozdanie z działalności poszczególnych kół: Warszawa. Koło urządziło w r. 1926/27 akademję ku czci śp. K. Morawskiego i akademję z okazji 10-lecia koła. W kole pracują dwie sekcje: autorów i stylistyki, nadto komplet języka greckiego. Istnieją także sekcje: samopomocy koleżeńskiej, wydawnicza i referatowa. Koło liczy 125 członków, w bibljotece posiada 895 tomów. — Kraków. Koło krakowskie niema własnego lokalu. W ciągu roku wygłoszono 2 referaty. Koło złożyło gremjalnie wieńce na grobach śp. prof. Morawskiego i Bieńkowskiego. W listopadzie 1926 r. odbył się wieczorek zapoznawczy, w lutym zabawa karnawałowa. W kole pracują następujące sekcje naukowe: 1. Sekcja literatury rzymskiej *a* i *b*, 2. Sekcja literatury greckiej, 3. Sekcja historji wpływów antycznych, 4. Sekcja stylistyki łacińskiej, 5. Kurs gramatyki historyczno-opisowej gr. i łac. — Bibljoteka Koła poznańskiego liczy 325 tomów.

Następnie p. Strzelecki (Warszawa) wygłosił referat pt. *Nonius Marcellus a fragmenty tragiczne Liwjusza Andronika.* Treścią referatu było przedstawienie stosunku świeżo odnalezionego w Egipcie Nonjusza do Liwjusza Andronika. Praca była fachowa i subtelna, dlatego nie dawała tematu do dyskusji. — Po południu wygłosił swój referat kol. Cieślicak (Poznań) pt. *List do Diogneta w świetle nauki św. Pawła.* C. przedstawił świetnie charakterystykę apostoła narodów i wskazał na przewrót w chrześcijaństwie, jaki on wywołał przez zwrot od Starego Testamentu do kultury greckiej i nawracanie pogan. Na listach jego, niby drugim dekalogu, wzorowali się późniejsi apologeci, między innymi autor listu do Diogneta. Referent zestawił więc szereg myśli stycznych u Apostoła i autora wspomnianego listu. W długiej ożywionej dyskusji wzięli udział prof. dr. Sajdak, dr. Seliga, koledzy Bzdęga, Berndt, Steffen, Strzelecki i Witkowski. — Dn. 26 marca wygłosiła nadprogramowy referat kol. Chrzanowska (Poznań) pt. *Przeżytki kultury mykeńskiej w kulturze greckiej.* Wykład ilustrowany był przeźroczami z zakrasu archeologji, zwłaszcza ceramiki. J. U.

O stanowisko historji starożytnej w szkole średniej (z prac Komisji planów i nauczania historji Oddz. Lw. Zw. Zaw. Naucz. pol. szkól śr.). Na ostatnim (IV) zjeździe historyków polskich w Poznaniu, odbytym w grudniu 1925 r., na sekcji VII w dyskusji nad zagadnieniami, tyczącemi się programu nauczania historji w szkole średniej, wystąpił imieniem poznańskiego Koła Polskiego Towarzystwa Historycznego p. Truchim z wnioskiem, domagającym się uregulowania kwestji nauczania historji starożytnej, która, jak referenci stwierdzili, w nowych programach ministerjalnych została w wysokim stopniu upośledzona. Wniosek postawiony i uchwalony brzmiał: „Należy przywrócić nauczanie pragmatyczne historji starożytnej w szkołach średnich na stopniu wyższym, historję zaś polską i powszechną traktować współrzędnie ze szczególnem i wyczerpującem uwzględnieniem historji polskiej“. Podzielając słuszność powyższego stanowiska Komisja planów i nauczania historji Zw. Zaw. (utworzona dnia 17 marca 1926 r. we Lwowie) i nawiązując do prac Zjazdu historycznego pilnie zwracała i zwraca uwagę na zagadnienia związane z problemem nauczania historji starożytnej.

Zagadnienie to wystąpiło szczególnie jaskrawo podczas debat Komisji nad zagadnieniem należytej realizacji egzaminu dojrzałości w szkole średniej na podstawie regulaminu z dnia 19 grudnia 1925 r. Już na posiedzeniu z dnia 29 marca 1926 r. zwrócił uwagę p. Mendys na pewne niekonsekwencje wynikające z rozbieżności między obowiązującym programem nauki historji a regulaminem dojrzałości. Program każe traktować historję starożytną w IV (I) klasie propedeutycznie, a regulamin, włączając ją w zakres przedmiotów egzaminu, tem samem wymaga odpowiedniego poziomu odpowiedzi ucznia, jakkolwiek nie powtarza się jej w wyższych klasach. P. Sochaniewicz podkreślił, że w dawnym (austrjackim) typie szkoły średniej nauka historji starożytnej była nietylko dwustopniową, ale nawet trójstopniową, jeśli się zważy, że w klasie VIII przeznaczano 1 godz. na powtarzanie historji rzymskiej. I jakkolwiek obecni w odniesieniu do realizacji egzaminu dojrzałości w roku szkolnym 1925/6 domagali się na razie wyeliminowania historji starożytnej, niemniej jednak postanowiono konsekwentnie zdążać do stworzenia w szkole średniej takich warunków, któreby postulaty zjazdu historycznego jak i regulaminu dojrzałości pozwoliły ująć w kształty istotnie realne. — Pierwsze stadjum w tym kierunku nastręczyła debata na posiedzeniu z dnia 22 kwietnia 1926 r., które było poświęcone omawianiu wyników prac zjazdu historycznego w zakresie obchodzącym Komisję na podstawie referatu p. Sochaniewicza pt. *Prace Sekcji VII na IV Zjeździe historyków w Poznaniu.* Referent w sumowaniu wyników prac zjazdowych silnie podkreślił stanowisko zjazdu, jakie tenże zajął w zakresie zagadnień związanych z nauczaniem historji starożytnej, domagając się przedewszystkiem rozszerzenia nauki historji starożytnej na stopniu wyższym. W związku z tym postulatem p. Mendys wskazał na dorywczość i brak koncentracji w dzisiejszej konstrukcji programów gimnazjalnych, co powoduje wrażenie, jakby każdy z przedmiotów był traktowany sam dla siebie, bez uwagi na całość studjum ucznia. Powoduje to także curiosa w przepisach, jak polecenie trzykrotnego, a nawet czterokrotnego czytania Iljady przy nauce języka polskiego, historji, filologji i kultury klasycznej. — Wskazane okoliczności były powodem, że sprawę historji starożytnej wysunięto jako jedną z palących kwestji na pierwszy plan prac Komisji. Ujął ją p. Jan Smereka na posiedzeniu dn. 31 maja 1926 r. w osobnym referacie pt. *Stanowisko historji starożytnej w gimnazjach polskich* (drukowano w *Kwartalniku Historycznym* XLI 78—89). Referent zamknął swe rozważania w postulat reaktywowania stanowiska należnego historji starożytnej w szkolnictwie polskiem zgodnie z nauką zachodnio-europejską. Stanowisko to winno się osiągnąć: 1. przez nauczanie historji starożytnej na stopniu niższym szkoły średniej (względnie w szkole powszechnej), przez 1 rok (najmniej 3 godz. tygodniowo), który ma stanowić fazę propedeutyczną w nauce całokształtu historji; 2. przez zwiększenie liczby godzin (4—5 tygodniowo) historji starożytnej, podawanej w sposób nie elementarny, lecz pragmatyczny, w pierwszym roku nauki historji na stopniu wyższym w szkole średniej; 3. przez zreformowanie podręczników dla obu stopni zgodnie z najświeższym stanem dydaktyki i badań naukowych, ze szczególnem podkreśleniem wartości ogólno-kulturalnych antyku i jego związku z dobą obecną, oraz równoczesnem zaniechaniem wszelkiego monopolizowania samej nauki z jakiegoś specjalnego punktu widzenia, co się da łatwo uskutecznić, ze względu na istniejące katedry historji starożytnej na naszych uniwersytetach.

Członkowie Komisji jednomyślnie akceptowali wymienione tezy autora, a dyskusja odpowiednio je naświetliła. P. Mendys stwierdził, że program ministerjalny nakazuje historję starożytną traktować propedeutycznie, niemniej jednak wymaga przyswajania zasadniczych pojęć z życia państwowego, jak arystokracja, demokracja itd., dając tem samem materjał olbrzymi, przerastający siły nauczyciela i ucznia, a mający być wyczerpany w czasie 3 godzin 45-minutowych tygodniowo.

Przy systemie dwustopniowości w nauczaniu, opanowanie tego materjału byłoby rzeczą o wiele łatwiejszą, a ponadto bez względu na typ, w niższych klasach uczniowie zaznajomiliby się z tą ogromną, a ciekawą skarbnicą tworów myśli ludzkości, jaką stanowi mitologja, na co historyk sobie dziś nie może pozwolić z braku czasu. Wśród głosów w dyskusji należy wymienić przemówienie p. K. Chylińskiego, który wychodząc z założenia, że historja jest nauką polityczną, wprowadzającą pojęcia polityczne, wśród których żyjemy, podkreślił dominującą rolę wychowawczą nauki historji starożytnej i opowiedział się stanowczo za dwustopniowością, a raczej za trójstopniowością (w formie powtarzania w kl. VIII) nauki historji starożytnej. W dzisiejszej zmechanizowanej epoce nie bez znaczenia będzie dla duszy dziecka mitologja, zwłaszcza o ile chodzi o naukę o bohaterach greckich. Ponadto i pozatem w historji starożytnej są tak wysokie walory, tyle oderwanych zagadnień, że objęcie ich wymaga umysłu dojrzalszego, niż umysł ucznia klasy IV czy V, i z tego powodu domaga się powtarzania historji starożytnej w klasie najwyższej. Za dwustopniowością w nauczaniu historji starożytnej imieniem filologów klasycznych opowiedział się także p. Rapaport ze względu na korelację nauki historji z nauką filologji klasycznej.

Zgodnie z powyższem stanowiskiem (zob. odnośny artykuł p. Sochaniewicza w *Wiadomościach nauczyciel.* II 1927 nr. 3—6 s. 6) Komisja planów i nauczania, dyskutując nad zagadnieniem realizacji egzaminu dojrzałości w zakresie historji i nauki o Polsce współczesnej w roku szk. 1926/7, jako pierwszy i najważniejszy wniosek, o ile chodzi o zakres materjału dla ustnych odpowiedzi z historji przy egzaminie dojrzałości, uchwaliła wniosek piszącego te słowa, następującej treści: „Zważywszy, że stanowisko historji starożytnej, która według brzmienia przepisów wchodzi niewątpliwie w skład materjału egzaminu dojrzałości, jest dotychczas w świetle programu upośledzone, a w każdym razie uniemożliwia pragmatyczne jej traktowanie, przeto członkowie Komisji domagają się od najwyższej magistratury szkolnej, aby niezależnie od istniejących programów, wprowadziła dodatkowo 1 godz. tygodniowo w klasie VIII w pierwszem półroczu, na powtórzenie i pragmatyczne ujęcie całokształtu historji starożytnej“.

Podając te tezy oraz oświetlenie ich w pracach Komisji, nie podobna pominąć mi jednego ważnego zagadnienia, jakie się z niem łączy: jest to sprawa współpracy filologów klasycznych z historykami w zakresie zagadnień związanych z nauczaniem historji starożytnej. Uskutecznić się ona da tylko przez wymianę myśli w zakresie zagadnień programowych w wypadkach, kiedy chodzi o realizację skuteczną idei zasadniczych w odniesieniu do nauki filologji klasycznej, kultury klasycznej i historji starożytnej, pojętych jako koncentr wychowawczy, a spojonych równie silnie ze sobą, jak i z życiem współczesnem, do którego wiedzie droga przez naukę historji powszechnej, organicznie sprzężonej w koncentr najwyższy, pojęty jako nauka o Polsce współczesnej.

LWÓW K. SOCHANIEWICZ

Sprawozdanie z Pierwszego Walnego Zjazdu Filologów Klasycznych. Z inicjatywy Koła Warszawskiego, staraniem Zarządu PTF i Komitetu miejscowego, a przy życzliwem poparciu Ministerstwa WR i OP oraz Zarządu TNSW, odbył się w Warszawie w dniach 15—17 października 1927, Pierwszy Walny Zjazd Filologów Klasycznych. W imieniu Prezesa PTF W. Śmiałka, wiceprezes prof. J. Kowalski otworzył obrady w sali Twa Naukowego. Powitawszy licznie zebranych przedstawicieli władz, uniwersytetów i Kół, mówca przedstawił cel zjazdu: nie zjazd organizacyjno-naukowy, lecz doraźne zebranie się pod znak w obliczu niebezpieczeństwa oderwania od gimnazjum trzech klas niższych i usunięcia nauczania języków klasycznych z tych klas w gimnazjach klasycznych b. zaborów austrjackiego i pruskiego. Pierwsze wiadomości o zamierzonej ustawie ustroju szkolnictwa przywiózł w czerwcu do Lwowa wiceprezes Koła Warszawskiego, prof. K. Dąbrowski. Na wieść

o tem Zarząd uchwalił odbyć Zjazd, a pojawienie się ustawy we wrześniu uzasadniło aż nadto jego potrzebę. Toteż mimo braku dokładniejszych prac przygotowawczych przepełniona po brzegi sala Twa Naukowego, z przedstawicielami filologji klas. we wszystkich uniwersytetach na czele, odpowiedziała gromkiem echem solidarności na starania Zarządu. Przybyli przedstawiciele z najodleglejszych kół, przybyły rzesze filologów dotychczas niestowarzyszonych. Ministerstwo WR i OP, na starania Komitetu miejscowego (p. wizytator nacz. St. Cybulski, p. K. Dąbrowski), udzieliło 2000 zł zasiłku, oraz przyznało uczestnikom 65% zniżki kolejowej na powrót. Wśród obecnych znajdowali się przedstawiciele Ministerstwa w osobach pp. Żłobickiego, Kielskiego, Geperta, kurator Zawadzki, liczni wizytatorowie warszawscy i zamiejscowi, przedstawiciele Uniwersytetu Warszawskiego w osobach ks. Rektora Szlagowskiego, prof. Przychockiego i Krokiewicza, delegat Polskiej Akademji Umiejętności prof. L. Sternbach, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego T. Sinko, wraz z licznemi przedstawicielami Koła Krakowskiego, profesor Uniwersytetu Poznańskiego J. Sajdak, profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego J. Oko i St. Srebrny, ze Lwowa członek honorowy PTF prof. St. Witkowski, Zarząd niemal w komplecie, oraz wielu wybitniejszych filologów. Najsilniej na zjeździe były reprezentowane: Warszawa, Lwów i Kraków, oraz powiat b. Królestwa. Ten ostatni objaw był szczególnie pokrzepiający. Obradom przysłuchiwał się p. Jean Malye, delegat generalny Twa im. Guillaume Budé z Paryża, przybyły umyślnie celem zetknięcia się ze zebranymi w stolicy filologami. Zagaił narady przewodniczący pierwszemu posiedzeniu, prof. L. Sternbach, w barwnem przemówieniu tej treści: „Nie lekceważymy wychowania, opartego na pewnikach realnych, ale ze względu na dobro kultury narodowej i na jej tradycje żądamy także uszanowania dla naszego sztandaru i nie damy się zepchnąć do roli gladjatorów, którzy *morituri salutant*". Dokonano zdjęcia zebranych (odbitkę można otrzymać w Polskiej Agencji Fot. Prasa, Warszawa, Chmielna 8, po cenie 3—5 zł). Potem prof. T. Sinko wygłosił odczyt o znanych dotychczas z historji próbach walki z starożytnością klasyczną. Mówca wykazał bezskuteczność takich porywów, wskazał na budzącą się obecnie w całym świecie cywilizowanym tęsknotę za ideałem klasycznym, na nawrót od reform niszczycielskich, i dał w zakończeniu wyraz przekonaniu, że społeczeństwo polskie skorzysta niezawodnie z najbezstronniejszego pouczania, jakie zwycięski humanizm daje ludzkości bez przerwy przez usta historji. Odczyt prof. Sinki, nagrodzony rzęsistemi oklaskami, okazał się niebawem drukiem w *Przeglądzie Pedagogicznym* 1927 nr. 30 i 31.

Posiedzenie popołudniowe, pod przewodnictwem prof. St. Witkowskiego, wypełnił referat prof. Kowalskiego. Prelegent przedstawił zebranym projekt *Memorjału PTF* w sprawie Ustawy Komisji. Memorjał, dwukrotnie dyskutowany we Lwowie, po raz trzeci na posiedzeniu Koła w Warszawie, uzupełniany i poprawiany wielokrotnie na podstawie artykułów prasowych i broszur o reformie, uzyskał nowy materjał z dyskusji Zjazdu. Przyjęty w zasadzie, został po nowej wymianie myśli z Kołami i członkami poddany redakcji ostatecznej i w tejto formie, podpisany przez Zarząd, będzie doręczony Ministerstwu jako oficjalny wyraz opinji całego PTF. Ze względu na to, że *Memorjał* ukaże się w zeszycie styczniowym Kwart. Klas. ograniczę się tu do zawartych w nim konkretnych postulatów: PTF domaga się zachowania odpowiedniej ilości gimnazjów klasycznych 8-letnich, jako potrzebnych tak dla ogólnego studjum uniwersyteckiego jak w szczególności dla wyższego studjum filologji klasycznej. Tem samem Two domaga się utworzenia w b. Królestwie Kongresowem odpowiedniej ilości takich gimnazjów. Za podstawę wychowania narodowego Two uważa szkołę humanistyczną, i dla niej domaga się nadobowiązkowego nauczania języka greckiego i wprowadzenia łaciny do przedmiotów maturycznych. Two wyraża przekonanie, że należy dbać

o dociąganie gimnazjum humanistycznego, w pewnej mierze, do gimnazjum klasycznego, a nie odwrotnie, i że nie należy wadliwego szkolnictwa rosyjskiego rozszerzać na całą Polskę, lecz przeciwnie ulepszać je na podstawie wyżej stojącego w dwóch innych b. zaborach (opinja Koła Warszawskiego). Dyskusja, jaka wywiązała się nad referatem, przez to szczególnie cenna, że jednoczyła głosy przedstawicieli wszystkich ziem polskich, wykazała szczególne niebezpieczeństwo reformy dla ziem b. zaboru pruskiego. Delegat ślązki, wizytator Ogrodziński, przestrzegał przed graniem na uczuciach ludności robotniczej, której nie należy równać z masami analfabetów w innych zaborach. Obawiał się, że na reformie skorzystają tylko niemieckie szkoły prywatne. Prof. Piosik z Pomorza potwierdził i wzmocnił swem przemówieniem obawy przedmówcy: nie uda nam się wyprzeć filologji klasycznej z Polski, jedynie możemy wskórać, że zamiast polskiej będziemy mieli niemiecką. Te dwa przemówienia rzuciły ponury cień na zgromadzenie i wryły się głęboko w sumienia obywatelskie zgromadzonych wychowawców. Szczególny poklask zyskało rzutkie wystąpienie prof. Przychockiego. Przypomniał on zgromadzonym kolejne etapy walki w obronie filologji klas. w odrodzonej Polsce. Z radością witał powolne budzenie się samopoczucia wśród filologów, czego sam był najwcześniejszym, lecz zbyt osamotnionym rzecznikiem. Wyraziście określił błędy zasadnicze wszystkich reform: jednostronność, niechęć do korzystania z doświadczeń, cudzych i własnych, nadmiar wiary w genjusz jednostek, nieoględność w doborze ludzi. — Trzecie posiedzenie Zjazdu (niedziela przedpołudnie; przewodniczył prof. Oko) było poświęcone odczytom z dziedziny humanistycznej. Zarysował się silnie kierunek sędziwego, a tak zasłużonego humanisty St. Cybulskiego, nie obcy także naszemu b. zaborowi, jak wykazały referaty i przemówienia filologów lwowskich (Auerbach, Chodaczek, Schächterówna ze Stanisławowa). Szczególną atrakcją zebrania były pokazy ucznia p. wiz. Cybulskiego, dra Z. Żmigrydera-Konopki, przedstawiające sprzęty, stroje i ozdoby starożytne, wykonane w kraju daleko artystyczniej, niż podobne okazy sprowadzane z Niemiec. Jakkolwiek w dyskusji uwyraźniło się ugrupowanie filologów ściślejszych, domagających się większego nacisku na stronę językowo-gramatyczną, w zasadzie jednak panowało harmonijne przekonanie, że niema filologji bez humanizmu, że budzenie starożytności do życia nie sprzeciwia się studjowaniu jej historycznemu. Powszechne uniesienie, z jakiem najstarsi nawet przedstawiciele filologji uniwersyteckiej skupili się wokół cacek kultury starożytnej, świadczyło wymownie o żywotności, bynajmniej niepapierzanej, naszych zamiłowań. Wrażenia te spotęgowały się jeszcze w czasie przedstawienia popołudniowego *Fenicjanek* Eurypidesa, w przekładzie Kasprowicza, w sali gimnazjum Władysława IV na Pradze. Niestrudzony entuzjazm p. wiz. Cybulskiego udzielił się wszystkim kierownikom poszczególnych części przedstawienia (pp. Łysakowski, Rybicki, Kurzawiński), jak i samym wykonawcom. A trzeba powiedzieć, że była to młodzież gimnazjalna. Widzowie byli mile zaskoczeni tak wysokim poziomem wykonania artystycznego. Balet, złożony nader udatnie z młodziutkich dziewcząteк, modernizował z wielkiem powodzeniem tańce starożytne, podobnie jak są one modernizowane w przedstawieniach klasycznych zagranicą. Także i same tańce starożytne były pewnego rodzaju baletem, którego rozwój późniejszy (za cesarstwa) nie ustępował w niczem produkcjom choreograficznym naszych rewij. Przedstawieniu przyglądał się p. Malye, jak również wziął udział w zebraniu towarzyskiem, jakie wieczorem odbyło się w salach Resursy urzędniczej. W miłym nastroju nastąpiło zbliżenie między gośćmi z wszystkich stron Polski i ożywiona wymiana myśli i wrażeń.

Czwarte i ostatnie posiedzenie Zjazdu (poniedziałek przedpołudniem; przewodniczył, w zastępstwie p. wiz. Cybulskiego, prof. Krokiewicz) było poświęcone dyskusji nad niedomaganiami planów i programów nauczania języków klas. i kultury klas. w szkołach średnich.

Otworzył je prof. K. Dąbrowski zajmującym rysem przemian szkoły średniej w b. zakorze rosyjskim. Zgromadzeni domagali się ogłoszenia drukiem tego odczytu, ażeby ułatwić filologom wszystkich ziem polskich poznanie wzajemnych warunków rozwoju. — Niestety niemożność dokładniejszego przygotowania Zjazdu odbiła się szczególnie na dalszym przebiegu posiedzenia. Zarządowi nie udało się przeprowadzić kontroli referatów, skutkiem czego dwa z nich ujmowały zagadnienia w sposób nieprzewidziany programem, a jeden z nich miał wszystkie znamiona nieprzemyślanej improwizacji, przyczem pewne aktualne wśród naszych wizytatorów obrachowania w sposób mało lojalny wobec Zarządu zostały roztoczone dla użytku obecnych przedstawicieli Władz. Wobec rozmiarów tych dwu referatów, przemówienia innych referentów zostały skrócone, czyto wprost przekazane referentowi głównemu. Podobnie dyskusja doznała znacznego ograniczenia. Byłaby to strata niepowetowaną, gdyby nie widoki nowego Zjazdu organizacyjno-naukowego, jaki do dwu lat ma się zebrać w Warszawie za staraniem Zarządu i w porozumieniu z prof. Przychockim, który przyjął rolę organizatora miejscowego i gospodarza Zjazdu II. Po posiedzeniu uczestnicy Zjazdu zwiedzili wzorowy budynek gimnazjum im. St. Batorego, urządzony wprost z przepychem według najnowszych wymogów hygjeny i dydaktyki. Tegoż dnia rano kilkunastu uczestników Zjazdu wraz z p. Malyem przysłuchiwało się lekcji wzorowej, przeprowadzonej przez p. wiz. Cybulskiego w gimnazjum prywatnem.

Wyniki Zjazdu są pokaźne: 1. filologowie klasyczni w sposób solidarny i w poważnem poczuciu swej odpowiedzialności wykonali swój obowiązek obywatelski wobec społeczeństwa, przestrzegając je przed szkodliwemi reformami. 2. Spłacili winny od wielu lat dług swej nauce, dotychczas bezbronnej lub bronionej niedostatecznie przez nieliczne jednostki. 3. Ujednostajnili swe poglądy i zbliżyli się bratersko do siebie w celu wyrównania i zagładzenia różnic dzielnicowych, wniesionych przez zaborców. 4. Ustalili stosunek filologji klasycznej do humanizmu i określili rolę obu kierunków w naszem szkolnictwie i w naszej kulturze. 5. Wzmocnili jedność Twa, zyskali mu nowych członków i poczynili starania, by Two mogło żywotnie ciągnąć nadal swą pełną zasług przeszłość w nowych warunkach. 6. Wywołali żywe zajęcie się zagadnieniem kultury starożytnej wśrod światłej ludności stolicy. Zajęcie się to okazało się nietylko w życzliwym współudziale Warszawian w obradach Zjazdu, ale także w nadzwyczajnem poparciu, jakiego Zjazd doznał od prasy stołecznej, niemal bez różnicy odcieni. Dziesiątki artykułów pokryły łamy dzienników i perjodyków stołecznych. Echa Zjazdu dotarły do najbardziej oddalonych zrzeszeń filologicznych lub nauczycielskich, budząc wszędzie radość, że dano wkońcu głos tej, która od kolebki bytu naszego towarzyszy nam w pochodzie dziejowym i w najgroźniejszych chwilach odżywa z pociechą: Starożytności.

Zarząd Twa składa na tem miejscu podziękowanie Ministerstwu WR i OP, przedstawicielom wszystkich Władz i Instytucyj Naukowych Oświatowych i Kulturalnych, Komitetowi miejscowemu, Kołom, Prasie, przyjaciołom studjum klasycznego, wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do pełnego powodzenia przebiegu I Zjazdu Filologów Klasycznych. J. K.

Pobyt p. Jean Malye w Polsce. P. Jean Malye, delegat generalny Twa im. Guillaume Budé z Paryża, bawił w Polsce, jako gość PTF w dniach 15 X — 6 XI. Przyjechał w celu nawiązania żywszych stosunków między filologami klasycznymi obu krajów, oraz celem ożywienia obrotu książki naukowej francuskiej w Polsce. Bawił w Poznaniu, Warszawie, Wilnie, Lwowie i Krakowie, wygłaszając odczyty w języku francuskim o nawrocie we Francji do studjów klasycznych i organizacji Twa im. G. Budé, przyczem zwiedzał instytucje i zakłady istniejące u nas tak celem krzewienia kultury starożytnej jak ogólnej, jakoteż ważniejsze księgarnie, gdzie starał się wprowadzić na skład wydawnictwa Twa im. G. Budé. J. K.

W obronie łaciny. Artykuł ten zmarłego niedawno „króla literatów“ francuskich (1844—1924) pojawił się po raz pierwszy w r. 1890, jest więc daleki od aktualności, ale wykazuje równie z innemi utworami tego pisarza charakter klasyczności, a to nietylko ze względu na formę. Melancholijna rezygnacja A. France'a, że Francja, że młodsza generacja znajdzie właściwą dla siebie drogę wychowania, była tylko tragicznym kompromisem między świętem przekonaniem o niczem nie dającej się zastąpić funkcji studjów klasycznych a politycznem jego kredo radykalno-socjalistycznem. Francja znalazła wtedy rzeczywiście nowe drogi wychowania, ale — o tem niema obecnie dwu zdań we Francji, nie wyjmując samego ministra oświaty Herriota, zwalczającego studja klasyczne w imię hasła partyjnego — prowadzące na manowce. Przytaczam tylko jeden sąd, bezstronnego chyba Leona Bluma (*La Maladie de l'Enseignement secondaire* w Revue de Paris 1921, III 576—604): „...Mówiono na serjo: „Cywilizacje starożytne przeżyły się. Literatury nowoczesne ukształcą ducha nowoczesnego lepiej. Któż nas oswobodzi od Greków i Rzymian? To przecież słoma wymłócona: bądźmy nowoczesnymi — patrzmy w przyszłość!“ Wielka ta myśl, zrodzona z bankructwa szkolnictwa zawodowego, i z chęci zatrzymania nieuzdolnionych w gimnazjach, dała nam w r. 1890 szkolnictwo nowoczesne: można było odtąd ocenić siłę wychowawczą obcych języków... Szkolnictwo nowe żyło 32 lat, by dowieść, że dla dobrych uczniów, odciągniętych dzięki temu sofizmatowi od studjów klasycznych, obce języki nie zastępowały wypróbowanego wyszkolenia klasycznego, i że duże stado niezdolnych i próżniaków nie interesowało się więcej tekstami niemieckiemi i angielskiemi, niżby się było interesowało tekstami łacińskiemi lub greckiemi... W r. 1890 można było sobie pozwolić na iluzję, że w wychowaniu cywilizacje nowoczesne mogą zastąpić kultury klasyczne, i że obce literatury zamiast klasycznych mogą bez uszczerbku formować elitę francuską. Niektórzy szczerze w to uwierzyli. Ale nie wzięli pod rozwagę abiturjentów, dla których epoki sławy stają się ciemnemi, którzy nie znają myśli greckiej i rzymskiej, nawet nie z odblasku dzieł nowszych, dla których nazwiska artystów i myślicieli, twórców sztuki i myśli francuskiej, brzmią obco i po barbarzyńsku. Jakżeż niemądrze zakazano młodzieży słońca pod pretekstem, że jest bardzo dalekie i że świeci ludziom od zbyt dawnych czasów!“

Odezwa Zarządu Koła Poznańskiego PTF. Koło Poznańskie wydało dn. 8 paźdź. 1927 odezwę ułożoną w porozumieniu z p. prof. Sajdakiem i z p. dyr. Ostrowskim w sprawie popierania Kwartalnika Klasycznego. Brak miejsca nie pozwala nam na przedruk tego pięknego dokumentu solidarności filologicznej; cytujemy tylko jeden ustęp: „...Wierzymy, że Kwartalnik zyskał u czytelników zasłużone uznanie. Byłoby zbyt bolesnem, gdyby i Kwartalnik miał przestać wychodzić po ukazaniu się trzech zeszytów, gdyby miał upaść nie z braku materjału lub z braku światłych organizatorów wydawnictwa, lecz z braku pieniężnego poparcia u tych, dla których powołany został do życia. Dotąd wydawnictwo stoi osobistą ofiarnością Wydawców. Z Ministerstwa WR i OP subwencji spodziewać się nie można, już to dlatego, że Ministerstwo nie ma odpowiednich na ten cel funduszów już też z tego powodu, że jest przekonane, iż nauczycielstwo powinno zdobyć się na tyle ofiarności, by utrzymać pismo tak ze wszech miar potrzebne. Wszakże filologowie tworzą najsilniejszy liczebnie dział nauczycielstwa w szkołach średnich. W poczuciu, że przyszła najwyższa pora, by zapobiedz upadkowi Kwartalnika, zwraca się Zarząd Poznańskiego Koła PTF niniejszą odezwą do Panów Nauczycieli-Filologów z prośbą, by wyszli z bierności dotychczasowej i nie zwlekali z wpłacaniem prenumeraty na rok 1927. Prosimy, by nietylko Bibljoteki gimnazjum, lecz każdy nauczyciel języków starożytnych zaprenumerował Kwartalnik“.

Longosa *Dafnis i Chloe* w przekładzie Jana Parandowskiego czytelnicy otrzymują po zniżonej cenie 4 zł (zamiast 5 zł 50) w Księgarni Wydawniczej H. Altenberga, Lwów, ulica Pilsudskiego 16.

Do Pana Stanisława Michalskiego,

Kierownika IV Departamentu w Ministerstwie WR i OP

6 VIII 1923 zwrócił się do mnie p. Artur Górski, proponując, bym podjął się opracowania nieogłoszonego dotychczas drukiem rękopisu Adama Mickiewicza Wykładów Lozańskich dla Wydania Sejmowego. Opracowania podjąłem się i 12 X 1925 p. A. Górski otrzymał odemnie rękopis opracowania w trzech tomach 1. *Wstęp*, 2. *Tekst*, 3. *Dokumenty*. Opracowania dokonałem na podstawie ściśle naukowej, tj. źródłowej, i w tym celu odbyłem dwie podróże: do Lozanny i Paryża. Wielka ilość dokumentów nieznanych dotychczas znajduje się w mojem posiadaniu, jako zdobyta już po odesłaniu rękopisu opracowania p. A. Górskiemu. Plan mego opracowania ogłosiłem w *Ruchu Literackim* prof. Gubrynowicza (zeszyt II) i uzasadniałem go w odczytach publicznych, wygłoszonych na posiedzeniach Polskiego Towarzystwa Filologicznego we Lwowie (por. *Sprawozdanie P. Tow. Filolog.* 1925 i 1926), Towarzystwa Naukowego we Lwowie, na odczycie publicznym w Warszawie (w marcu 1926 r., por. prasę warszawską), oraz w artykule francuskim w *Eos* 1927; nadto oddałem do druku pięć nieznanych listów A. Mickiewicza, których autografy nabyłem w Genewie i złożyłem do przechowania w Bibljotece Uniwersytetu Lwowskiego, jak i pamiętniki Nakwaskiego, przywiezione przezemnie do kraju. Wdrożyłem też starania w Akademji Umiejętności celem pozyskania także korespondencji Nakwaskiego, wśród której mogły znajdować się autografy wielu współczesnych wybitnych postaci.

Gdy wskutek przesilenia finansowego Wydanie Sejmowe pism A. Mickiewicza uległo zwłoce bezterminowej, zwracałem się kilkakrotnie pisemnie do p. A. Górskiego z prośbą o zwrot rękopisu i o pozostawienie mi prawa publikacji w jednej z instytucyj naukowo-wydawniczych, które przyrzekły mi pomoc w ogłoszeniu mej pracy (Akademja Umiejętności i Kasa Mianowskiego). Wskutek zatargu z p. A. Górskim na temat praw autorskich i charakteru opracowania, prosiłem dwukrotnie pismem poleconem Ministerstwo (1. w sierpniu 1926 z Florencji, 2. w maju 1927 ze Lwowa) o załatwienie sprawy mego rękopisu przez uznanie kwot wypłaconych mi przez p. A. Górskiego za zasiłki rządowe na wykonanie pracy naukowej, i o wpłynięcie na p. A. Górskiego, by zwrócił mi rękopis do swobodnego zużytkowania, jakoże tekst nie podlega obecnie ochronie przez prawa autorskie. Na oba pisma nie otrzymałem od Ministerstwa odpowiedzi. Z tego powodu czuję się zniewolony zapytać publicznie Pana Kierownika IV Departamentu, czy fakt, że otrzymałem od Rządu około 2000 zł na wykonanie pracy naukowej o charakterze użyteczności

publicznej, skazuje ją na zmarnowanie w rękach mało zapobiegliwych, nie zostawiając mi najmniejszych widoków na opracowanie nowych dokumentów, ani na ogłoszenie wyników studjów trzechletnich, mimo że są ku temu sposobności i że zwłoka w ogłoszeniu oddziaływa ujemnie na wartość naukową opracowania a także i na ogólne warunki mojej pracy naukowej.

Zapytuję dalej Pana Kierownika IV Departamentu,

czy p. A. Górski jest w dalszym ciągu jedynym (dwaj dawniejsi współredaktorowie nie podtrzymują swej osobistej odpowiedzialności za losy Wydania Sejmowego) redaktorem Wydania Sejmowego z ramienia Ministerstwa W. R. i O. P., czy wogóle z ramienia Rządu,

czy mało urzędowe postępowanie jedynego redaktora znajduje aprobatę Pana Kierownika,

czy p. A. Górski jest w prawie żądać odemnie zwrotu zasiłków rządowych, przeznaczonych na pracę istotnie wykonaną,

czy osobiste i dostatecznie znane poglądy mistyczne p. redaktora rządowego nie pozwolą ujrzeć światła dziennego pracy poważnej profesora uniwersytetu,

czy przyjąwszy propozycję do pracy pod nadzorem Rządu nie znajdę nigdy możności odwołania się do tejże Władzy?

Muszę zaznaczyć, 1. że mimo wielokrotnych żądań nie otrzymałem nigdy od p. A. Górskiego kontraktu do podpisania, 2 że pomysł Wydania Sejmowego, jak je sobie przedstawia p. A. Górski, był przedmiotem bardzo rozumnej krytyki zagranicą (por. *Wiadomości Literackie* 1926, po wywiadzie z p. A. Górskim), 3. że charakter *Wykładów Lozańskich*, jako skryptu uniwersyteckiego w stanie czysto notatkowym i fragmentarycznym, dopuszczał jedynie sposób opracowania źródłowy, tj. jedynie taki, jaki zastosowałem, widząc, że inaczej tekst nie będzie zrozumiały nawet dla filologów zawodowych.

Wkońcu upraszam uczonych polskich o zajęcie stanowiska wobec jaskrawego faktu marnowania pracy naukowej (por. Fr. Bujak, *Co Polska traci skutkiem niedostatecznego uprawiania nauki*, Warszawa 1927) przez dobór niesprawnej jednostki na stanowisko naczelne i niekontrolowane w wydawnictwie patronowanem przez Rząd.

Dr. Jerzy Kowalski,
profesor nadzwyczajny filologji klasycznej
w Uniwersytecie Jana Kazimierza.

We Lwowie, w czerwcu 1927 r.

SPIS DZIEŁ OMÓWIONYCH

Z DRUKARNI UNIWERSYTECKIEJ — LWÓW — PIEKARSKA 3.

Programem Kwartalnika Klasycznego objęta jest metodologja i dydaktyka nauk filologicznych, przegląd badań, bibljografja i kronika ważniejszych wydarzeń w świecie filologicznym.

Kwartalnik Klasyczny nie wzoruje się na organach zagranicznych. Zewnętrznie wyróżnia go wprowadzenie ilustracyj, co mają dotąd jedynie czasopisma, poświęcone archeologji i historji sztuki, wewnętrznie zespół informacyj naukowych na sposób *Bursians Berichte*, ale w formie dogodniejszej, z rozleglej niż gdziekolwiek uwzględnioną dydaktyką, Wszystko uczyniono, by filolog nasz znalazł w jednym organie to, czego dotąd musiał szukać po różnych czasopismach, dla zorjentowania się w postępach nauki i metodzie nauczania.

Prenumerata roczna wynosi 12 zł. Dotychczasowi członkowie Polskiego Tow. Filol. otrzymają Kwartalnik Klasyczny w tym roku bezpłatnie. Cena pojedynczego zeszytu 3·50 zł.

Adres redakcji: prof. R. Ganszyniec, Lwów, ul. Potockiego 20.

Adres skarbnika: prof. M. Golias, Lwów, ul. św. Zofji 22.

Prenumeratę uprasza się przesyłać czekiem PKO Warszawa 153.380.

Następne zeszyty przyniosą m. i.: M. Auerbach, Rola gramatyki j. łacińskiego w gimnazjum, A. Bednarowski, Nowe metody nauczania języków klasycznych w gimnazjach, Wł. Chodaczek, Zagadnienie łaciny potocznej, St. Cygan, Próbna lekcja gramatyki łacińskiej w klasie IV, M. Gumowski, Początki monety w Rzymie w świetle najnowszych badań, S. Hammer, Pedagogiczna działalność Michała Psellosa, J. Kowalski, Wymowa ruin, V. Molé, Sztuka bizantyjska, J. Nagórzański, W jakim zakresie należałoby stosować w nauce gimnazjalnej wiadomości z lingwistyki, H. Nowicka, Homerowe przydawki zdobnicze w przekładach polskich, St. Pilch, Nowsza metoda nauczania języków klasycznych; Lekcje praktyczne z Horacego (*Epod.* 7. *C.* I 14, 34), St. Przeworski, Piśmiennictwo hetyckie; Świat Egei, A. Rapaport, Horacy w szkole, St. Rzepiński, Z praktyki szkolnej, T. Sinko, Dyscyplinaryzm i realizm w szkole, R. Skulski, O współpracy nauczyciela języka polskiego z nauczycielem języków starożytnych, St. Szober, Wartość kulturalna filologji w nauczaniu szkolnem, J. Wołyński, Dzieje nauczania języków klasycznych w b. Kongresówce, T. Zieliński, O czytaniu mów sądowych Cycerona w szkole.

Celem rozpowszechnienia wśród młodzieży szkolnej i społeczeństwa redakcja wydaje odbitki niektórych rozpraw, a mianowicie:

St. Baldwin, Klasycy a zwykły człowiek,
C. Coolidge, Studja klasyczne a Ameryka,
A. France, W obronie łaciny,
R. Gostkowski, Wykopaliska w Pompei (*z 17 rys.*),
M. Popławski, O przekładaniu i przekładach,
W. Śmiałek, Tradycje kultury i szkoły łacińskiej w Polsce.

Nabyć je można w dowolnej ilości od administracji (prof. Marjan Golias, Lwów, ul. św. Zofji 22) po cenie 50 gr. za egzemplarz.